

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 3 (71)/2015

Łódź 2015



Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Gustaw Romanowski — redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Błażej Filanowski

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska
Marcin Kieruzel

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Korekta:
Adriana Grzelak-Krzymianowska

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ, zdjęcia użyczone

Skład i druk: Drukarnia WIST
95-100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2015

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, prawa oficyna
90-430 Łódź, tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzegamy sobie prawo do zmian
redakcyjnych i skrótów.

Kronika jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

Spis treści

pierwsze kolumny	5
<i>Błażej Filanowski</i> , Znaczenie rewolucji 1905 roku dla współczesnej Łodzi	7
<i>Przemysław Waingertner</i> , Rewolucja, powstanie, bunt...	17
<i>Kamil Piskała</i> , Fabryki w rewolucji	30
<i>Adrian Sekura</i> , Udaremnione carskie prowokacje	40
<i>Magdalena Starzycka</i> , Antoni Michałkiewicz – łódzki rewolucjonista	47
kultura	63
<i>Karol Józwiak</i> , Dadaizm w Muzeum Sztuki	65
<i>Monika Nowakowska</i> , Malarstwo Piotra Turka	69
<i>Małgorzata Golicka-Jabłońska</i> , 90 lat Ryszarda Klimczaka	72
<i>Marek Andrzej Gwoździński</i> , Łodzianie wielcy a zapomniani	78
<i>Małgorzata Golicka-Jabłońska</i> , 70 lat Teatru Muzycznego w Łodzi	86
historia	89
<i>Józef Śreniowski</i> , Powstała monografia Uniwersytetu Łódzkiego	91
<i>Michał Raduszewski</i> , Trudna droga do demokracji	101
<i>Małgorzata Bartyzel</i> , Łódzkim szlakiem komunistycznych czystek	116
<i>Aneta Stawiszyńska</i> , Przypominamy Gustawa Horaka	125
<i>Tadeusz Barański</i> , Łodzianie w Świętokrzyskich Zgrupowaniach Partyzanckich AK	134
nauka	139
<i>Marek Wasiak</i> , Jerzy Wasiak (1924–2012)	141
czarne dziury, białe plamy	151
<i>Gustaw Romanowski</i> , <i>Józef Śreniowski</i> , Jak Ślepy Maks z komunistów żartował	153

wspomnienia	159
<i>Gustaw Romanowski, Leszek Rózga (1924–2015)</i>	161
<i>Magdalena Starzycka, Halina Szpigiel (1929–2015)</i>	166
<i>Henryk Marczak, Mirosław Laskowski (1949–2015)</i>	168
recenzje	171
<i>Wojciech Żródlak, Encyklopedia łódzkiego getta</i>	173
<i>Gustaw Romanowski, Ostatni Lodzermansch.</i> Robert Geyer, 1988–1939	181
<i>Błażej Filanowski, Kobro. Skok w przestrzeń</i>	185
<i>Józef Śreniowski, Godzina papugi</i>	189
listy, polemiki, kontrowersje	193
<i>Bartłomiej Czyżewski, Tajemniczy nagrobek z ulicy Nowej</i>	195
Osiedla, domy, ulice	197
<i>Dariusz Kędziński, Ulica kamienic, pałacików i rzeźni</i>	199
Z łódzkiego raptularza	207
<i>opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska</i>	

pierwsze kolumny

Znaczenie rewolucji 1905 roku dla współczesnej Łodzi

Klimat na rewolucje

Błażej Filanowski

str. 7

Rewolucja, powstanie, bunt...

Na łódzkich barykadach 1905 roku

Przemysław Waingertner

str. 17

Fabryki w rewolucji

Zwycięstwa i porażki robotników

Kamil Piskała

str. 30

Udaremnione carskie prowokacje

W Łodzi pogromu nie było

Adrian Sekura

str. 40

Antoni Michałkiewicz – łódzki rewolucjonista

Magdalena Starzycka

str. 47

Znaczenie rewolucji 1905 roku dla współczesnej Łodzi

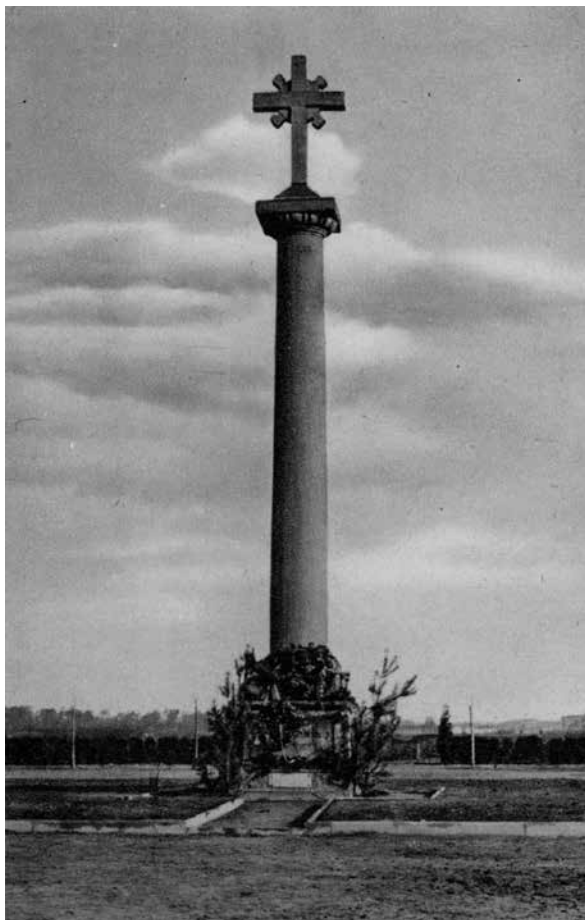
Klimat na rewolucje

Polski Manchester, miasto fabryk, ziemia obiecana czy wielokulturowy tygiel – podobne sformułowania pojawiają się w większości komunikatów hasłowo określających charakter miasta i mających wytworzyć w głowie odbiorcy wizję jego historii. Jak dalek rozwijać te skojarzenia? Jak opisać, kim byli i kim są mieszkańcy Łodzi i czy z sentymentem, czy z ulgą patrzą na opuszczone fabryki? W jaki sposób budowane były przemysłowe fortuny w XIX wieku i jak wykorzystał je ustrój socjalistyczny? Problem z przepracowaniem dziedzictwa przemysłowej Łodzi to wciąż aktualne i ważne wyzwanie dla jej mieszkańców. Dyskusja o rewolucji 1905 roku i powstaniu łódzkim kryje w sobie ogromny potencjał rozbrajający stereotypy i prowokujący pytania o przyszłość miasta. Czy dziś jesteśmy w momencie, w którym został on wyzwolony?

Wymazana trauma, zapomniane zmiany

„Rewolucja 1905 roku jest całkowicie nieobecna w pamięci historycznej Polaków. Nie tylko nie jest przedmiotem masowych obchodów rocznicowych i innych – tak licznych ostatnio – rytuałów pamięci, lecz została wymazana z mapy zakorzenionych w przeszłości skojarzeń i symboli wykorzystywanych w debacie publicznej” – stwierdza Kamil Piskała, współredaktor wydanego w 2013 roku przewodnika Krytyki Politycznej poświęconego rewolucji 1905 roku. Choć mamy badaczy tego okresu, a środowisko historyków zdaje sobie sprawę ze znaczenia tych wydarzeń, to znajdują się one na marginesie medialnej dyskusji na temat historii Polski.

Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele. Pierwsza i najbardziej znacząca to miejsce rewolucji w historiografii PRL i propagandowe jej użycie jako przykładu walki klas w polskim społeczeństwie. W łódzkiej przestrzeni publicznej jednym z najważniejszych miejsc pamięci o wydarzeniach 1905 roku jest Pomnik Czynu Rewolucyjnego w parku im. Józefa Piłsudskiego (powszechnie nazywanym „parkiem na Zdrowiu”). Monument powstał w 1975 roku na miejscu Kolumny Rewolucjonistów, odsłoniętej 1 maja 1923 roku, upamiętniającej straconych uczestników wydarzeń z lat 1905–1907, którzy zostali w tym miejscu pochowani. Zniszczone przez nazistów miejsce pamięci zostało przywrócone przez PRL, ale już w celu propagowania bardziej



abstrakcyjnego „czynu rewolucyjnego” – rozumianego jako ciąg wydarzeń zawierający w sobie również wydarzenia 1948 roku i początki realnego socjalizmu. To propagandowe przesłanie ukrywało złożoność historii rewolucji 1905 roku. Odsuwało na bok walkę o demokrację, działania na rzecz niepodległej Polski i socjalne postulaty załóg strajkujących fabryk – w tak wielu miejscach przypominające postulaty Solidarności z 1980 roku. Zaszufiadkowanie rewolucji sprawiło, że po 1989 roku przestała być ona atrakcyjnym tematem jako wydarzenie kojarzące się ze starym, skompromitowanym porządkiem. Po upadku cenzury na pierwszy plan wysunęła się historia najnowsza, czasy drugiej wojny światowej – których świadkowie mieli wiele do powiedzenia – czy ocena okresu międzywojennego. Rewolucja sprzed ponad 80 lat wobec tej „konkurencji” kontrowersyjnych i gorących tematów nie znalazła dogodnego miejsca w szerszej debacie medialnej na temat historii Polski oraz – co za tym idzie – nie istniała jako ważne wydarzenie w świadomości Polaków.

Można jednak wyobrazić sobie alternatywny scenariusz. W nim atutem rewolucji byłby szereg analogii do Solidarności 1980, spontaniczność, skala sprzeciwu, wspólne działanie ponad różnicami oraz narodziny nowoczesnej polityki w społeczeństwie polskim. Niemniej poza garstką intelektualistów, historyków i aktywistów rewolucji 1905 zabrakło sprzymierzeńców. „Wolno postawić tezę, że wśród licznych słabości lewicy jedną z ważniejszych jest kompletna abdykacja ze strefy szeroko rozumianej polityki historycznej” – zauważa w tekście *Lewicy strach przed historią* Mikołaj Mirowski, historyk i publicysta. Podkreśla on, że środowiska lewicowe, dla których rewolucja mogłaby stać się ważnym przykładem oddolnego, spontanicznego sprzeciwu wobec niesprawiedliwości, nie podjęły wystarczającego wysiłku w tym kierunku.

Nawet kiedy u władzy był Sojusz Lewicy Demokratycznej, w jego przekazie dominowała wizja, którą najlepiej obrazuje zaproponowane przez Aleksandra Kwaśniewskiego w 1995 roku hasło „Wybierzmy przyszłość”. Był to bezpieczny dla postkomunistów kierunek, który traktował historię (w tym tę najnowszą) jako zbędny balast i pod hasłami koncentrowania się na modernizacji kraju kierował uwagę na „tu i teraz”. Sprzyjał temu także intelektualny klimat lat 90. Esej Francisa Fukuyamy *Koniec historii i ostatni człowiek*, opublikowany w Polsce w 1991 roku, przemawiał za wyższością demokracji powiązanej z wolnym rynkiem nad innymi ustrojami społecznymi. Jego tezy zostały przyjęte jako znaczący kierunek myślenia w polskich środowiskach liberalnych. Nie odrzucały historii oraz możliwości regresu w drodze świata ku demokracji i wolnemu rynkowi, ale dawały poczucie bezpieczeństwa i przynależności do elitarnego klubu z dobrymi perspektywami. Miało to ogromne konsekwencje dla polskiej polityki historycznej. Wracając do tekstu *Lewicy strach przed historią*, zdaniem Mirowskiego





nowa lewica, w tym Klub Krytyki Politycznej, politykę pamięci, a właściwie samą historię uznaje za problematyczną, a „brak zrozumienia wagi narodowej tożsamości i połączenia jej z patriotycznymi dokonaniem lewicy” wyklucza tę problematykę z szerokiej debaty. Z tych wielu powodów rewolucja 1905 została odłożona przez media do koszyka „spraw trudnych i hermetycznych”, a oficjalna (rządowa) polityka nie podjęła tematu. Pamięć o rewolucji przetrwała najlepiej na gruncie lokalnym. W obchodach lokalnych wydarzeń rewolucyjnych, w miejscach pamięci – pomnikach, cmentarzach, nazwach.

Czy w Łodzi było powstanie?

O ile nazwa „rewolucja 1905 roku” może się przeciętnemu łodzianinowi kojarzyć przynajmniej ze śródmiejską ulicą noszącą jej nazwę, o tyle określenie „powstanie łódzkie” zaskakuje. Jeśli już powstanie, to warszawskie, ewentualnie (dla zawansowanych) śląskie czy wielkopolskie. Łódź nigdy nie wyrzekła się rewolucji, ale w latach 90. nie wiedziała, co z tą pamięcią robić. Tak jak z całą przemysłową przeszłością. Nie to dla przechodzącej trudną transformację społeczności jednak było najważniejsze, liczyło się „tu i teraz” oraz budowa ekonomicznego bytu w przyszłości. Łódzką „politykę historyczną” po transformacji zdeterminowały dwie zmiany będące konsekwencją przemian politycznych, gospodarczych i społecznych: chodzi o otwarcie Łodzi na świat oraz upadek wielkich państwowych zakładów przemysłowych i konieczność wypełnienia tej pustki.

Możliwość zaproszenia dawnych łodzian i ich potomków wydawała się fascynująca i dawała nadzieję na rozwój społeczny i ekonomiczny. W 1992 roku

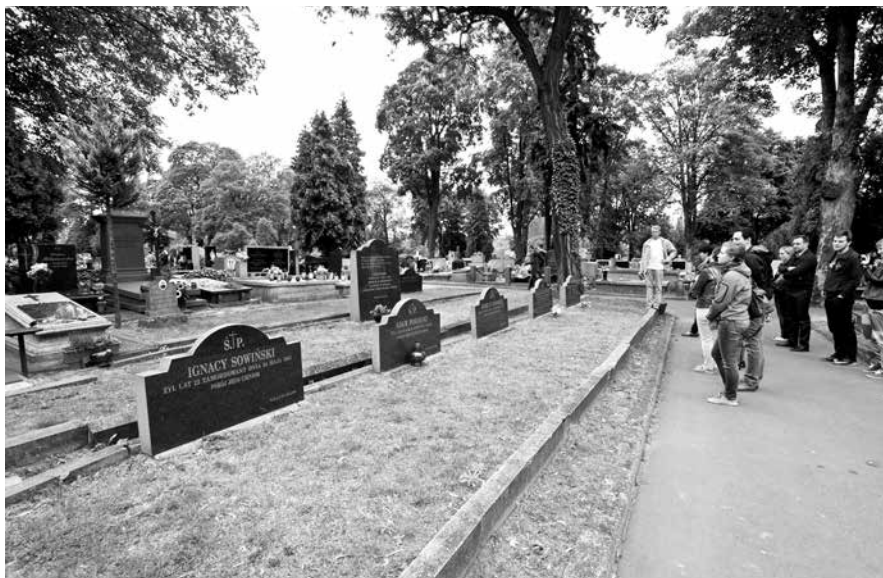
zainicjowano Światowe Spotkania Łodzian. Opublikowane w tym czasie wydawnictwa, działalność redakcji „Tygla Kultury” oraz późniejsze liczne wydarzenia kulturalne, jak Festiwal Dialogu Czterech Kultur czy obchody likwidacji łódzkiego getta, budziły nadzieję na zmianę wizerunku i przełamanie stereotypu „złego miasta”, który ciążył Łodzi od XIX stulecia. Ten zakorzeniony w polskich mediach obraz uznawany jest za jeden z najważniejszych problemów wizerunkowych miasta, determinujący jego postrzeganie w Polsce. Tak naprawdę jego konsekwencje są chyba jeszcze poważniejsze w postrzeganiu siebie przez samych Łodzian. „Dla badacza dyskursów poświęconych Łodzi wielce wymowny wydaje się fakt, jak łatwo odżyła po 1989 roku tradycja postrzegania Łodzi jako »złego miasta«, nieprzystającego do oficjalnej narracji o sukcesach polskiej transformacji” – pisze Kamil Śmiechowski w tekście *Utopie w dystopii. Rzecz o łódzkich dyskursach*. Jak rozwija swoją myśl autor artykułu, przez ten zakorzeniony głęboko wizerunek negatywne informacje o Łodzi są przyjmowane bezkrytycznie i szeroko dystrybuowane, pozytywne są przyjmowane z niedowierzaniem i sporym dystansem. Ten podskórny lęk nieraz utrudnił dyskusję na temat miasta. Każda – choćby mocno uzasadniona – krytyka była narażona na oskarżenie o stereotypowość i brak lokalnego patriotyzmu. Przez ten filtr (obok zwyczajnego zapomnienia) być może postrzegane jest też powstanie łódzkie i cały rewolucyjny etos Łodzi. Pamięć o tak trudnych wydarzeniach, pełnych tragicznych okoliczności przypominających ogromne problemy przemysłowego miasta, może być potraktowana jako kolejny niewygodny dowód na niezmienny mimo upływu lat „koszmar życia w Łodzi”. To tylko hipoteza. Powody, dla których powstanie łódzkie jest prawie nieznanne, oczywiście mogą być inne. Być może po prostu musiało minąć trochę czasu, aby starsze pokolenia spojrzały na te wydarzenia w nieco w inny sposób, a młodsze miały szansę odkryć je na nowo, bez klisz narzuconych przez propagandę PRL.

Oficjalna i offowa

Stulecie rewolucji 1905 było chyba momentem, w którym dokonał się pewien przełom. Łódź stała się ważnym punktem obchodów tej rocznicy, które być może nie należały do bardzo spektakularnych, ale przynajmniej uczestniczyli w nich wysokiej rangi przedstawiciele władz. „Zebraliśmy się, aby uczcić pamięć historycznych dla łodzian dni. Dziękuję wszystkim tym, którzy przyczynili się do tego, że dzisiejsza uroczystość jest tak podniosła i godna. Nam wszystkim życzę, abyśmy nie mieli już powodów do tego typu zrywów” – powiedział wojewoda łódzki Stefan Krajewski podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej w ramach obchodów stulecia rewolucji 1905 roku w Łodzi. W uroczystości uczestniczyli także: senator RP Grzegorz Matuszak, wicemarszałek województwa Krzysztof Makowski, wiceprezydent Łodzi Włodzimierz Tomaszewski. To pierwsza forma upamiętnienia tych wydarzeń od czasu PRL, kiedy wmurowano tablicę w Widzewskiej Manufakturze. Obchody ogólnopolskie odbyły się także przy Pomniku Czynu Rewolucyjnego, który z tej okazji został poddany szybkiemu liftingowi – este-

tycznemu i ideologicznemu. W oficjalnych uroczystościach uczestniczyli: ówczesny premier Marek Belka wraz z władzami miasta Łodzi i województwa łódzkiego oraz przedstawiciele Wojska Polskiego. Pomnik Czynu Rewolucyjnego był pewnego rodzaju kuriozum – oprócz buntowników i robotników ikonograficznymi bohaterami byli tam też żołnierze z czasów drugiej wojny światowej. Dzięki temu pomnik przemycał propagandę na temat roli Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej jako strażników rewolucji.

Ten patchwork ideologiczny przetrwał w niezmienionej formie do 2006 roku, kiedy to Komitet Wojewódzki Polskiej Partii Socjalistycznej zwrócił się do ówczesnych władz miasta o modernizację pomnika. Chodziło o usunięcie z monumentu żołnierzy z bronią oraz dat niezwiązanych z rewolucją. Projektant pomnika Kazimierz Karpiński zaakceptował zmiany i na łamach prasy dzielił się swoim żalem, wynikającym z odrzucenia przez Komitet Centralny PZPR pierwotnego projektu w formie strzelistego łuku przerzuconego nad ulicą. Zadanie przekształcenia pomnika, technicznie polegające wyłącznie na odejmowaniu materiału, powierzono rzeźbiarzowi Mieczysławowi Pąście. Modernizacja powiodła się. Obecnie zamiast żołnierzy na pomniku jest ośmiu robotników i dwie robotnice. Obchody stulecia przypominały rewolucję jako wydarzenie, ale czy wpłynęły na świadomość jej społecznego i politycznego znaczenia? O tym można dyskutować, choć z pewnością oficjalne działania i odkurzenie miejsc pamięci dały szerszy sygnał, że nie jest to „komunistyczne święto”, ale istotne wydarzenie historyczne i ważny krok ku powstaniu niepodległej i demokratycznej II Rzeczypospolitej. Niemniej dyskusję o rewolucji w Łodzi rozgrzali dopiero potem jej pasjonaci – stosunkowo nieliczni, ale zdeterminowani i otwarci na różne sposoby działania.



Zmiana klimatu

15 września 2008 roku świat obiegła informacja o upadku amerykańskiego banku Lehman Brothers. Wybuchł kryzys. Pożar „zasypano” pieniędzmi podatników, winnych załamania nie wskazano. Nie rozliczono ani rządzących, ani przedstawicieli sektora finansowego – negatywne opinie na ten temat zaczęły być coraz głośniej artykułowane. Wreszcie pojawili się Indignados (Oburzeni) i szereg innych oddolnych ruchów sprzeciwu. Coraz częściej padało sformułowanie „99% społeczeństwa” – nawiązujące do obliczeń, według których majątek 85 najbogatszych ludzi na świecie równy jest majątkowi 3,5 miliarda najbiedniejszych. Ten motyw pojawia się we wstępie *Przewodnika po Rewolucji 1905 roku*, wydanego w 2013 roku przez Klub Krytyki Politycznej w Łodzi. Przewodnik używa tego sformułowania i apeluje o historię 99%. „Chodzi o to, by pisać historię ukazującą jednostki i grupy wykluczone z wielkiej Historii (pisanej przez duże H), a zatem z wizji przeszłości promowanej przez zwycięzców, która legitymizuje i umacnia władzę i gloryfikuje wielkich władców i bohaterów. »Przeciw-historia« to więc historia pisana »od dołu«.” – zauważa Ewa Domańska, badaczka specjalizująca się w ideach historiografii, w wywiadzie na łamach magazynu „Focus”.

Jedną ze słynniejszych wczesnych realizacji reprezentujących to podejście była praca Bronisława Geremka *Ludzie marginesu w średniowiecznym Paryżu. XIV–XV wiek*, wydana po raz pierwszy w 1972 roku. Wstęp do *Przewodnika...* uznaje główny nurt historiografii Polski – a co za tym idzie debatę – za przestarzałą, skoncentrowaną na ideach politycznych w sprawie narodowej, a nie na życiu przeciętnych ludzi. W przekazie publikacji nie brakuje silnych sformułowań, co budzi emocje. Mimo to przewodnik pod redakcją historyka Kamila Piskały oraz socjologa i filozofa Wiktora Marca jest w większości stonowany i wysoce merytoryczny. Pełen przystępnie napisanych i kompleksowo podejmujących temat artykułów, daje obraz wydarzeń politycznych i społecznych oraz przybliża najistotniejsze fakty. Kładzie nacisk na następujące kwestie: sytuację niezamożnych warstw społecznych, historię ruchu lewicowego, emancypację m.in. chłopów i kobiet, a przede wszystkim na to, jak rewolucja przyczyniła się do narodzin nowoczesnej polityki na terenie zaboru rosyjskiego. Przewodnik pokazuje na przykładzie tego konkretnego wydarzenia, jak wiele demokratycznych swobód i umów społecznych musiało zostać wywalczonych, często z ogromnym poświęceniem. Całość nie tylko jest źródłem informacji, ale też ukazuje znaczenie tych wydarzeń w historii Polski i uświadamia ciągłość współczesnych i dawnych ruchów emancypacyjnych. Łatwo na tej kanwie stworzyć obraz wyidealizowanych, chwalebnych dni 99 procent, ale czy będzie on prawdziwy? „Kult bohaterów to nie jest odpowiedź, której powinna szukać lewica” – twierdzi pedagog i historyk Piotr Laskowski w wywiadzie na ostatnich stronach przewodnika. Rytułał, kanon, licytacja, używanie historii w celu wywalczenia władzy symbolicznej – to zjawiska, których uniknąć chce wielu przedstawicieli z lewicy, co jednak skazuje ich na działanie w subtelnej niszy.



Emocjonalny ton dominuje w Polsce w dyskusjach o historii – często budowanej na poczuciu krzywdy, wykluczenia i strachu przed zakłamaniem. W prawicowych kręgach widać świadome budowanie emocjonalnej wspólnoty opartej na odpowiednio zilustrowanej wizji tradycji. Łódzka lewica postanowiła nie oddawać całego pola. Jak piszą na łamach „Jednodniówki” z obchodów 109. rocznicy Rewolucji: „Historia [...] pokazuje, że pewne procesy społeczne powtarzają się po upływie stu lat”. Wraz z nastaniem kryzysu ekonomicznego poglądy wielu ludzi zaczęły się radykalizować. Dobrze dyskontuje to w Polsce prawica, łącząc silną narodową narrację z potrzebą sanacji sfery publicznej i socjalnymi gestami. Rewolucja może być dla lewicy kontrargumentem i mitem – choć wielu z jej sympatyków woli mity raczej dekonstruować niż tworzyć.

110 lat później

W 2015 roku obchody upamiętniające rewolucję były już oczekiwane i wielowymiarowe. W rocznicę zaangażował się Urząd Miasta Łodzi, Muzeum Tradycji Niepodległościowych i Krytyka Polityczna, a także inne instytucje i organizacje pozarządowe. „Spacer do

grobow rewołucionistów, strona poświęcona rewołucji, fanpage na portalu społecznościowym Facebook, cykl internetowych memów, przemarsze, występy Krakowskiego Chóru, Rewolucyjnego działania performatywne” – wymienia działania z okazji obchodów rocznicy Michał Gauza z łódzkiego klubu Krytyki Politycznej. Dzięki użyciu internetu i tradycyjnych drukowanych jednodniówek „Łodzianka” aktywiści kolejny raz przypominają o śladach i uczestnikach rewołucji w naszym mieście. Temat jest przecież niezwykle kulturotwórczy. Muzeum Kinematografii przypomniało *Gorączkę* Agnieszki Holland i *Czerwone ciernie* Juliana Dziedziny. Rewolucją interesują się Teatr Nowy i Teatr Chorea.

W ramach festiwalu Łódź Czterech Kultur ze znaczącym podtytułem *Podwórka kontra pałace* powstało słuchowisko *Lepka purpura łódzkich kwiatów*. Projekt Krzysztofa Czeczota został zrealizowany w podwórku jednej z opuszczonych śródmiejskich kamienic, nieopodal miejsca, gdzie w czerwcu 1905 roku najdłużej broniono barykady. Scenariusz przygotowany został w oparciu o archiwalne relacje uczestników tamtych wydarzeń, a także fragmenty dokumentów z epoki i poetycką relację zawartą w *Kwiatach polskich* Tuwima.

Rewolucja pojawia się też w świecie sztuk plastycznych. Niedługo fundacja Urban Forms zrealizuje mural – kolejny punkt na mapie „miejsc rewołucji”. Muzeum Sztuki w ramach wystawy *Atlas Nowoczesności* pokazuje prace nieznanego dotąd grafika Stanisława Notariusza, świadka wydarzeń. Ekspresjonistyczne czarno-białe prace pokazują starcia uliczne, eksplozje i oddziały żołnierzy. Pojawiają się też wyciągnięte z archiwów i szaf wspomnienia uczestników. Potencjał oddziaływania Rewolucji 1905 roku jest więc ogromny i warto pamiętać o wszystkich jej aspektach. Emancypacji chłopów i robotników, potrzebie demokratyzacji i godnej pracy. Walce o niepodległość, w którą mało kto wierzył, że miała ona nadejść tak szybko. Przemocy caratu i radykalizacji nastrojów. Porewołucyjnym chaosie, kaźniach, katorgach, prześladowaniach ludności żydowskiej i o ulicznej wojnie domowej między radykalną prawicą a lewicą. Wreszcie o tym, że rewołucje wybuchają niespodziewanie i przewracają do góry nogami życie tysięcy zwykłych ludzi.

Błażej Filanowski

Przywołane teksty i publikacje:

1. *Rewolucja 1905 roku. Przewodnik Krytyki Politycznej*, red. Kamil Piskała i Wiktor Marzec, Warszawa 2013.
2. Mikołaj Mirowski, Lewicy strach przed historią, „Tygodnik Powszechny” nr 33, 26.08.2015.
3. „*Utopie w dystonii. Rzecz o łódzkich dyskursach*”, Kamil Śmiechowski, „Arterie” nr 3(17) 2013.

4. *W rocznicę robotniczego zrywu*, wpis na stronie Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi (www.lodz.uw.gov.pl), dostęp 27 sierpnia 2015 r.
5. Marta Skłodowska, Jakub Wiewiórki, *Pomnik Czynu Rewolucyjnego: żołnierze LWP przeszli do cywila*, „Gazeta Wyborcza – Gazeta Łódzka”, z dn. 10.01.2007 roku, dostęp 27 sierpnia 2015 r.
6. *85 najbogatszych ma tyle pieniędzy, co połowa świata*, tekst w internetowym wydaniu „Forbes”, tekst z 20.01.2014, dostęp 27 sierpnia 2015 r.
7. *Wykluczeni z historii*, wywiad Sebastiana Frąckiewicza z Ewą Domańską, internetowe wydanie „Fokus. Historia”, tekst z dnia 13 stycznia 2011, dostęp internetowy 20 sierpnia 2015 r.
8. Łodzianka. Jednodniówka na 109 rocznicę Powstania Łódzkiego, Łódź 2014.

Rewolucja, powstanie, bunt...

Na łódzkich barykadach 1905 roku

W czerwcu 1905 roku wybuchły w Łodzi kilkudniowe krwawe walki, w których miejscowi robotnicy starli się z rosyjskim wojskiem i policją. Dla części spośród uczestników tych ulicznych batalii były one aktem kolejnego narodowego powstania skierowanego przeciwko zaborcy i mającego na celu wywalczenie niepodległej Polski, dla innych – etapem społecznej rewolucji wymierzonej w carat i kapitalistyczny porządek. Dziś niejednoznacznie interpretują te wydarzenia również historycy, którzy podkreślają przenikanie się w hasłach „zbuntowanej Łodzi” postulatów patriotycznych i socjalnych, elementów zorganizowanego oporu i żywiołowego, anarchicznego buntu.

Aby zrozumieć przyczyny łódzkiej rewolty, należy jednak cofnąć się w czasie do lutego 1904 roku, kiedy to na Dalekim Wschodzie wybuchła wojna rosyjsko-japońska, spowodowana zacieklą rywalizacją polityczną i gospodarczą obydwu państw na obszarach Korei i Mandżurii. W przekonaniu ówczesnych elit politycznych i generacji imperium carów wojna z małą Japonią miała być dla rosyjskiej armii przysłowiowym „spacerkiem”, a wojska carskie powinny „zarzucić Japończyków czapkami”. Szybkie pokonanie tego wyspiarskiego kraju traktowano w tych środowiskach nie tylko jako drogę do umocnienia pozycji Rosji na Dalekim Wschodzie, ale także jako niezawodny środek służący odbudowie prestiżu cara-samodzierżawcy Mikołaja II, nadszarpniętego przez trudności ekonomiczne i wywrotową, terrorystyczną działalność rewolucjonistów spod różnych sztandarów. Jak to ujął ówczesny rosyjski minister spraw wewnętrznych Plehwe, to miała być „mała, zwycięska wojna”, w której sukces dwugłowego orła spowodowałby ponowne okrzepnięcie rozchwianego imperium i politycznego autorytetu jego władcy.

Decyzja cara i jego najbliższych doradców, stawiających na międzynarodowy – w założeniach zwycięski, rzecz jasna – konflikt jako środek do ustabilizowania sytuacji wewnętrznej w Rosji, wynikała z faktu, iż na przełomie XIX i XX stulecia przeżywała ona głębokie trudności gospodarcze. Kryzys ekonomiczny, który dotknął Cesarstwo Rosyjskie w latach 1900–1903, zwiększył dysproporcje społeczne, wygenerował wysokie bezrobocie oraz pogorszył znacząco materialną sytuację robotników. Gospodarka rosyjska nie była wydajna, a rynek został zmonopolizowany przez

syndykaty. Już 1 maja 1900 roku doszło do antyrządowych manifestacji w Charkowie, w latach 1901–1902 wybuchały liczne strajki robotnicze w Moskwie, Petersburgu, Jekaterynosławiu, Odessie i Batumi. Sprzeciw wobec materialnych warunków egzystencji robotników narastał w samej Rosji, na Ukrainie i na Kaukazie. Towarzyszyły im protesty chłopskie na wsi.

Jednak zupełnie niespodziewanie konflikt z Japonią okazał się pasmem spektakularnych katastrof militarnych carskiej armii, a zakończył się całkowitą klęską polityczną i prestiżową Petersburga. Zdyscyplinowane, dobrze wyszkolone, uzbrojone nad podziw nowoczesnie i profesjonalnie dowodzone wojska japońskie najpierw zmusiły w styczniu 1905 roku do haniebnej kapitulacji rosyjską twierdzę Port Arthur na Półwyspie Liaotuińskim, a dwa miesiące później zdruzgotały armię przeciwnika w wielkiej lądowej batalii pod Mukdenem. Czarę goryczy przepełniła przegrana floty carskiej w bitwie morskiej pod Cuszimą w maju 1905 roku. W wyniku serii błyskotliwych sukcesów militarnych Japonia – po podyktowanym Rosji traktacie pokojowym – objęła w posiadanie cały Półwysep Liaotuiński i połowę wyspy Sachalin oraz rozciągnęła swój protektorat na sąsiednią Koreę.

Zarzewie przyszło z Petersburga

Jednak to nie dotkliwe niewątpliwie straty terytorialne i ograniczenie dalekowschodniej strefy wpływów, ale gwałtowny wybuch społeczny miał okazać się dla caratu najgroźniejszą konsekwencją nieudanej wojny. Car – ośmieszony, ponoszący prestiżowe klęski na arenie międzynarodowej, głuchy przy tym na problemy socjalne poddanych, stał



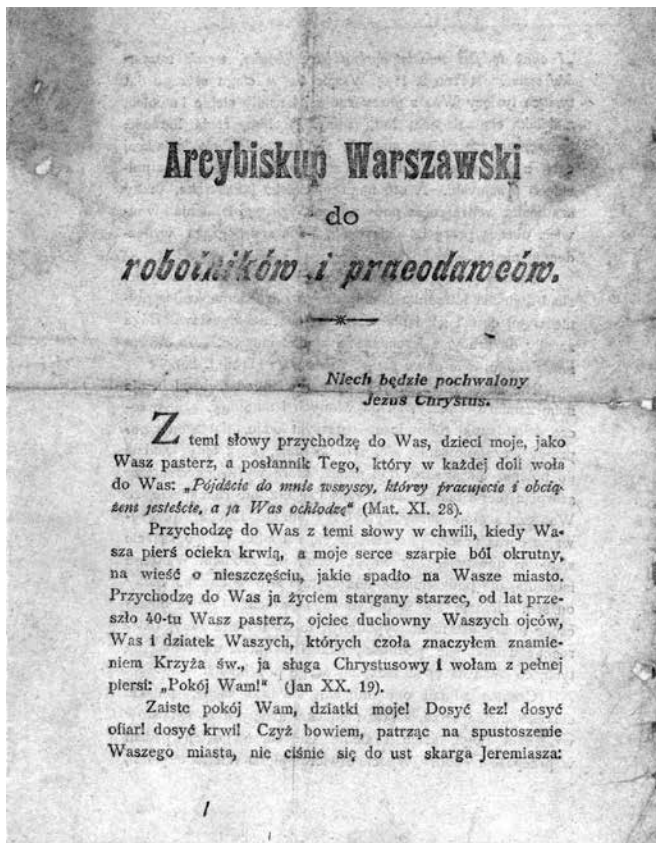
się celem zmasowanej krytyki politycznej i adresatem licytowanych coraz wyżej żądań społecznych. Rostała fala demonstracji, tłumionych bezwzględnie, krwawo i – wobec determinacji manifestantów – nieco desperacko przez policję i wojsko. Spośród tych pacyfikacji najbardziej brzemienna w skutki miała okazać się masakra pokojowej manifestacji w Petersburgu 22 stycznia 1905 roku, która przeszła do historii jako „krwawa niedziela”.

Tragiczna w skutkach demonstracja została zorganizowana z inicjatywy prawosławnego duchownego (a zarazem współpracownika tajnej rosyjskiej policji politycznej – Ochrany), Gieorgija Gajdara. Wielki marsz pod Pałac Zimowy miał zakończyć się wręczeniem petycji „dobremu Ojcu” – carowi, podpisanej przez blisko 150 tysięcy sygnatariuszy. Domagano się w niej ośmiogodzinnego dnia pracy oraz amnestii dla więźniów politycznych. W manifestacji wzięło udział ponad 100 tysięcy robotników, rzemieślników i inteligentów; mężczyzn i kobiet. Demonstranci, chcąc okazać swe przywiązanie do tronu i Cerkwi, nieśli portrety cara i śpiewali religijne pieśni. Nie uchroniło ich to jednak przed brutalnym atakiem ze strony wojska i policji. W wyniku szarż kawaleryjskich i ostrzału zabitych i rannych zostało ponad tysiąc protestujących (oficjalnie władze przyznały, iż w „tłumieniu buntu” zginęło nieco ponad 100 „miałeżników”, a około 300 odniosło rany).

Decyzję o krwawej pacyfikacji demonstracji podjął osobiście car, który zbiegł ze stolicy do Carskiego Sioła. Katastrofalny w skutkach – również dla Mikołaja II – rozkaz dotyczący bezwzględnego rozpędzenia manifestacji skrzytkowali nie tylko liberalni rosyjscy politycy, intelektualiści i dziennikarze, a nawet... cesarz niemiecki.

„Krwawa niedziela” okazała się prawdziwym zapalnikiem dla wrzących nastrojów społecznych. Zapoczątkowała wielką falę demonstracji i strajków w całym imperium. Objęła ona również ziemie polskie. Strajki w różnych miastach Rosji do końca stycznia 1905 roku podjęło prawie pół miliona robotników. Szybko zaczęły protestować także centra przemysłowe w Królestwie Polskim i na Wybrzeżu Bałtyckim. W Rydze 31 stycznia zostało zabitych 70 protestujących. W Warszawie kilka dni później zastrzelono na ulicach około 100 uczestników strajków i manifestacji. Wiosną strajki wybuchały już nawet na Kaukazie i Uralu. W Petersburgu Lew Trocki, przyszły najbliższy współpracownik Lenina (po przewrocie dokonanym przez niego w 1917 roku), główny agitator bolszewików i twórca Armii Czerwonej, ogłosił strajk powszechny, podnosząc hasło „Cała władza w ręce rewolucyjnych Rad!”. Część żołnierzy poparło protestujących i utworzyło Rady Delegatów Żołnierskich, które przejęły władzę w wielu jednostkach. W październiku strajki sparaliżowały całą Rosję.

Dopiero wówczas Mikołaj II zdecydował się przejść do działania. 30 października 1905 roku wydał tzw. Manifest Konstytucyjny (Manifest Październikowy), w którym obiecał poszanowanie podstawowych wolności obywatelskich, ustanowienie parlamentu oraz rządu z premierem, którym został Siergiej Witte. Parlament miał składać się z dwóch izb. Izbę wyższą tworzyła powołana przez cara Rada Państwa, izbę niższą



natomiast – Duma Państwowa pochodząca z wyborów. Pierwsza Duma już w lipcu 1906 roku została rozwiązana przez rozczarowanego jej „radykalizmem” Mikołaja II, druga – wybrana w 1907 roku – podzieliła los poprzedniczki, dopiero trzecia, w której większość stanowili zwolennicy samodzierżawia, przetrwała pięć lat. W 1906 roku Mikołaj II zastąpił też premiera Wittego Piotrem Stołypinem, który z jednej strony, stosując krwawe represje, stłumił ostatecznie wystąpienia rewolucyjne, z drugiej – przeprowadził ważne reformy, znosząc wspólnoty gminne na rzecz indywidualnych gospodarstw, wprowadzając wolność zrzeszania się, przekształcając szkolnictwo i modernizując zasady służby wojskowej.

Wielki łódzki strajk

W trakcie rewolucyjnych wydarzeń z lat 1905–1906, rozgrywających się na ziemiach dawnego Królestwa Polskiego, przemianowanych po Powstaniu Styczniowym na Kraj Nadwiślański, jednym z najważniejszych ośrodków antycarskich i antykapitalistycznych, patriotycznych, a zarazem rewolucyjnych wystąpień okazała się Łódź. Już 26 stycznia

1905 roku rozpoczął się wielki strajk w fabrykach będących własnością potężnych „Lodzermenschów” – zakładach Steinerta, przedsiębiorstwach Towarzystwa Akcyjnego Geyera, Towarzystwa Akcyjnego Silbersteina, Towarzystwa Akcyjnego Schweikerta, Towarzystwa Akcyjnego Rosenblatta, Towarzystwa Akcyjnego Leonhardta, Woelkera i Girbardta, zakładach Braci Dobranickich, Stolarowa i Richtera. Pracę porzuciło początkowo około 10 tysięcy robotników.

Następnego dnia ogłoszony został strajk powszechny pod hasłami ustanowienia ośmiogodzinnego „dnia roboczego”, stawki minimalnej płacy (15 kopiejek za godzinę) i dodatkowej zapłaty za nadgodziny, zakazu zatrudniania w fabrykach dzieci poniżej 16 roku życia, stworzenia systemu zabezpieczeń socjalnych dla robotników, powołania do życia kas chorych na koszt fabrykantów, wprowadzenia urlopów macierzyńskich oraz pomocy lekarskiej dla rodzin pracowników. Ważne były też postulaty godnościowe – robotnicy domagali się na przykład zaprzestania upokarzających rewizji osobistych w fabrykach. Do wieczora pracę przerwało ponad 70 tysięcy robotników. Nazajutrz ta liczba powiększyła się do około 100 tysięcy zdesperowanych pracowników łódzkich fabryk.

Równocześnie zastrajkowali kolejarze na stacjach Łódź Kaliska i Łódź Fabryczna. Strajk objął także warsztaty rzemieślnicze. Pod wpływem strajku zamknięto sklepy, restauracje, teatry, poczty i drukarnie. Stały łódzkie tramwaje. Odbływały się kilkutyśięczne zgromadzenia, manifestacje i pochody na głównych ulicach miasta – Średniej (dziś Pomorskiej) i Piotrkowskiej. Dochodziło do starć z rosyjską policją i wojskiem przed Grand Hotelem.

W odpowiedzi na rozszerzające się protesty 29 stycznia w mieście wprowadzony został przez władze „stan wzmożonej ochrony”. Wojsko obsadziło instytucje użyteczności publicznej: pocztę, telefon, banki, dworce kolejowe, gazownię i rzeźnię. Pomimo tych podjętych przez władze „środków ostrożności” na początku lutego w dniu wypłat doszło do zaburzeń w fabryce Towarzystwa Akcyjnego Heinzla i Kunitzera na Widzewie. Ponownie do akcji weszły jednostki Kozaków i wojska. W walkach z rosyjską kawalerią i piechotą, które z widzewskich zakładów przeniosły się na szosę Rokicińską, wzięło udział blisko 10 tysięcy robotników z pobliskich fabryk. Na samej szosie zbudowano barykadę, aby zabezpieczyć się przed szarżą Kozaków. Była to pierwsza wzniesiona w Łodzi barykada w trakcie rewolucji. W tym samym dniu doszło do starć wielotysięcznych tłumów robotniczych z siłami porządkowymi przed zakładami Geyera oraz na Górnym i Wodnym Rynku. W lutym także w odpowiedzi na determinację robotników, gdy rozwiązania siłowe nie przyniosły rozstrzygnięcia, fabrykanci skrócili czas pracy do dziesięciu godzin i podwyższyli płace robotnicze.

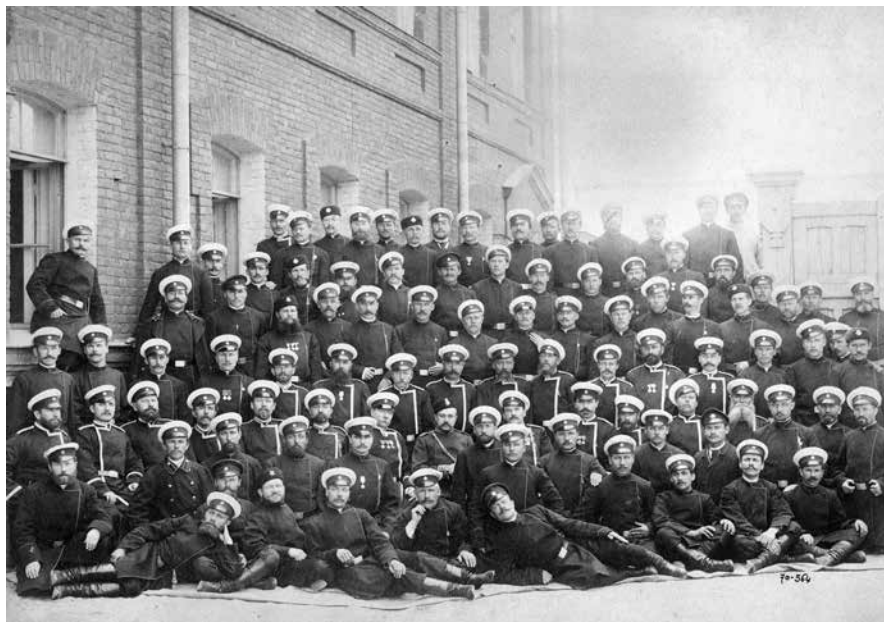
Koncentracja carskiej armii

Wzrost napięcia w Łodzi spowodował, iż zaborcy zaczęli ściągać doń coraz liczniejsze jednostki wojskowe. Warto przypomnieć, iż nawet w latach międzynarodowej stabilizacji

okresu *Belle Epoque* oraz względnego społecznego spokoju zgrupowane były w Łodzi znaczące siły rosyjskie. Stanowiły je duże jednostki, wchodzące na przełomie XIX i XX wieku w skład V Korpusu armii carskiej. Jego sztab i dowództwo umiejscowione były w Warszawie. Natomiast w Łodzi ulokowane były: sztab 10 Dywizji Piechoty, 37 Jekaterynburski Pułk Piechoty i 40 Koływański Pułk Piechoty (obydwa zaliczane do 1 Brygady Piechoty, należącej do wspomnianej dywizji), 10 Brygada Artylerii oraz 5 Doński Pułk Kozaków.

W „gorącym” okresie rewolucji 1905 roku do niepokornego miasta celem stłumienia rozruchów i spacyfikowania „buntowników” dodatkowo ściągnięte zostały jednostki 38 Tobolskiego Pułku Piechoty ze Skierniewic i 39 Tomskiego Pułku Piechoty z Łowicza (zaliczane do składu 2 Brygady Piechoty, należącej do 10 Dywizji Piechoty) oraz 22 Niżnogrodzkiego Pułku Piechoty, 21 Muromskiego Pułku Piechoty, 54 Nowomirgorodzkiego Pułku Dragonów, 6 Dońskiego Pułku Kozaków, 16 Głuchowskiego Pułku Dragonów, 62 Suzdalskiego Pułku Piechoty i 18 Klastyckiego Pułku Dragonów. Miasto stało się prawdziwym bastionem carskiej armii.

W rezultacie tych alarmowych przesunięć i dyslokacji w drugiej połowie 1906 roku w Łodzi stacjonowały ostatecznie następujące pułki: 37 Jekaterynburski Pułk Piechoty, 40 Koływański Pułk Piechoty, 61 Włodzimierzowski Pułk Piechoty, 5 Doński Pułk Kozaków, 16 Głuchowski Pułk Dragonów, 48 Ukraiński Pułk Dragonów i 10 Brygada Artylerii. Na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej Rosjanie planowali jeszcze przeprowadzenie reorganizacji dyslokacji swych jednostek.



Wiązało się to z utworzeniem nowego XXIII Korpusu. Do Łodzi przeniesiono z Płocka samodzielną 1 Brygadę Strzelców i 1 Dywizjon Artylerii Strzelców.

Narodowe powstanie czy walka socjalna

Wystąpienia przeciwko samodzierżawiu na ziemiach Nadwiślańskiego Kraju miały, jak już wcześniej wspomniano, podwójny charakter – patriotyczno-irredentystyczny i społeczno-rewolucyjny. Podczas licznych demonstracji hasła zbrojnej walki o niepodległość pojawiały się obok żądań o wydzwieńku ekonomicznym. Rozmaicie zapatrywali się również na zasadniczy cel walki z caratem przywódcy polskiego ruchu socjalistycznego, którzy starali się pokierować żywiołową rewoltą.

Dla lidera Polskiej Partii Socjalistycznej Józefa Piłsudskiego, skupionych wokół niego tzw. starych działaczy partyjnych oraz członków Organizacji Bojowej PPS była nim niepodległa i sprawiedliwa społecznie Polska. To do jej odrodzenia miało doprowadzić narodowe powstanie, w które chcieli przekształcić antycarskie wystąpienia na ziemiach zaboru rosyjskiego. Jak wiadomo, jeszcze w 1904 roku Piłsudski pojechał nawet do Tokio, aby zaoferować rządowi japońskiemu – w zamian za dostawy broni i pomoc finansową dla polskich irredentystów – działania wywiadowcze i dywersję na zachodniej flance rosyjskiej.

Planom powstańczym przeciwstawiali się zdecydowanie młodszy partyjnym sztafem pepeesowcy oraz działacze Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, którzy podkreślali zgodnie przede wszystkim konieczność walki o reformy społeczne wspólnie z robotnikami rosyjskimi i negowali hasła niepodległościowe jako nierealne i szkodliwe dla „jedności mas pracujących rosyjskiego imperium”.

Tymczasem narastała w Łodzi fala starć pomiędzy robotnikami a policją i wojskiem. Gwałtowne, choć krótkotrwałe walki wybuchały nie tylko podczas pacyfikowania strajków i rozpędzania ulicznych manifestacji, ale także w wyniku ataków na posterunki wojskowe i patrole policyjne oraz prób odbijania ujętych przez Rosjan bojowników. Ofiarami zamachów padali zarówno wysocy funkcjonariusze, jak i tajni agenci rosyjskiej policji. W rezultacie tej podjazdowej ulicznej wojny w pierwszych miesiącach 1905 roku śmierć poniosło kilkanaście osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Wreszcie 1 maja wybuchł strajk inspirowany przez Polską Partię Socjalistyczną. Od tego dnia, kiedy wojsko rosyjskie szarżowało na pochody robotnicze, ostaniane przez bojowców PPS, uzbrojonych w rewolwery, strajki i gwałtowne walki uliczne wybuchały prawie codziennie.

Ofiarą Kozaków i rosyjskiej policji padali przy tym nie tylko polscy robotnicy manifestujący przeciwko narodowemu i społecznemu zniewoleniu, ale także Żydzi, do których niechęć żywili zarówno przedstawiciele rosyjskiej administracji, jak i korpusu oficerskiego oraz szeregowi żołnierze – rosyjski antysemityzm szedł tu o lepsze z wrogością wobec stereotypu Żyda rewolucjonisty, odpowiedzialnego za anarchizowanie tradycyjnie wiernego carowi, bogobojnego, prawosławnego rosyj-

skiego społeczeństwa. Tak zapamiętał antyżydowskie ekscesy, w których brali udział rosyjscy wojskowi, słynny łodzianin, wirtuoz fortepianu, wielki muzyk i kompozytor Artur Rubinstein: „Z bocznej ulicy wypadł oddział kozaków, wymachując nahajkami. Gdy ofiary z rozpaczliwym wrzaskiem uciekały, aby ocalić życie, rozwścieczeni kozacy napadali na niewinnych przechodniów, przeważnie starych Żydów w długich chałatach, tratując i raniąc, kogo popadło”.

Pierwsze ofiary

Dalszy wzrost napięcia przyniósł starcie, do jakiego doszło 18 czerwca na ulicy Łagiewnickiej pomiędzy oddziałami rosyjskiej piechoty a kilkoma tysiącami wzburzonych robotników. Rosjanie zabili pięciu spośród nich, a kilkunastu zranili. Dwa dni później pogrzeb ofiar przerodził się w wielką manifestację, której Rosjanie nie odwagali się stawić czoła. Jednak już nazajutrz na przecięciu Piotrkowskiej oraz dzisiejszych ulic Żwirki i Wigury wojsko zaatakowało 70-tysięczny pochód, zabijając około 30 demonstrantów. Wypadki te okazały się przysłowiową iskrą na prochy. Po masakrze z 21 czerwca robotnicy zaczęli otwarcie mówić o odwecie. Partyjni agitatorzy albo nie zdążyli zareagować na nową falę wzburzenia, albo wręcz odradzali sięganie po broń. Było jednak za późno.

100 barykad

Od rana 22 czerwca w całej Łodzi dochodziło do napadów na wojskowe i policyjne patrole, które przerodziły się wieczorem w regularne bitwy grup robotników z żołnierzami i policjantami rosyjskimi. Jednak był to zaledwie prolog wydarzeń, które w ciągu następnych dwóch dni miały wstrząsnąć miastem. O zmierzchu w wielu punktach Łodzi zaroiło się od robotników, wśród których byli również członkowie polskich partii socjalistycznych. Pod osłoną nocy zaczęły wyrastać na ulicach zasieki z drutu. Wznoszono też barykady. Już następnego dnia w całej Łodzi było ich około... 100!

Nazajutrz, 23 czerwca, wybuchł strajk we wszystkich łódzkich fabrykach, a tłumy wyległy na ulice. Kiedy rosyjskie wojsko rozpoczęło działania zmierzające do opanowania zabudowań fabrycznych i przywrócenia kontroli nad miejskimi arteriami, rozpętała się prawdziwa bitwa. Przeciwko regularnym oddziałom rosyjskiej piechoty i kawalerii wystąpili robotnicy, którzy walcząc wręcz drągami, miotając na szarżujących Rosjan kamienie i cegły, wreszcie lejąc na nich z okien domów żrące kwasy wyniesione z fabryk, gorącą smołę i wrzątek, usiłowali nie dopuścić do zajęcia przez nich i rozebrania barykad.

Wspierali ich uzbrojeni w rewolwery i karabiny bojowcy PPS. Tak wspominał ich później Ignacy Daszyński, socjalista i działacz niepodległościowy, w II Rzeczypospolitej przywódca związkowy i pierwszy premier odrodzonego w 1918 roku państwa, w przedmowie do książki Jana Kwapińskiego, innego socjalistycznego działacza, samorządowca i polityka, ostatniego prezydenta Łodzi przed wybuchem drugiej wojny światowej: „Ale jacyż to dziwni byli »żołnierze«. Nie chciał ich kraj

»uspokojony« po 1863 roku, bał się ich i przeklinał; nie mieli odznak żołnierskich, broń musieli kryć przed okiem szpiegów carskich i prowokatorów, a czekała ich nie śmierć na polu bitwy, lecz skatowanie przez zbirów carskich lub – sąd wojenny i szubienica... W najlepszym razie straszna rosyjska katorga. Jawna prasa polska rzuciła na ich groby ciężkie kamienie oszczerstwa i obelgi, a tylko w podziemiach rewolucji otaczano ich nazwiska – pseudonimy skromnym wieńcem chwały. A przecież była to jedyna siła w narodzie, która z potęgą niepokonanego żywiołu dążyła do Niepodległej Ojczyzny! Dążyła do niej z całą świadomością, że bez zjednoczenia i wyzwolenia Polski nie ma co marzyć o nowoczesnym życiu, o rozwoju, o sile klasy robotniczej polskiej, rozbitej w zaborach na trzy odłamy, z konieczności słabe i niezdolne do wypełnienia historycznej misji proletariatu”.

Natomiast Róża Luksemburg, ideolog i lider konkurującej z PPS o „rząd dusz” robotniczych Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, tak opisywała i oceniała łódzką rewoltę: „Ciężko i z mozołem zdobywał absolutyzm swoje »zwycięstwo«. Łódź była ogniskiem nieprzerwanych demonstracji, strajków powszechnych, starć z żołdactwem – przez pięć dni w Łodzi wrzała nieprzerwana walka. »Prawa« i bezprawia absolutyzmu, jarzmo kapitału były stratowane, zmiecione, masa robotnicza roztoczyła nad miastem swoją burzliwą, falującą jak morze, groźną potęgę – w Łodzi przez pięć dni panią wszechwładną była rewolucja!”.

Bezprecedensowa mobilizacja robotników

Rozpraszani przez salwy rosyjskie robotnicy wycofywali się, ale tylko po to, aby po odejściu wojska powrócić, odbudować i powtórnie obsadzić uliczne zapory. Najbardziej zaciekłe i krwawe walki toczyły się na ulicy Wschodniej, Południowej (dziś Rewolucji





1905 roku), Średniej (Pomorska), Mikołajewskiej (dziś Sienkiewicza), Ogrodowej i Piotrkowskiej. Obraz zrewoltowanego miasta z patosem malował w swych wspomnieniach Jechiel Jeszaja Trunk: „Dziesiątki tysięcy mieszkańców Bałut pojawiło się na Piotrkowskiej. Las czerwonych sztandarów rozpiął się nad maszerującą masą. Szczelnie zawarty się bramy i okna. Bałuty wdarły się na łódzkie ulice i wszczęły walkę. Przewrócono tramwaje, wyrwano latarnie, wyrwano bramy, drzwi, odrzwia. Starzy i młodzi, kobiety i dzieci – wszyscy budowali barykady”.

Wystąpienia robotników były jednak nieskoordynowane, brak było planu działań i wspólnego dowództwa kierującego akcją w poszczególnych rejonach miasta. Politycznej i wojskowej kontroli nad zrewoltowanym żywiołem nie zdołała przejąć ani SDKPiL, ani PPS. W Łodzi to nie partie – niepodległościowe i rewolucyjne – organizowały strajki, pochody i uliczne batalie z rosyjskim wojskiem, lecz spontanicznie gromadzący się robotnicy i ich okazjonalnie wyłaniany liderzy. Robert Blobaum, profesor historii na West Virginia University i autor książki *Rewolucja: Russian Poland, 1904–1907*, konstatował: „Miała miejsce bezprecedensowa mobilizacja robotników. Nie powiedziałbym, żeby była ona całkiem spontaniczna, to nie byłoby precyzyjne, choć niewątpliwie była samoistna i żywiołowa. Był to bowiem proces zupełnie inny niż mobilizacja proletariatu pod koniec tego roku czy jeszcze później, kiedy partie polityczne odgrywały już znacznie większą rolę. Były one prawie nieobecne”.

Warto przypomnieć, iż nawet najbliższy współpracownik Piłsudskiego, doskonały organizator i doświadczony bojowiec, Walery Sławek, który został przysłany z Warszawy „dla uporządkowania walk ulicznych”, nie zdołał nadać wystą-

pieniom zorganizowanego charakteru. Jego biograf, a zarazem znany łódzki badacz wydarzeń 1905 roku Paweł Samuś przytacza taką znamieną opinię swego bohatera o walkach w „polskim Manchesterze”: „Z przewracanych wozów, pak do śmieci lub od towarów, drabin wyciągniętych z sąsiedniej bramy, robiono w poprzek ulicy barykady. Nikt tej barykady bronić nie mógł, gdyż kula karabinowa przebiegała swobodnie tę wysoką górę różnych narzuconych przedmiotów. Nikt jej nie bronił jeszcze i z tego względu, że nie była ona częścią jakiegoś planu ogólnego, powiedzmy zamiaru bronienia części miasta”.

Sławek relacjonował z goryczą, iż bojowe oddziały PPS nie były „żadną siłą, za pomocą której można by objąć kierownictwo zrewoltowanego tłumu, że brak broni, brak wyszkolonych bojowców, którzy by mogli bardziej celową walkę poprowadzić, sprowadzał cały ruch do ekscytowania nastrojów”. Nie udało się również próba dokonania spektakularnego zamachu na oddziały rosyjskiego wojska. „Chciałem dla dania pewnej satysfakcji jakiegoś odwetu rzucić bombę w oddział piechoty rosyjskiej lub patrol kozacki. Przemysłaliśmy się z miejsca na miejsce nawet po dachach domów, aby taki obiekt złapać. Lecz wojsko poruszało się w formacjach rozsypanych, a raczej zajęło pewne punkty i rzadko przesuwało się wzdłuż ulic. Toteż nic nie zdołaliśmy zrobić. Po całym dniu bezskutecznych usiłowań późną nocą, gdy miasto zamarło, przekradaliśmy się od bramy do bramy, by gdzieś się samym ukryć” – wspominał później rozczarowany fiaskiem swych planów Sławek.

Krwawe zdławienie rewolty

W świetle ocen doświadczonego bojowca staje się jasne, dlaczego – wobec rzucenia przez Rosjan do walki znacznych sił, na które składały się cztery pułki piechoty, dwa pułki dragonów i kilka sotni kozaków – 24 czerwca Rosjanie zaczęli opanowywać sytuację. Przez cały dzień wojsko likwidowało barykady i tłumiło punkty oporu, a policja przeprowadzała masowe aresztowania.

Następnego dnia, 25 czerwca, władze rosyjskie ogłosiły w Łodzi i w całym powiecie łódzkim stan wojenny. Trudno uznać tę decyzję za działanie *post factum*, gdyż manifestacje, wiece, a przede wszystkim akcje strajkowe wybuchały w mieście aż do 1907 roku, choć z różnym nasileniem. I tak na przykład w odpowiedzi na wyrok sądu polowego w Łodzi, na mocy którego 10 października 1906 roku stracono pięciu robotników, zastrajkowały na znak protestu wszystkie fabryki łódzkie. Łącznie pracę przerwało blisko 70 tysięcy robotników. Napięcie w mieście było tak duże, że 29 grudnia 1906 zaczęto zamykać łódzkie fabryki, a robotników wysiedlać z miasta.

W rezultacie dwudniowych walk w Łodzi, które okazały się najbardziej dramatycznym i krwawym akordem rewolucji 1905 roku na ziemiach polskich, zginęło prawdopodobnie dwa tysiące cywilów. Straty rosyjskiego wojska i policji – trzech zabitych i siedmiu rannych – były nikłe. Jednak, jak się okazało, to nie bilans poległych miał określać znaczenie łódzkiej rewolty i wydarzeń całej rewolucji w polskiej historii.

Zwycięstwo: polski język w szkole

Rewolucja 1905 roku w Łodzi jako element szerszej rewolty na ziemiach polskich miała na swoim koncie również konkretne sukcesy, choć niewspółmierne do strat osobowych i zakresu represji, jakie spadły na uczestników wydarzeń, stanowiące przy tym nie tyle wynik buntu robotników w „polskim Manchesterze”, ile raczej refleks akcji w skali całego Nadwiślańskiego Kraju. Władze zaborcze zgodziły się między innymi na utworzenie pierwszej w mieście polskiej męskiej szkoły średniej, czyli Prywatnego Progimnazjum Męskiego Radwańskiego. Otwarta szkoła jako pierwsza placówka oświatowa w Łodzi uzyskała oficjalne zezwolenie na wprowadzenie polskiego języka wykładowego i dlatego była powszechnie znana jako Progimnazjum Polskie Radwańskiego. Jej działalność zainaugurowano 17 października 1906 roku. Obecnie jej tradycje kontynuuje II Liceum Ogólnokształcące im. Gabriela Narutowicza w Łodzi, mieszczące się przy ulicy Nowej 11/13.

Warto też zacytować ocenę rewolty dokonaną przez profesora Feliksa Tycha, znawcę tematyki rewolucji 1905 roku na ziemiach polskich i w Łodzi, którą zawarł w interesującej rozmowie z młodym łódzkim historykiem Kamilem Piskalą, opublikowanej w wydawnictwie *Rewolucja 1905 roku Przewodnik „Krytyki Politycznej”*: „Był to pierwszy zryw wolnościowy w porozbiorowej Polsce, którego zakończenie nie oznaczało pogorszenia sytuacji Polaków. Wręcz przeciwnie, doprowadzono przecież na przykład do tego, że w prywatnych szkołach można było nauczać w języku polskim, w Dumie zasiedli polscy posłowie, pojawiły się możliwości tworzenia organizacji społecznych i zelżała cenzura. To były naprawdę duże i odczuwalne zmiany”.

Pamiętać wreszcie trzeba, iż w 1905 roku Łodzi po raz pierwszy od upadku Powstania Styczniowego miał miejsce zryw, którego jednym z wiodących haseł była niepodległość Polski. Pierwszy raz od klęski styczniowych insurgentów z bronią w ręku stawiono czoła regularnej rosyjskiej armii. Udział w walkach był również chrztem bojowym dla tych, którzy idąc za Józefem Piłsudskim już w parę lat później, tworzyć będą na terenie zaboru austriackiego polskie organizacje paramilitarne – kolebkę Legionów Polskich.

Przemysław Waingertner

historyk, prof. dr hab., pracownik naukowy Instytutu Historii UŁ

Bibliografia

1. Blobaum R., *Rewolucja: Russian Poland, 1904–1907*, Ithaca – New York 1995.
2. Bortnowski W., Mroczyńska L., *Dwa powstania*, Łódź 1974.
3. *Dziedzictwo rewolucji 1905–1907*, red. A. Żarnowska i in., Warszawa – Radom 2007.

4. Kalabiński S., Tych F., *Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja. Lata 1905–1907 na ziemiach polskich*, Warszawa 1976.
5. Karwacki W. L., *Łódź w latach rewolucji 1905–1907*, Łódź 1975.
6. Korzec P., *Walki rewolucyjne w Łodzi i okręgu łódzkim w latach 1905–1907*, Warszawa 1956.
7. *Rewolucja 1905. Przewodnik „Krytyki Politycznej”*, red. K. Piskała, W. Marzec, Warszawa 2013.
8. Samuś P., *Dzieje SDKPiL w Łodzi 1893–1918*, Łódź 1984.
9. „*Wolność czy zbrodnia?*”. *Rewolucja 1905–1907 roku w Łodzi na łamach gazety „Rozwój”*, wyb. i oprac. M. Sikorska-Kowalska, Łódź 2012.
10. *Źródła do dziejów rewolucji 1905–1907 w okręgu łódzkim*, t. 1–2, red. N. Gąsiorowska, Warszawa 1957–1964.

Fabryki w rewolucji

Zwycięstwa i porażki robotników

W pisanych podczas przymusowej wojennej emigracji *Kwiatach polskich* Julian Tuwim przedstawia sugestywny obraz Łodzi w czerwcu 1905 roku. Oczami kilkuletniego chłopca widzimy tłumy przemierzające pod czerwonymi sztandarami Piotrkowską, budowane naprędce barykady, przewrócony w poprzek ulicy tramwaj, formujących szyk rosyjskich żołnierzy... Podobne obrazy dominują też w popularnych wyobrażeniach o rewolucji lat 1905–1907. Ten okres w historii Łodzi postrzegamy zwykle przez pryzmat spektakularnych, wielotysięcznych ulicznych manifestacji, starć z policją i wojskiem oraz decydujących o swoistym kolorycie rewolucji na ziemiach Królestwa Polskiego zamachów organizowanych przez bojowców PPS. Wyobrażenia te utrwalają teksty kultury – zarówno powstające w okresie rewolucji, jak i te mające retrospektywny charakter (jak choćby *Kwiaty polskie*) – a także lektura ówczesnych pism codziennych czy reprodukowane w książkach historycznych fotografie z epoki, skoncentrowane zwykle na tłumach wypełniających szczelnie ulice i place, lub, jak w przypadku Łodzi, na czerwcowych barykadach.

Jeśli jednak uważniej wczytamy się w dokumenty carskiej administracji, w krótkie notki, zamieszczane zwykle na ostatnich stronach konspiracyjnych gazet, a zwłaszcza we wspomnienia uczestników rewolucji, to pojawi się obraz nieco odmienny od tych popularnych wyobrażeń o rewolucji. Świadectwa tego rodzaju pozwalają nam lepiej poznać wydarzenia podczas niespokojnych rewolucyjnych miesięcy za fabrycznymi parkanami i murami, na podwórzach i w halach łódzkich zakładów. Za sprawą takich właśnie przekazów możemy zajrzeć w miejsca rzadko dostępne dla korespondentów legalnej prasy codziennej, publicystów, twórców kultury czy obiektywu aparatu fotograficznego.

Warto zauważyć, że akademicka historiografia stosunkowo niewiele uwagi poświęcała temu, jak wyglądało codzienne życie łódzkich fabryk w dobie rewolucji. Wyjątek pod tym względem stanowią przede wszystkim prace Władysława Lecha Karwackiego, autora do dziś niedoścignionej monografii poświęconej problematyce rewolucji lat 1905–1907 w Łodzi. Karwacki zauważa, że „w latach rewolucji fabryki stały się głównym miejscem walki o cele polityczne, tutaj też toczyła się batalia o nowe miejsce robotników w dotychczasowej strukturze społecznej przemysłowego miasta”¹. Tezę tę można byłoby jeszcze uzupełnić. Wydaje się bowiem, że w wielu wypadkach wydarzenia i procesy dokonujące się na fabrycznych dziedzińcach i w halach stanowiły,

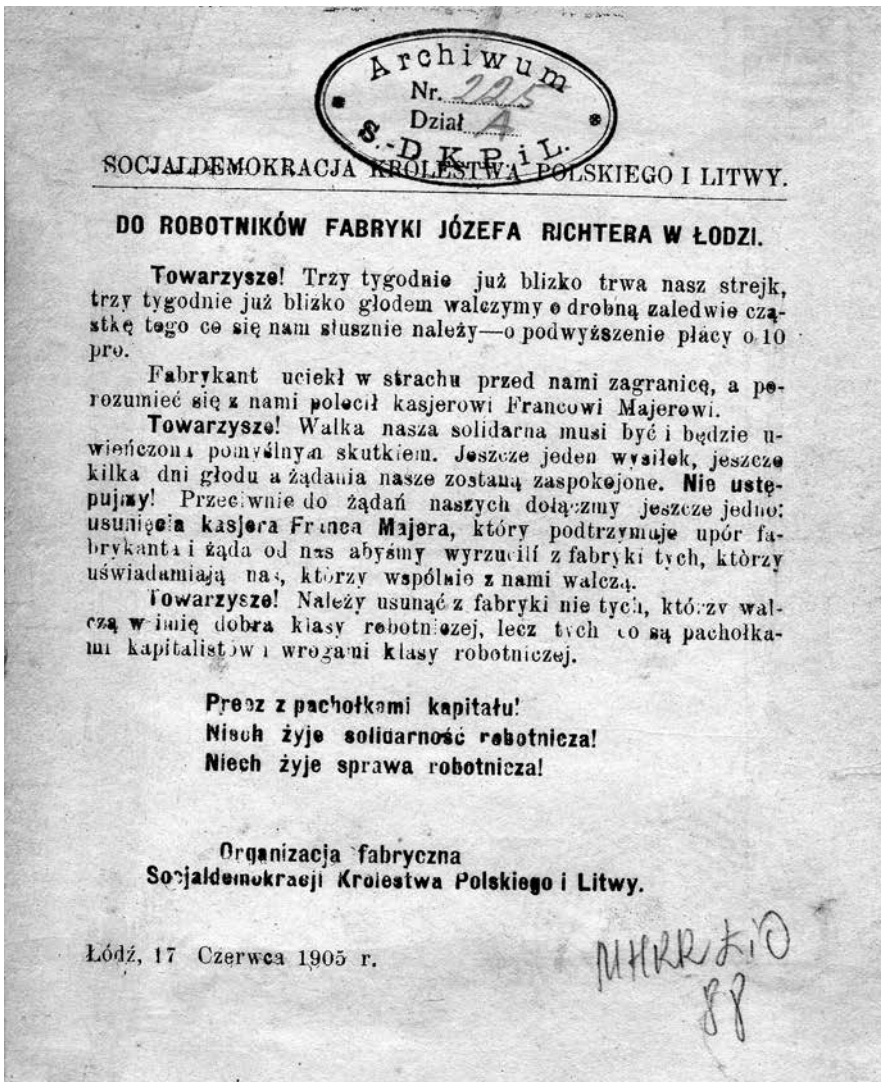
na pewnym głębszym poziomie, jeden z warunków możliwości wielu spośród najbardziej „spektakularnych” ulicznych przejawów tej rewolucji.

Umasowienie polityki

Co zdecydowało o zupełnie wyjątkowej roli, jaką w trakcie tej rewolucji odegrała przestrzeń fabryczna? Podkreśliśmy, że istotą rewolucji 1905 roku było wejście mas robotniczych do życia politycznego². Jeszcze w przededniu rewolucji stosunki polityczne panujące w carskiej Rosji znacznie bliższe były realiom Europy sprzed 1789 roku niż porządkowi, który kształtował się na kontynencie przez całe dziewiętnaste stulecie. Polityka miała tu wciąż wyraźnie przednowoczesny charakter – stanowiła zajęcie zarezerwowane dla garstki reprezentantów warstw uprzywilejowanych, a różnice i spory w wąskiej grupie osób mających realny wpływ na sprawowanie władzy często miały raczej charakter osobisty czy koteryjny, nie zaś polityczny. Z powodu cenzury debata publiczna była ograniczona, a wysuwane w kręgu środowisk opozycyjnych postulaty ze względu na brak oparcia w poważniejszej bazie społecznej miały jedynie teoretyczny charakter. Zdecydowanie najliczniejsze klasy społeczne – chłopci, robotnicy i rzemieślnicy czy drobnomieszczanie – pomimo heroicznego nieraz wysiłków działaczy nielegalnych partii radykalnych pozostawały wciąż przedmiotem, a nie podmiotem polityki.

Pod tym względem rewolucja oznaczała głęboką zmianę. Szybko okazało się bowiem, że wystąpienia, do których doszło w całym państwie na wieść o petersburskiej „krwawej niedzieli”, to coś znacznie więcej niż tylko zrodzony z rozpaczy, szybko spalający się w aktach zniszczenia bunt, jakich historia Rosji znała przecież niemało. Postulatów wysuwanych przez dziesiątki tysięcy protestujących nie dało się zignorować, tak samo jak nie dało się nie dostrzec, że polityka na dobre opuściła gabinety czy pałace i przeniosła się na ulice oraz do fabrycznych hal.

Carska Rosja nie była przygotowana na umasowienie polityki. Nie istniały żadne legalne ramy pozwalające na wyartykułowanie żądań ludowych ani instytucje umożliwiające stosunkowo łagodne włączenie mas społecznych w życie polityczne. Nie istniał parlament, a ograniczona cenzurą prasa opiniotwórcza docierała do stosunkowo wąskiego i wciąż raczej elitarnego grona czytelników. Nie istniały też legalne masowe partie czy organizacje społeczne, a zgromadzenia polityczne, wiece oraz manifestacje były zabronione. W toku rewolucji wiele się oczywiście pod tym względem zmieniło – w okresach wzmożonego napięcia wiece odbywały się przy biernej postawie władz, pomimo zakazów manifestowano na ulicach, kolportując przy tym nielegalne druki. A wreszcie wywalczone ustępstwa w postaci manifestu październikowego otworzyły możliwość organizacji legalnych zgromadzeń politycznych w okresie kampanii do Dumy. Nie zmienia to jednak faktu, że każdorazowo tego rodzaju wystąpienia, stanowiące przecież istotę nowoczesnej, masowej polityki, były raczej spontanicznym, wynikającym z siły rewolucjonistów zawieszeniem dotychczasowych norm, a nie ustanowieniem nowego porządku. W tych okolicznościach przestrzenią



trwałej, regularnej, nieskrępowanej i stosunkowo bezpiecznej aktywności politycznej robotników stały fabryki.

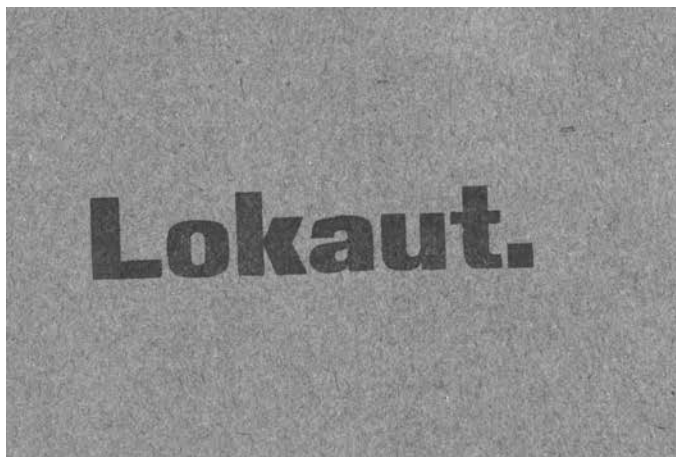
Bezpieczne fabryczne dziedzińce

O tym, że to właśnie za fabrycznymi parkanami i murami ogniskowało się życie polityczne robotników, decydował szereg względów praktycznych. Po pierwsze, była to przestrzeń znana, a przez to traktowana jako bezpieczna i bliska, dzięki czemu łatwiej było w jej obrębie podejmować nowe, obce dotychczas większości robotników formy

działania politycznego. Zaangażowanie stawało się łatwiejsze również dlatego, że podejmowane było podczas rewolucji zwykle nie w sposób indywidualny, lecz w grupach, w obecności ludzi od dawna sobie znanych, często obsługujących od lat sąsiednią maszynę. Jak zauważył też cytowany już wcześniej W.L. Karwacki, bezpośrednio w przestrzeni fabrycznej, w obrębie załogi posiadającej pewne wspólne doświadczenia stosunkowo łatwo dokonywać mógł się proces translacji często nieco abstrakcyjnych postulatów politycznych na realia panujące w miejscu pracy³. Dotyczyło to zarówno kwestii związanych z krytyką kapitalizmu, jak i haseł politycznych – carski despotyzm przyrównać można było do postawy dyrekcji zakładu, przemoc wojska czy policji do represji ze strony majstrów czy straży fabrycznej, zaś postulat zwołania parlamentu do walki o uznanie przez przemysłowców instytucji delegatów fabrycznych, a później organizacji związkowych.

Najważniejsze było jednak to, że teren fabryki w przeciwieństwie do ulic czy placów nie był postrzegany jako podległy bezpośrednio jurysdykcji oraz kontroli władz carskich. Zarazem dzięki rozmiarowi podwórka czy fabrycznych hal, a także liczbie zatrudnionych była to przestrzeń w jakimś sensie „publiczna”. Innymi słowy, udział w kilkusetosobowym wiecu na ulicy czy placu zawsze, nawet w okresie największego natężenia rewolucji, wiązał się z groźbą represji. Dokładnie taki sam wiec w obrębie fabryki można było odbyć stosunkowo bezpiecznie, bez potrzeby ciągłego oglądania się przez ramię.

Nie jest więc przypadkiem, że robotnicy z dużą determinacją bronili tej swoistej strefy względnego „bezpieczeństwa”. Istnieje szereg przekazów źródłowych informujących o niewpuszczeniu na teren fabryki zarówno pojedynczych przedstawicieli carskiego aparatu represji (stójkowych, żandarmów), jak i całych formacji sprowadzanych do zakładów na prośbę fabrykantów. Na przykład 31 maja 1905 roku w godzinach wieczornych policjant Mikołaj Berend, który chciał skorzystać z telefonu fabryki Geyera,



usłyszał od pilnujących bramy robotników, że „wejście policjantom zabronione”⁴; 3 czerwca to samo spotkało rewirowego Michajlenkę, który chciał zatelefonować z fabryki Scheiblera, lecz robotnicy poradzili mu, aby szedł do domu, „jeśli życie mu miłe”⁵. Kilka dni wcześniej robotnicy z fabryki Winklera i Gärtnera na wieść o wezwaniu do zakładu roty rosyjskiej piechoty zabarykadowali bramy i odmówili żołnierzom wstępu. Po jakimś czasie wojsko wróciło do koszar, a fabryka pozostała w rękach robotników⁶.

Nie powinno wobec tego dziwić, że żądanie usunięcia z fabryk wojska i policji było jednym z najbardziej stanowczo wysuwanych przez robotników żądań w negocjacjach z przemysłowcami. Obecność załogi wojskowej, choć otwierała możliwość prowadzenia agitacji wśród żołnierzy (na co zwracali uwagę działacze SDKPiL), znacząco ograniczała możliwość nieskrępowanego praktykowania polityki w obrębie fabrycznych murów.

Wiece, zebrania i „bibuła”

Liczne przekazy źródłowe podkreślają niezwykłą dynamikę życia politycznego w łódzkich fabrykach w okresie rewolucji. Co kilka dni, a czasem nawet częściej, organizowano wiece i masówki, w których uczestniczyła cała załoga lub jej znaczna część. Trwały one nawet kilka godzin, a wśród mówców znajdowali się przedstawiciele różnych partii, którzy przy aktywnym wsparciu własnych sympatyków próbowali przekonać niezdecydowanych czy zwolenników innych ugrupowań. Podczas tych swoistych oratorskich pojedynków poruszano wiele zagadnień, często, zdawać by się mogło, dość odległych od zainteresowań przeciętnego robotnika. Władysław Nowicki wspominał: „W fabryce naszej odbywały się często masówki, na których dyskusja toczyła się zwykle na temat konstytuanty w Warszawie lub Petersburgu. Pepesowcy bronili Warszawy, my Petersburga. Od czasu do czasu przychodził enzeterowiec, a wtedy już rzadko obywatelo się bez bójek i skandalów. Dyskutowano na temat autonomii, terroru, legalności związków zawodowych itd.”⁷. Mówcami byli zarówno pracownicy danej fabryki, jak i specjalnie w tym celu ściągani doświadczeni agitatorzy partyjni.

Charakterystyczne, że czasami wymuszano nawet na fabrykantach formalną zgodę na organizację na terenie fabryki wieców czy masówek dla załogi. Władysław Kossek wspominał, że podczas jednego z pierwszych strajków w fabryce Buhlego pośród postulatów przedstawionych fabrykantowi znalazło się również żądanie, „aby raz w tygodniu po pracy wolno było urządzić na terenie fabryki masówkę robotniczą”⁸, na co fabrykant w obliczu solidarnej postawy robotników musiał przystać. W większości fabryk radzono sobie bez takiego „pozwolenia”, wiece organizowano regularnie, a kierownictwo godziło się z faktami dokonanymi.

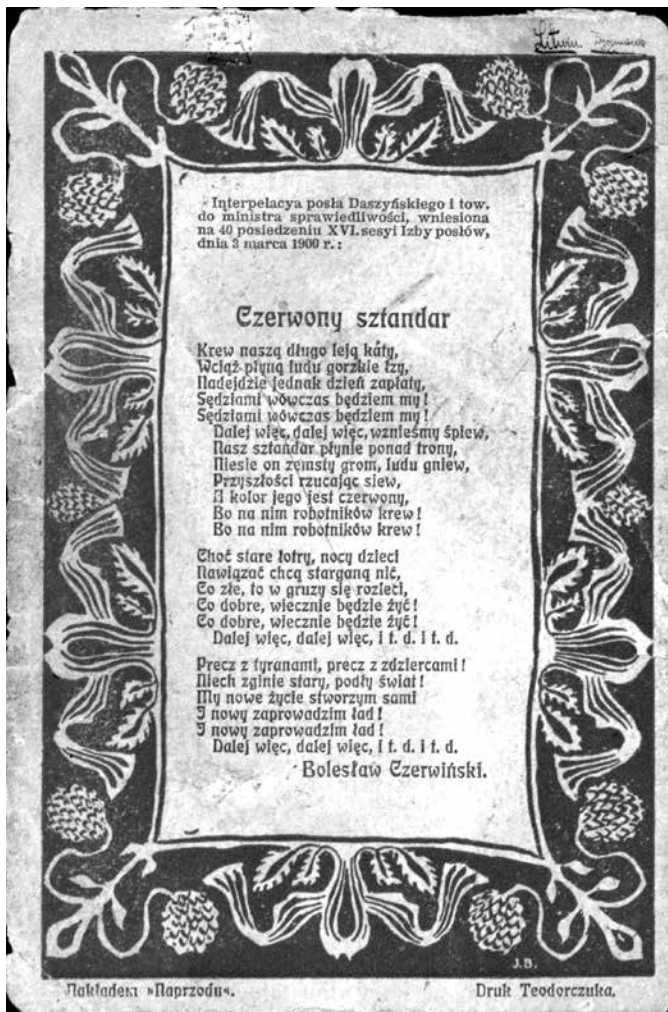
Do tego rodzaju masowych zgromadzeń politycznych odbywanych w fabrykach nielegalne partie robotnicze przywiązywały szczególną wagę. Była to najlepsza okazja do prezentacji własnego programu i taktycznego stanowiska, a także do pozyskania nowych członków i zwolenników. Stąd tak wielką wagę przywiązywano

do utrzymania grupy sprawnych i mobilnych agitatorów, którzy przemieszczali się od fabryki do fabryki, reprezentując stanowisko ugrupowania na kolejnych zgromadzeniach. Wiece i masówki stanowiły jednocześnie forum, na którym podejmowano konkretne decyzje czy zobowiązania polityczne. Po wysłuchaniu mówców – przynajmniej, często w atmosferze dalekiej od tej panującej w salach zgromadzeń parlamentarnych – przyjmowano uchwały lub rezolucje albo też wznoszono okrzyki stanowiące zwykle wyraz woli większości załogi. Tak decydować można było np. o włączeniu się do strajku lub przeciwnie – kontynuacji pracy, o udziale w planowanej manifestacji, o przerwaniu pracy i zwróceniu się do fabrykanta z nowymi żądaniem i o szeregu innych, mniej lub bardziej doniosłych kwestiach.

Obok często burzliwych i pełnych emocji zgromadzeń w fabrykach regularnie odbywały się również nieco mniej liczne i zwykle spokojniejsze zebrania organizowane przez partie robotnicze – których w tym okresie na łódzkim gruncie działało kilka – dla swoich członków i sympatyków. W ich trakcie dokonywała się przyspieszona edukacja polityczna robotników. Odbywało się to poprzez omówienie sytuacji politycznej, dyskusję nad wspólnie czytaną prasą partyjną i broszurami oraz systematyczne objaśnianie programu partii oraz przekazywanie konkretnych dyrektyw organizacyjnych. O tym, jak doniosłą rolę w życiu politycznym łódzkich robotników odgrywała przestrzeń fabryczna, świadczyć może choćby fakt, że w zasadzie wszystkie działające w tym środowisku partie swoją strukturę organizacyjną oparły właśnie na kołach fabrycznych – w obrębie pojedynczego zakładu stosunkowo najłatwiej i najbezpieczniej można było prowadzić regularną pracę polityczną.

Przez długie miesiące rewolucji można było w fabrycznych halach jawnie w zasadzie zbierać składki na organizację partyjną i związkową. Swobodnie też kolportowano i czytano „bibułę”, a więc ulotki, odezwy i nielegalną prasę, a nawet, jak wynika z niektórych przekazów, korzystając z hałasu maszyn i przestronności pomieszczeń, przeprowadzano ćwiczenia w strzelaniu.

Choć w różnych okresach rewolucji zmieniały się warunki prowadzenia działalności w łódzkich fabrykach i nie wszystko uchodziło płazem, to generalnie uznać należy, że w latach 1905–1907 stanowiły one przestrzeń niezwyklej wolności politycznej, nawet jak na warunki pogrążonej w rewolucji carskiej Rosji. Zwracał na to uwagę korespondent jednego z pism SDKPiL, który omawiając przebieg któregoś z łódzkich strajków okupacyjnych, stwierdzał, że życie w fabrykach przebiega, „niczym gdybyśmy posiadali już w Łodzi wolność polityczną”⁹. Procesy zachodzące wówczas za fabrycznymi parkanami jak w soczewce pokazywały cechy charakterystyczne dla wczesnych form nowoczesnej, masowej polityki, takie jak choćby manipulacja symbolami w celu wywołania odpowiednich emocji, odwoływanie się do poczucia sprawczości klas podporządkowanych, dążenie do ukształtowania wspólnot politycznych w oparciu o podzielany przez ich członków obraz rzeczywistości społeczno-ekonomicznej i rosnące znaczenie słowa pisanego w komunikacji politycznej. A wreszcie dążenie do



tworzenia pewnych instytucjonalnych, względnie stabilnych, opartych na partycypacji form uczestnictwa w procesie politycznym. Wszystko to sprawiało, że łódzkie fabryki odgrywały rolę swego rodzaju katalizatora procesów rewolucyjnych. Dzięki ich mocnemu zakotwiczeniu w żywej, dynamicznie rozwijającej się w obrębie fabrycznych murów robotniczej sferze publicznej procesy te daleko wykraczały poza ramy krótkotrwałej i chaotycznej eksplozji niezadowolonia czy resentymentu.

Od „konstytucji fabrycznej” do Wielkiego Lokautu

Tak jak drogą oddolnego nacisku tworzoneo przyczółki politycznej wolności i demokratycznych swobód, tak w oparciu o toczone w poszczególnych fabrykach walki

próbowano dokonać również reformy peryferyjnego rosyjskiego kapitalizmu. Carska administracja do tej pory nie była szczególnie zainteresowana w cywilizowaniu stosunków panujących w przemyśle, a nieliczne regulacje prawne dotyczące tej problematyki były rzadko przestrzegane. W tej sytuacji robotnicy wzięli sprawy w swoje ręce. Pośród postulatów powtarzanych przy okazji niemal każdego strajku, począwszy od strajku powszechnego, który wybuchł w Łodzi pod koniec stycznia 1905 roku, pojawiały się żądania podwyżek oraz skrócenia czasu pracy. Ponadto domagano się od fabrykantów m.in. poszerzenia zakresu opieki medycznej dostępnej pracownikom i ich rodzinom, rozbudowy sieci szkół dla dzieci robotniczych, ubezpieczeń na wypadek choroby lub wypadku itd.

Równoległe ze zmaganiem o poprawę materialnego położenia robotnicy łódzkich fabryk toczyli podczas rewolucji również długotrwałą walkę o upodmiotowienie w miejscu pracy. Przed rewolucją topografia władzy w obrębie zakładów była jasna – niekwestionowane prawo wydawania poleceń i podejmowania decyzji dotyczących sytuacji panującej w fabryce przysługiwało zarządowi oraz kadry kierowniczej, rolą robotników było zaś jedynie posłuszne wypełnianie zarządzeń. Wszelki opór owocować mógł zwolnieniem lub nałożeniem kary finansowej. Właśnie kwestia kar najlepiej pokazuje układ sił w łódzkich fabrykach przed rewolucją – nakładano je na mocy samodzielnej, niepodlegającej w zasadzie apelacji decyzji majstra czy kierownika. Karą zagrożone były nawet najdrobniejsze „wykroczenia”, takie jak rozmowa podczas pracy, gwizdanie, niewystarczająco pokorny ton podczas rozmowy z przełożonym czy drobne spóźnienia. Nie trzeba dodawać, że wobec braku jakiegokolwiek kontroli przywilej nakładania kar był nagminnie nadużywany przez administrację fabryki, co owocowało często znacznymi obniżkami wynagrodzeń i tylko pogłębiało poczucie frustracji wśród robotników.

Zmianę tej sytuacji przynieść miała tzw. „konstytucja fabryczna”, o którą podczas rewolucji walczyli solidarnie robotnicy wielu łódzkich fabryk. Pod tym ogólnym określeniem krył się szereg szczegółowych postulatów, których realizacja doprowadzić miała do uczynienia robotników faktycznymi współgospodarzami fabryk¹⁰. Żądano więc uznania instytucji delegatów robotniczych, którzy mieliby prawo reprezentować całą załogę w rozmowach z zarządem przedsiębiorstwa, reformy regulaminów fabrycznych w zgodzie z postulatami robotników i włączenia ich przedstawicieli w proces kontroli nad przestrzeganiem nowych zasad. Robotnicy żądali także zlikwidowania upokarzającej rewizji podczas opuszczania fabryki oraz zakazu obelżywego zwracania się do robotników przez przełożonych. Szczególną wagę przywiązywano jednak zwłaszcza do walki o prawo współdecydowania o obsadzie niższych stanowisk kierowniczych – przede wszystkim chodziło o wybór majstrów i podmajstrzych.

Wobec tego, że władze przedsiębiorstw zazdrośnie strzegły swoich dotychczasowych uprawnień, w wielu zakładach robotnicy, gdy tylko czuli się wystarczająco silni, na własną rękę podejmowali próby wcielenia w życie „konstytucji fabrycznej”.



Najbardziej spektakularnym przejawem tych dążeń było z pewnością wyrzucanie poza fabryczny parkan nieulubianych majstrów i dyrektorów. O skali tego zjawiska pewne wyobrażenia dają dokumenty rosyjskiej administracji. Raport łódzkiego policmajstra z 17 i 18 maja 1905 roku donosił o „usunięciu przemocą” majstra Rejmusa z fabryki Braci Döring oraz „zarządzającego” Jana Zandela w fabryce Kretschmera. Między 22 a 24 maja „usunięto przemocą” kierownika w fabryce Karola Schultza, majstra w fabryce Markusa Fuchsa i podmajstrzego u Geyera. 25 maja z fabryki Prusaka wyrzucono kierownika Dobrzyńskiego, a w fabryce Henryka Federa to samo spotkało majstra Lewańskiego. W kolejnym raporcie, z 31 maja, policmajster donosił: „O godz. 10 rano robotnicy fabryki Scheiblera weszli przemocą do głównego biura, znajdującego się przy centralnej fabryce na Wodnym Rynku 2, i podszedłszy do dyrektora fabryki Kozłowskiego wzięli go – pomimo wszelkich jego perswazji – na ręce i z okrzykami „hura!” wynieśli z biura przez podwórze za główną bramę, wychodzącą na Wodny Rynek”.

Podobnych przykładów przytoczyć można by znacznie więcej. Czasami usunięcie nie było jednak konieczne, a do pożądanego przez robotników zmiany zachowania wystarczała presja ze strony załogi. Władysław Nowicki wspominał: „Co parę dni w fabrykach urządzaliśmy porachunki z obermajstrami, majstrami i dyrektorami, wywożąc ich na taczkach. W fabryce tej, gdzie ja pracowałem, zmusiliśmy majstra

za karę do niesienia naszego sztandaru, tegoż majstra zmuszaliśmy płacić na korzyść partii od 10 do 20 rubli za brutalne obchodzenie się z robotnikami. Zupełnie wydalić go nie chcieliśmy, gdyż obarczony był rodziną”¹¹.

Zmagania toczone pod hasłem „konstytucji fabrycznej” doprowadziły do istotnych zmian w stosunkach między fabrykantami i kadrą kierowniczą a robotnikami łódzkich przedsiębiorstw. Zmiany te nie były jednak trwałe. Kres położyła temu retorsja fabrykantów, czyli tzw. Wielki Lokaut, ogłoszony pod koniec 1906 roku w największych łódzkich fabrykach. Wydane wówczas przez przemysłowców oświadczenie głosiło: „[...] rządzić w fabrykach naszych chcemy my sami i nie pozwolimy, aby w nich rządzili robotnicy”¹². Po czterech miesiącach wycieńczeni głodem robotnicy wrócili do pracy, godząc się tym samym na przywrócenie zasad panujących w fabrykach przed 1905 rokiem. Fabrykanci doskonale wiedzieli, gdzie wymierzyć decydujący cios. Rewolucja, pozbawiona oparcia w fabrykach, skazana była na rychły upadek. Carskie represje jedynie dopełniły dzieła.

Kamil Piskała

historyk, doktorant w Wydziale Filozoficzno-Historycznym UŁ

Przypisy:

1. W.L. Karwacki, *Łódź w latach rewolucji 1905–1907*, Łódź 1975, s. 107.
2. Zob. *Rok 1905 to początek nowoczesnej polityki. Z Robertem Blobaumem rozmawiają Wiktor Marzec i Kamil Piskała*, [w:] *Rewolucja 1905. Przewodnik Krytyki Politycznej*, pod red. K. Piskały i W. Marca, Warszawa 2013.
3. W.L. Karwacki, *Łódź w latach...*, dz. cyt., s. 116.
4. *Źródła do dziejów rewolucji 1905–1907 w okręgu łódzkim*, t. 1, cz. 2, red. N. Gąsiorowska, wyd. I. Ihnatowicz, Paweł Korzec, Warszawa 1957, s. 123.
5. Tamże, s. 132.
6. Tamże, s. 133.
7. W. Nowicki, *Wspomnienia z 1905–1906 roku*, [w:] *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. 3, pod red. F. Tycha, Warszawa 1976, s. 88–89.
8. *Wspomnienia weteranów rewolucji 1905 i 1917 roku*, red. Z. Spieralski, Łódź 1967, s. 24–25.
9. „Z pola walki”, 1905, nr 10, [cyt. za:] *Źródła do dziejów...*, dz. cyt., t. 1, cz. 2, s. 136.
10. Zob. W.L. Karwacki, *Walka o wprowadzenie tzw. „konstytucjonalizmu fabrycznego” w latach rewolucji 1905–1907 w Łodzi*, „Rocznik Łódzki”, 1971, roku 15 (18).
11. W. Nowicki, *Wspomnienia z 1905–1906 roku*, [w:] *Archiwum Ruchu Robotniczego*, dz. cyt.
12. Cyt. za P. Korzec, *Walki rewolucyjne w Łodzi i okręgu łódzkim w latach 1905–1907*, Warszawa 1956, s. 257.

Udaremnione carskie prowokacje

W Łodzi pogromu nie było

Początek XX wieku to niezwykle burzliwy okres w historii Łodzi. W roku 1905 doszło do rewolucyjnego zrywu robotników domagających się polepszenia niehumanitarnych warunków pracy w fabrykach oraz podwyższenia płac. Przez kilkanaście miesięcy robotnicy bez względu na narodowość i wyznanie toczyli wspólnie walkę z miejscowymi przemysłowcami i carskim porządkiem. Dane statystyczne z tego okresu pokazują dobitnie, iż wśród ofiar byli zarówno Polacy, Żydzi, jak i Niemcy. Łódź bowiem wyróżniała się na tle innych dynamicznie rozwijających się miast Cesarstwa Rosyjskiego ogromnym zróżnicowaniem narodowościowym i wyznaniowym. Jednocześnie stanowiła przykład tolerancji i spokojnego współistnienia wielu nacji. Nie licząc kilku incydentów, aż do chwili wybuchu drugiej wojny światowej nie doszło tu do pogromów, co w wielu miastach Europy Wschodniej bywało już rodzajem normy. Dlatego też we wspomnianym roku 1905 władze carskie, świadome potencjalnego zagrożenia ze strony dobrze zorganizowanych robotników, całkiem serio rozważały sprowokowanie na terenie miasta waśni narodowościowych i pogromów społeczności żydowskiej.

Solidarność po łódzku

Najprawdopodobniej rację mają ci z historyków rewolucji roku 1905, którzy nie dowierzają danym uznanym przez carską policję za oficjalne. Po pierwsze, dość często koledzy zabierali rannych i poległych z miejsca walk, omijając ówczesne Pogotowie Ratunkowe, czyli Towarzystwo Doraźnej Pomocy Lekarskiej, oraz ambulatoria Czerwonego Krzyża. Zabitych chowano później potajemnie, bez sporządzania aktów zgonu i dokumentacji policyjno-medycznej.

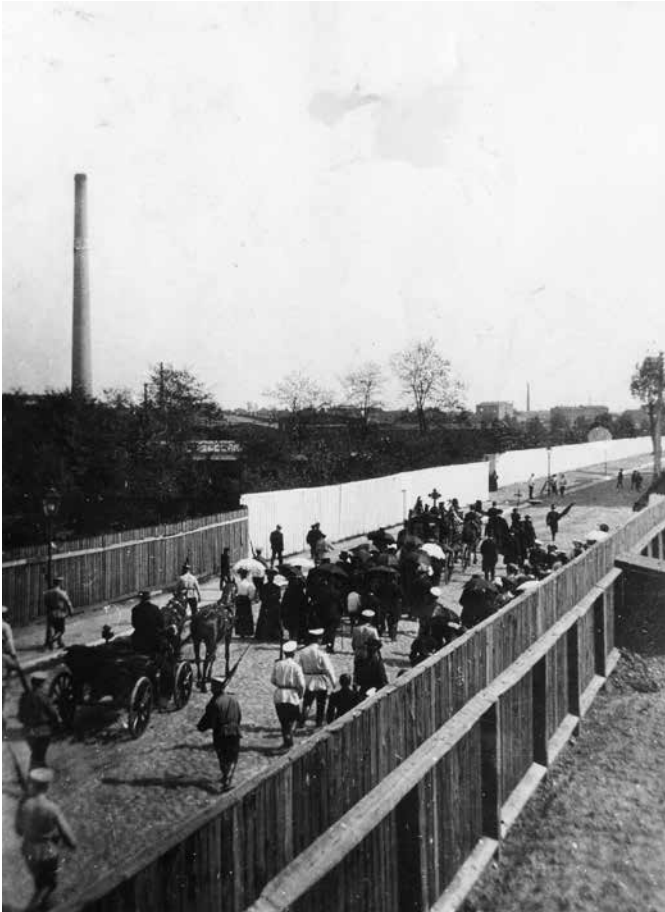
Jednocześnie trudno dziwić się żandarmom i policji, iż dane często fałszowali świadomie. Wprawdzie na miejsce strzelaniny przedstawiciele władz carskich zobowiązani byli przybyć, ale w przypadku stwierdzenia zbyt dużej liczby ofiar mogłoby to wskazywać na ich nieudolność i indolencję. Dane wtedy zaniżano, czasami pisząc wręcz w raportach, że ani zabitych, ani rannych znaleźć się nie udało.

Najbardziej carat bał się solidarności robotników wszystkich wyznań, z czym od lat miał na co dzień do czynienia i z czym poradzić sobie nie potrafił.

Zaniepokojony tym szef łódzkiej żandarmerii, Witalij N. Szewiakow, odpowiedzialny przez władzami w Sankt Petersburgu za rozpracowywanie środowisk ludzi pracy miejskich fabryk, pisał w raporcie z lipca roku 1905: „Gdy ginie w wyniku rozruchów chrześcijanin, Żydzi przychodzą na jego pogrzeb i niosą sztandary z napisami w języku żydowskim, wygłaszający przemówienia agitatorzy też w dużej części są Żydami. Gdy ginie Żyd – sytuacja jest odwrotna”.

Szewiakowowi nie można odmówić zmysłu obserwacji. Brak jedności wobec obchodów 1 maja 1905 roku zinterpretował w dużej mierze słusznie. Zauważył bowiem, iż za strajkiem i masowymi demonstracjami opowiadały się publicznie nade wszystko Bund i frakcja żydowska PPS.

Brak interwencji władz wobec przeradzania się pogrzebów poległych robotników w manifestacje antykapitalistyczne i antycarskie był według Szewiakowa okazywaniem przez carat słabości:



Tolerancja, przejawiona w podobnych wypadkach – raportował do Warszawy – miała [...] następujące, bardzo poważne skutki:

1. Przyzwyczała robotników do tego, by uważać za rzecz dozwoloną wyrażanie swego milczącego protestu przeciw istniejącemu porządkowi przez udział wielotysięcznego tłumu w pogrzebie ofiar samowładztwa, jak oni mówią w takich wypadkach.
2. Wzmocniła nadzwyczajną solidarność robotników między sobą i świadomość klasową; to, co stwierdziłem w 1. punkcie, stanowiło podatny grunt, na którym rozwinęło się wokół robotników poczucie własnej siły, jako rezultatu ich solidarności i świadomości klasowej.

Próby antyżydowskich prowokacji

Skoro za najbardziej aktywną w protestach uznano społeczność żydowską, przeciw niej głównie carat zdecydował się podjąć kroki bardziej niż dotychczas radykalne. Prawdopodobnie inspirowano się tu zamieszkami tzw. buntu łódzkiego z roku 1892. Policji udało się wówczas popchnąć do próby pogromu Żydów miejscowych kryminalistów. Robotnicy wszystkich narodowości pamiętali o tych wydarzeniach i jednoznacznie oceniali je jako policyjną prowokację.

Już na samym początku rewolucji 1905 roku, pod koniec stycznia, rozpowszechniano plotkę o zabiciu przez Żydów katolickiego księdza, na Piotrkowskiej zaś przeciw Żydom agitował stójkowy carskiej policji, wzywając ludzi do „bicia Jewriejew”. Władze carskie miały nadzieję, iż wzniecenie rozruchów na tle etnicznym doprowadzi do załamania się robotniczej solidarności, wzniecając konflikty o podłożu religijnym i narodowościowym. Stąd już krótka mogła być droga do zakończenia fali strajków i żądań poprawy warunków, w jakich żył łódzki proletariats.

Tym razem carat postanowił posłużyć się Czarną Sotnią¹, która już niejednokrotnie sprawdziła się doskonale w analogicznych sytuacjach. Julian Tuwim, wówczas jeszcze dziecko, wspominał po latach:

[...] niewiele rozumiałem z tego, co się dzieje. Zrozumiałem dopiero – i to na całe życie – gdy któregoś dnia Mania przybiegła zdyszana z dołu i oznajmiła od progu: „Przyjechała z Rosji Czarna Sotnia. Będą dziś w nocy rżnąć!”. Pamiętam stroskaną minę Ojca, pamiętam tajemnicze szepty po kątach, słowa: samoobrona, milicja obywatelska, straż domowa... W kuchni państwa Moderów ułożono nas na żelaznym łóżku służącej i drżąca matka z Antosią i dobrą panią Teodorą Kunowską, przy świetle małej naftowej lampki, wypatrywały przez okno, szepcząc między sobą, czy nie nadchodzi już od strony Pańskiej.

Wspomnienia poety mówią o samoobronie. Wcześniej jednak wiele rodzin żydowskich opuściło Łódź w obawie przed prześladowaniami. Szczyt tych wyjazdów przypadł na okres letni, bo już wówczas po mieście krążyły opowieści o mającej

się rychło pojawić Czarnej Sotni. Ulotki wzywające do mordów na Żydach – wszystko w obronie caratu i „jedynie słusznej” wiary prawosławnej – pojawiły się na przełomie listopada i grudnia. Jeśli nie drukowała ich carska *ochrana*, to z pewnością była ich inspiratorem. Sytuacja stawała się napięta, pierwsza grupa rzekomych członków Czarnej Sotni pojawiła się nocą z 7 na 8 grudnia przed budynkiem magistrackim w Nowym Ryнку. Doliczono się wówczas około 300 osób.

Robotnicza samoobrona

Kij ma z zasady dwa końce – chcąc postraszyć proletariuszy, prowokatorzy rozpuszczali plotki o tym, że Czarna Sotnia na Żydach nie poprzestanie, a „zrobi porządek” z wszystkimi robotnikami. Zdziałało to natychmiast – robotnicy zaczęli organizować samoobronę, znów, jak dawniej, wspólnie, bez względu na narodowość. Lampy (wówczas gazowe) robotnicze patrole zapalały jeszcze przed zmrokiem. W mieszkaniach nie gaszono świateł, by odstraszyć bądź zniechęcić nocnych czarnosecińskich rzezimieszków do napadów na domy robotnicze, szczególnie te zamieszkałe przez Żydów. Robotnicy w celu samoobrony zaopatrywali się w siekiery i tasaki, niekiedy w broń krótką. Broń tę zabierano ze sobą również do fabryk, co kilkakrotnie zdało egzamin. Kiedy bowiem Czarna Sotnia usiłowała pomiędzy 12 a 20 grudnia wywołać w kilku miejscach Łodzi zamieszki – lub atakowała poszczególne domy robotnicze – z pobliskich zakładów pracy szybko zjawiała się uzbrojona pomoc. Udokumentowane są też działania łódzkich strażaków, którzy w takich momentach wspierali robotników.

Władysław Karwacki w swojej pracy *Łódź w latach rewolucji 1905–1907* podaje, iż wedle wszelkich zachowanych źródeł carat wyznaczył Czarnej Sotni dzień 13 grudnia 1905 roku na moment decydującej rozprawy z żydowskimi robotnikami i wspierającym ich proletariatem luterańskim i katolickim. Pierwsze awantury i napady zanotowano w obrębie ulic Główniej i Zarzewskiej. Na wieść o zamieszkach pracę przerwało wiele fabryk, których uzbrojeni w prowizoryczną broń robotnicy ruszyli ku Widzewowi.

Kiedy czarnosecińcy wycofali się na Górny Rynek, pojawili się tam robotnicy. Zawyżone niewątpliwie dane oceniają liczbę proletariuszy na ok. 50 tys. Realnie mogło ich być mniej, bo nie więcej niż 20 tys., co i tak wystarczyło, by odebrać członkom Czarnej Sotni ochotę do rozpoczęcia pogromu. Dzień później, 14 grudnia 1905 roku, „Goniec Łódzki” pisał: „Wczoraj, kiedy przez całe miasto przebiegł trwożny okrzyk: »Czarna sotnia działa«, lud roboczy jak jeden mąż porzucił zajęcia i wybiegł na ulicę, aby w razie potrzeby nieść pomoc napastowanym”.

Samozwańcza, ale jedyna realnie działająca milicja robotnicza organizowała patrole, które w dzielnicach proletariackich odwiedzała kolejno mieszkanie po mieszkaniu. Bezrobotnym, a przybyłym najczęściej z okolic Łodzi pomagano znaleźć pracę, rzezimieszkom nakazywano natychmiastowy wyjazd z miasta, najbardziej znani przestępcy stawali przed sądami doraźnymi i byli likwidowani. Dotyczyło to zwłaszcza

WIELKI WARSZEWI WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ
OGÓLNO ŻYDOWSKI ZWIĄZEK ROBOTNICZY
NA LITWIE, W POLSCE I W ROSJI („BUND“).

BACZNOŚĆ!

Samowładztwo rosyjskie przegrało ostatnią stawkę. Bitwa morska pod Cuszimą z bezprzykładną jastrawością wobec całego świata wykazała zupełną niemoc caratu.

Po raz pierwszy historia zapisała w swych księgach tak haniebną porażkę.

Okrety rosyjskie pierzchyły w bezwładnej ucieczce po pierwszym strzale japońskim. Admiralicie rosyjscy wraz z eskadrami poddały się bez najmniejszego oporu. Z ogromnej armady Rożewskiego pozostały zaledwie znikome szczątki. Tysiące niewinnych ludzi zginęło, setki milionów rubli przepadły — a wraz z nimi zgasła ostatnia nadzieja zwycięstwa, znikł i tak już wyblakły cien wielkości i mocy, rozwały się resztki zaufania nawet najwściebniejszych warstw społeczeństwa. Ostatnia podpora runęła.

Potokiem krwi, — krwi naszych nieszczęśliwych braci, podpisał carat wyrok potępienia na niedolne swe rządy, dowiódł raz jeszcze, że potrafi jedynie strącać krajów odmet i ruiny, tak jak pogryzł w nim obrzydną swą armję i flotę.

„Przedstawicielstwa ludu!” — wołają dziś ci, którzy wczoraj jeszcze gorąco wierzyli w niewyczerpaną moc samowładztwa. Wysłuchaj! opinii kraju — oto ostatni środek, którego radzą się chwycić nawet reakcyjniści.

I rząd carski zniewołonym będzie pojsć tą drogą. Nie dalej jak wczoraj przemysliwał nad tym, jak skuć kraj nowymi łańdugami, wczoraj jeszcze chciał wyciągnąć swe strawione rees, by zniszczyć zbuczony już ruch wolnościowy, — dziś zmuszony jest zwrócić się do kraju. Innej drogi nie masz już dla samowładztwa: ani pieniędzy, ani kredytu, państwa obce z głęboką pogardą spoglądają na jego porzki. Zgnilizna wewnętrzna caratu stała się widoczną dla wszystkich, władzę swą i znaczenie, jako mocarstwa morskie, utracił bezpowrotnie. Rosja państwowa stała się względnie słabszą od najmniejszych bodaj państweczek. Pobrzedza morskie kraju pozostały bez obrony. Dalej prowadzić wojnę niepodobna, pokój zawrzeć — trzeba będzie zapłacić Japonji kolosalne sumy, — a huragan rewolucji staje się coraz potężniejszym, płomień jej ogarnia coraz to szersze masy...

Absolutyzm zmuszony jest uznać, iż o własnych siłach nie zdoła wybrnąć z tak krytycznego położenia; będzie więc zagnany zwrócić się do przedstawicieli ludu, aby z ich pomocą szukać wyjścia z groźnej sytuacji.

Łoż i tym razem rząd, jak zawsze, będzie usiłował oszukać lud. I tym razem będzie się starał uzyskać zaufanie, zdobyć moc moralną, otrzymać potrzebne środki i przylitym nie utracić nic ze swych sił i praw swych. Wtedy będzie dążył do stworzenia il tylko pozoru przedstawicielstwa ludowego, parodię konstytucji — jakiegoś zaby doradczej, pozbawionej najmniejszego prawa decyzji, bezsilnej wobec barbarzyńskiej i niecznej jego polityki.

W osłabłości carat zdecydował się ustąpić część swej kompetencji szlachcie i wielkim kapitalistom, by ze zdwojona siłą uścisnąć bezpлатnie masy ludowe.

Jest więc prawdopodobnym, że niezadługo wystąpi carat ze swym projektem: organizacji przedstawicielstwa ludowego.

Baczność, towarzysze! Chwila to dla nas niezmiernie ważną! Winniśmy być przygotowani na jej spotkanie. Nie wolno nam dopuścić, aby w parlamencie panowali nieprzyjaciele nasi wrogowie kapitaliści! Musimy walczyć o takie wybory, które zapewnią nam jaknajszerszy w nim udział.

Szykujcie się, towarzysze! Rozpowszechniajcie wśród mas i objaśniajcie robotnikom żądanie zwolnienia Zgromadzenia Ustawodawczego na zasadzie powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego głosowania.

Do Zgromadzenia tego wszyscy, czy to mężczyźni, czy kobiety, bez różnicy wyznania i narodowości, mają w jednaki sposób posyłać swych swobodnie wybranych przedstawicieli w celu wypracowania nowego porządku państwowego. Pamiętajcie, że nie ważnym jest dla nas przedstawicielstwo ludowe wogóle, lecz takie jedynie, które zapewni robotnikom najożleglejszą obronę ich interesów klasowych.

Budźcie masy ludowe! Urządzajcie masowe zebrania na ulicach, w synagogach, w fabrykach, — wszędzie gdzie tylko można; uchwalajcie rezolucje; żądajcie z k o n c e z j a w o l n y. Skupiajcie siły, łączcie się i urządzajcie do walki. I niech nasz głos proletariacki rozbrzmiewa na wszystkich krancach kraju.

Na straży wcieli! Zbliża się moment gorącej walki rewolucyjnej. Z orężem w rękę, złączeni w wielkie armje proletariackie, walczyć będziemy za nasze żądania.

Niech żyje rewolucja! Pamiętajcie, że samowładztwo nie ma ani sił, ani ciężki das krajowi niezbędna wolność. Tylko orężna, planowa walka zorganizowanych sił proletariatu na czele całego ludu zdoła zdusić carat i utworzyć wolną, jasną drogę dla naszej walki klasowej.

Przecyż monarchja — absolutna, czy też ograniczona! Niech lud sam kieruje swymi sprawami! Żądamy republiki demokratycznej!

Robotnicy! Dla was chwila jest podwójnie ważną: rząd rosyjski będzie się starał usunąć was z życia politycznego jako proletarijuszy wogóle i jako żydów, członków uciekającego narodu, w szczególności. Wtedy walczyć musicie ze zdwojona energią.

Przed do walki! Wolność już blisko! Kładany pekaj! Wstaniecie wszyscy!

Niech żyje walka proletariatu! Niech żyje socjalizm!

Komitet Centralny „Bundu“

Maj 1905 r.

(15.000 egz.)

Drukarnia „Bundu“

tych kryminalistów, co do których istniała pewność lub uzasadnione podejrzenie, że współpracowali z Czarną Sotnią. Tych potrafiono rozpoznać i zlikwidować w biały dzień na głównych ulicach Łodzi, jak niejakiego Paturę, którego zlinczowano na Piotrkowskiej. Innych po pościgu wyciągnięto z tramwaju i załuczono na miejscu.

Czasem zdarzało się też, że robotnicy chwyтали i przesłuchiwali czarnosecińców. Okazywało się, że wszyscy pochodzili z głębi Rosji, byli zaś kryminalistami, którym po „wykonaniu zadania” w Łodzi władze carskie obiecywały rzekomo pracę w... policji!

Postawa robotników okazała się dla władz carskich zbyt konsekwentna. Zamieszek na tle narodowościowym wzniecić się w Łodzi nie udało nawet w czerwcu 1906 roku, już po pogromie białostockim. Tam zaatakowano katolicką procesję – co było prowokacją carskiej tajnej policji – a potem o czyn ten oskarżono Żydów, aby następnie rozpocząć „czystki etniczne”.

Ponad podziałami

Aby mocniej podkreślić swą nieustępliwość, łódzcy robotnicy wydali i rozkolportowali wówczas ulotkę, ukazująca ich stosunek do białostockiego pogromu i ostrzegającą przed prowokacjami. Czytamy w niej m.in.:

Czynownicy carscy, szpicle i policja przy pomocy wojska urządzili w Białymstoku straszną rzeź ludności żydowskiej i zupełny pogrom ich sklepów, mieszkań oraz rabunek całego mienia. Carscy siepacze za narzędzie tej rzezi i rabunku użyli gromady złodziei i rabusiów oraz tłumu ciemnych pijaków, którzy na rozkaz rządu rznąli i rabowali Żydów i dopuszczali się takiego okrucieństwa i rozbastwienia, o jakim strach pisać. Nie dopuścimy, bracia, aby podły rząd carski zbierał u nas Czarną Sotnię, czyli bandę zbójów i puszczał ich na ludność żydowską! Nie dopuścimy, by szpicle rządowi wzywali do pogromów!

Prasa różnych ugrupowań politycznych zachowała się podobnie. Socjaliści otwarcie wzywali do wsparcia i obrony społeczności żydowskiej. Wydawany przez nich „Czerwony Sztandar” przypominał, że w Łodzi „na pierwszy sygnał robotnicy w fabrykach rzucali pracę i biegli do obrony”. Endecy zaś na łamach „Kuriera Polskiego” z uznaniem zwracali uwagę, że w Białymstoku „robotnicy katolicy wspólnie z Żydami zorganizowali samoobronę przeciwko czerni rozbójniczej”.

W lipcu 1906 roku na terenie Łodzi pojawiła się prowokacyjna ulotka Tajnej Partii Ocalenia Rosji. Potraktowano ją poważnie, jako sygnał do ponowienia prób pogromu. PPS wspólnie z SDKPiL ustanowiły milicję fabryczną, gotową do udzielenia natychmiastowej pomocy, gdyby kogokolwiek zaatakowano.

Carat zrezygnował jednak z ponowienia w Łodzi prób pogromu na tle narodowościowym. Znacznie skuteczniejsze okazało się tu skłócanie robotników pod względem różnic w programach ugrupowań politycznych i taktyce ich działania.

Wystarczyło w którymś momencie skłócić głównych oponentów: socjalistów i narodowców. Tu caratowi udało się wykorzystać niską wiedzę robotników oraz ich skłonność do emocjonalnych reakcji. Dlatego walki bratobójcze uczyniły dla rewolucji roku 1905 więcej zła niż próby wzniecenia pogromów na tle narodowościowym.

Adrian Sekura

Autor książki „Rewolucyjni Mściciele – śmierć z browningiem w ręku”

Przypisy:

1. Czarna Sotnia (ros.) – rosyjski ruch polityczny, który ukształtował się na początku XX wieku w czasie rewolucji 1905 roku. Ruch ten odwoływał się do idei radykalnie nacjonalistycznych i konserwatywnych. Czarnosecińcy byli obrońcami idei samowładztwa carskiego, występowali przeciwko jakimkolwiek zmianom w ustroju Imperium Rosyjskiego, opowiadali się też za rusyfikacją wszystkich narodowości zamieszkujących tereny Imperium oraz szerzeniem prawosławia. Reprezentowali postawy dziś określane jako ksenofobiczne i antysemitki.

Antoni Michałkiewicz – łódzki rewolucjonista

I cóż, po nas przyjdą te nowe czasy. Tego się spodziewamy. Przyjdzie wielka walka, przyjdzie zwycięstwo. Niechże im będzie na zdrowie, tym jutrzejszym pokoleniom! Jakies ogromne zdarzenia, wielkie czyny przywalą nasze śmieszne walki. Wypłyną wielkie imiona i pies z kulawą nogą nigdy nie wspomni jednej i drugiej, i trzeciej setki pseudonimów, którzy oddali życie – i więcej niż życie! – Nasza sława...! Sława naszych walk, naszych prac? Kto o nas zapyta? Kto nam wynagrodzi mękę? Kiedy jaki psycholog odgrzebie naszą prawdę?

Andrzej Strug, Dzieje jednego pocisku

pierwsze kolumny

Z tradycją mojego rodzinnego miasta łączy się postać Antoniego Michałkiewicza, która jest ciągle żywa w mojej pamięci. Przypominam często jego drobną postać, opartą o lekką laseczkę, widzę starego człowieka pochylonego wiekiem i wspominającego, ciągle wspominającego. Gdy go poznałam, miał już ponad 80 lat, a ja byłam młoda, zaraz po studiach i patrzyłam na niego jak na postać historyczną, bo to, co opowiadał, należało już wówczas do odległej historii.

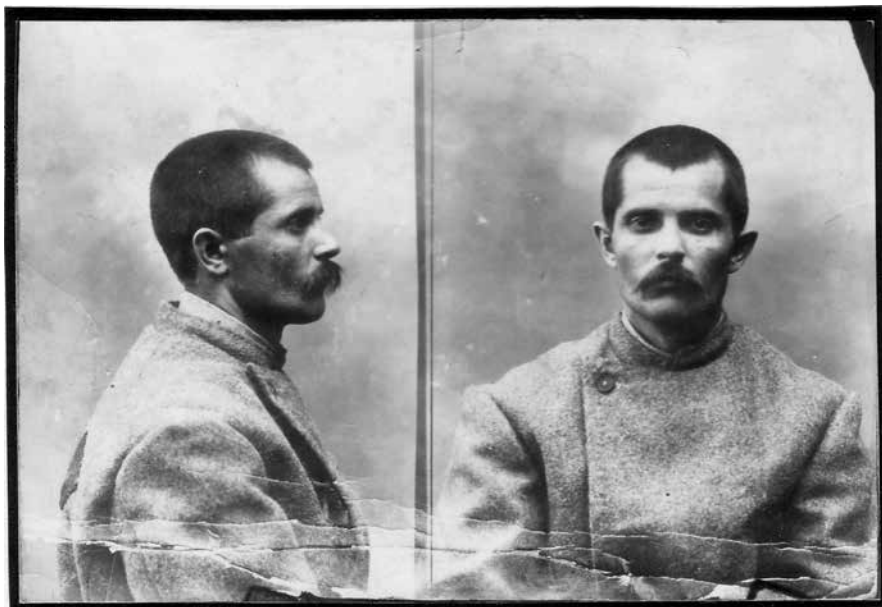
Dziś, kiedy o nim myślę, zdumiewają mnie obszary czasu, które obejmowały jego wspomnienia, jak i ten, który upłynął od naszego spotkania. Pamiętam dobrze jego zwierzenia: mamy dziś rok 2015, a ja opowiadam o łódzkim rewolucjoniście z 1905 roku!

Znajomość z Antonim Michałkiewiczem była dość przypadkowa, ale od czasu pierwszego spotkania pojawia się u nas w domu jak dobry znajomy. Ten stary człowiek cierpiał widocznie na nadmiar czasu i pustkę, wyraźnie czuł się samotny. Potem znikł, nie odwiedził nas już więcej, a my nawet nie wiedzieliśmy, gdzie mieszkał, poza rzuconą przez niego nazwą jakiejś ulicy na Bałutach. Czekaliśmy, żeby przyszedł, aby powiedzieć mu, że to, o co nas prosił: mnie i męża, jest nie do zrealizowania. Nie mogliśmy poprawić stylistycznie jego wspomnień, bo były pisane innym językiem, z innej epoki. Myślę, że też możliwe jest, że w jego zamierzeniach pamiętnik zostawiony u nas miał być depozytem czekającym do lepszych czasów...

Po latach było jasne, że już nie żyje, a pamiątnik został u nas. Jego treść jakby nie pasowała do oficjalnego obrazu wydarzeń lat 1905–1907. Przez długi czas obowiązywał w Polsce tylko jeden punkt widzenia na rewolucję 1905 roku; w społeczeństwie chyba do dziś jest on jeśli nie powszechny, to na pewno przeważający i często nie docenia się efektów tego zrywu przekraczającego daleko walkę o prawa pracownicze. Pisze o tym Magdalena Micińska w książce *Inteligencja na rozdrożach 1864–1918*:

Potoczny obraz rewolucji 1905 roku ogranicza się na ogół do tego pierwszego aspektu: wystąpienia robotniczego. Wizerunek ten utrwalony na obrazach Stanisława Lentza, a pieczołowicie kultywowany przez historiografię PRL, sprowadza wypadki lat 1905–1907 do zgranej kliszy robocizni, który wyrwa z wielkomięskiego bruku kamień, aby cisnąć nim w kapitalistycznego krwio-pijcę. Nie negując znaczenia 1905 roku dla rozwoju partii robotniczych, trzeba podkreślić, że okazał się on bodaj jeszcze ważniejszy dla literatury i sztuki, dla narodowej kultury w ogóle, zwłaszcza zaś odcisnął się piętnem na dziejach polskiej inteligencji i elit intelektualnych.

Był to bez wątpienia okres niezwyklego wrzenia politycznego i intelektualnego, a liczba partii i ugrupowań politycznych, które stawiały sobie przeciwstawne cele, była ogromna. Wszystkie je można z grubsza podzielić na socjalistyczne i narodowe. Wrząca w Łodzi rewolucja lat 1905–1907 nadawała miastu obraz przera-



żający, utrwalony w reportażu z tych lat pod tytułem *Złe miasto. I Łódź* w potocznym odczuciu na długo pozostała „złym miastem”, kto wie, czy nie do dziś jeszcze. Pisze Magdalena Micińska:

Radykalizował się także Narodowy Związek Robotniczy, nacjonalistyczna, powiązana z endecją organizacja, założona w czerwcu 1905 roku i początkowo ostentacyjnie dystansująca się od strajków i walk klasowych. Z czasem jednak krwawe starcia bojówek NZR i PPS stały się – zwłaszcza w Łodzi – codzienną praktyką życia partyjnego.

I ten obraz głębokiej wzajemnej niechęci obu partii potwierdza także pamiętnik związanego z Narodowym Związkiem Robotniczym Antoniego Michałkiewicza. Tej organizacji historiografia PRL wolała nie przypominać.

Dlatego po transformacji ustrojowej, gdy można już było pokazać inny krąg rewolucjonistów, postanowiłam poszukać rodziny Antoniego Michałkiewicza. Nie było to łatwe, bo ani audycja w Radio Łódź z prezentowanymi fragmentami pamiętnika, ani poszukiwania w Muzeum Tramwajów (pracował jeszcze w latach 50. w MPK), ani moje publikacje w „Gazecie Łódzkiej”, nie przyniosły rezultatu. Pamiętnikiem zainteresowały się jedynie Muzeum Tradycji Niepodległościowych i redakcja „Kroniki miasta Łodzi”.

Kiedy po wielu latach zdecydowałam się napisać powieść, postanowiłam pokazać skomplikowane losy pokoleń łodzian żyjących przede mną. Myślałam głównie o powszechnej nieznamości małej historii, obejmującej nasze, nas łodzian, wspólne pochodzenie. Szczególnie, że dziś więcej się mówi i pisze o rodach fabrykanckich niż robotniczych, które pozostają bezimienną masą. Dzieje mojej rodziny i przyjaciół oraz znajomych, na ogół pracowników fabryki Poznańskiego, były kanwą, na której powstała powieść. Czas przedstawiony był czasem Antoniego Michałkiewicza i dla uwierzytelnienia tego, co piszę, postanowiłam wpleść w tekst książki fragmenty jego pamiętnika. Książka ukazała się w Bibliotece Tygła Kultury. Znalazła się w niej pusta ramka obejmująca informację, że tu powinno znaleźć się zdjęcie Antoniego Michałkiewicza, którego pamiętnik cytuję...

Na spotkaniu z czytelnikami, kiedy mówiłam o tej pustej ramce w książce, odezwała się nagle dr Kazimiera Wiśniewska. Powiedziała, że może dać mi zdjęcie Antoniego Michałkiewicza, bo jest jego wnuczką.

Jakież było zaskoczenie wszystkich obecnych, a moje szczególnie, bo przepracowałam z wnuczką Antoniego Michałkiewicza wiele, wiele lat. Dzięki temu mogę dziś powiedzieć więcej, nawet to, że pseudonim tego robotnika był dobrze dobrany – Wołodyjowski. Tak, bo był to „mały rycerz” łódzkiej rewolucji.

Trzeba pamiętać, że rewolucja 1905 roku poza klęską przyniosła Polakom też efekty pozytywne. Dopiero po rewolucji pozwolono w państwie carskim na nauczanie języka polskiego w szkołach prywatnych, na spisywanie dokumentów



w języku polskim. Mogło się uaktywnić społeczeństwo w budowie polskich szkół. Wzniesiony np. wtedy budynek przy ulicy Narutowicza 77 (dziś w stanie urągającym honorowi łodzian, widać nie szanujących narodowych pomników) został zbudowany na użytek Szkoły Rzemiosł ze składek polskiej społeczności w Łodzi.

Z rozmów z Antonim Michałkiewiczem zapamiętałam wiele. Opowiadał o więzieniu mokotowskim, pobycie na Syberii i swoim niezwykłym powrocie po latach. Opowieści swoje często przeplatał łzami, miał żal do losu. Wypełniał bowiem to, co według niego było powinnością każdego Polaka – walczył o wolność, uwierzył, że zwycięstwo jest możliwe. Jednak przyszła klęska: dawnych przywódców robotniczych aresztowano i skazano. Wierzył naiwnie, że przyjaciele z konspiracji nie opuszczą jego rodziny, że wspomogą bliskich aresztowanych, że pozostawiona żona z dziećmi będzie pod opieką, bo przecież takie były uzgodnienia, gdy podejmowali decyzję o walce. Ale nic

z tego nie wyszło i wspominając los samotnej żony z dziećmi, płakał... Gorzka bowiem była tamta rzeczywistość: kiedy w 1908 roku nastąpiła fala prześladowań i wysokich wyroków ferowanych przez sądy – często bez formalnych dowodów – ludzie zaczęli bać się własnego cienia. Działała prawie codziennie słynna „huśtawka” w więzieniu przy Długiej (Gdańskiej), jak łodzianie powszechnie zwali stojącą tam szubienicę. Sądy carskie nie wnikały zaś w szczegóły. Do skazania wystarczyło zeznanie policjanta lub złamanego więźnia, który, jak w wypadku procesu sądowego grupy działaczy robotniczych, w której był Antoni Michałkiewicz, bał się stawić na rozprawie i spojrzeć w oczy kolegom. Nawet powołani z urzędu adwokaci nie angażowali się zbyt w obronę. Zmieniali się w śledztwie i choć wiele obiecywali, nie zjawiali się nawet na rozprawie, bo lęk przed bezwzględnością władzą był wszechogarniający.

Antoni Michałkiewicz poznał warunki życia w różnych więzieniach. Najpierw był areszt śledczy w Łodzi, a czas oczekiwania na wyrok przypadł na więzienia przy Milszej (obecnie ul. Kopernika), przy Nowotargowej (Sterlinga), przy Długiej (Gdańska). Najdłuższy pobyt przed wyrokiem wypadł w więzieniu piotrkowskim. Tam usłyszał werdykt i tam zakuto go w kajdany. Katorgę zaczął odbywać w nowo wzniesionym więzieniu na Mokotowie. Potem wywieziono go na Syberię. Wrócił do Łodzi w 1920 roku.

Utkwiła mi w pamięci opowieść o niezwykłym wydarzeniu w więzieniu mokotowskim. Jeden z współtowarzyszy niedoli Antoniego Michałkiewicza zapytany o zawód odpowiedział, że jest fotografem. Towarzysze go wyśmiali – mówił Michałkiewicz – a ja, szczerze mówiąc, nie rozumiałam dlaczego. Wówczas nastąpiło zaskakujące wyjaśnienie: „W tamtych czasach fotograf to tak, jakby ktoś dziś powiedział, że jest kosmonautą”.

Potem ten ośmieszony fotograf uratował się w oczach kolegów niezwykłym wyczynem. Był on możliwy dzięki przekupstwu służby więziennej, o czym Michałkiewicz często wspomina w swoim pamiętniku. Tak też było w tym wypadku: fotograf namówił któregoś strażnika na przyniesienie do więzienia aparatu fotograficznego, a pamiętajmy, że miał on wówczas wielki rozmiar i wymagał przedsięwzięcia odpowiednich środków ostrożności. Wybrano święto prawosławne, gdy Rosjanie pozostali w domach i obsługa była polska. Fotograf ustawił grupę więźniów na tle muru więziennego i zrobił zdjęcie. Po tej opowieści pan Michałkiewicz pokazał mi takie zdjęcie: grupa więźniów na tle ceglanego muru, wyraźnie przypominała mi znany obraz *Proletariatcy*. Drugie zdjęcie z tej unikatowej fotograficznej sesji pokazała mi po wielu, wielu latach odnaleziona wnuczka pana Michałkiewicza.

W więzieniu mokotowskim przebywał do 1914 roku. A kiedy wydawało się, że ogólna sytuacja polityczna w Europie jest przychylna dla losu więźniów politycznych, nastąpiła niespodziewana wywózka na Sybir. Uwwięzienie Antoniego Michałkiewicza trwało łącznie od roku 1908 do 1920. Kiedy wrócił do Łodzi, drzwi do mieszkania otworzyła mu młoda kobieta. Był zdezorientowany, myślał, że to obcy dom,

że żona się wyprowadziła, dopiero potem wyjaśniło się: to jego dom i to jego córka. W rozmowach Antoni Michałkiewicz czuł i żałował, że jego tak długa nieobecność legła cieniem na stosunkach z córkami, rodziną. O żonie mówił, że to święta kobieta, i czuł się wobec niej winny, a wina była nie do naprawienia. I to poczucie winy wyraźnie mu ciążyło, nawet wtedy, gdy ona dawno już nie żyła.

Patrząc na los Antoniego Michałkiewicza, szlachetnego człowieka i oddanego sprawie niepodległości patriotę, łatwo dostrzec jego wewnętrzne rozdarcie pomiędzy powinnością wobec ojczyzny i społeczeństwa, a obowiązkiem wobec własnej rodziny. Ten nierozwiązywalny konflikt interesów wydaje się ponadczasowy, bo to kobiety zwykle ponosiły ciężar aktywności politycznej mężczyzn.

Podczas syberyjskiej katorgi pracował w kopalni złota. Płacono mu za pracę, więc liczył, że wracając do domu, przywiezie zaoszczędzone pieniądze. Ale został uwolniony w wyniku rewolucji 1917 roku i odzyskując wolność, był już tylko nędzarzem. Pokonywał długą drogę do Polski w warunkach przetaczających się przez Rosję krwawych zamieszek, walk i powszechnej korupcji. W czasie podróży poważnie zachorował i do Warszawy dojechał nieprzytomny. Na stacji w Warszawie uratował go lekarz kolejowy i umieścił w swoim domu. Antoni Michałkiewicz odzyskał przytomność po dłuższym czasie i – jak wspominał – pomyślał, że jest w niebie: leżał w czystej pościeli, a ileż to lat nie spał w normalnym łóżku? Potem, przy pożegnaniu, lekarz odpowiedział na pytanie uratowanego Sybiraka: „Odwdzięczyc się? Niech się pan nie martwi, odwdzięczy się pan kiedyś komuś w potrzebie”.

Przedstawiam zatem kolejną część fragmentów pamiętnika tego rewolucjonisty z 1905 roku (poprzednie były publikowane w numerach 1/2004 i 2/2010 „Kroniki miasta Łodzi”). Po nieoczekiwanym kontakcie z wnuczką Antoniego Michałkiewicza można także opublikować jego zdjęcia.

Tekst, który pozostawił dla potomnych Antoni Michałkiewicz, jest niejednorodny, są to przeważnie przebitkowe kartki maszynopisu o niejednorodnej numeracji. Część była pisana w więzieniu i przemykana do domu rodzinnego nieznanymi drogami, część zapewne poprawiana, dopisywana już po powrocie z Syberii i przepisana przez kogoś na maszynie. Widać też naniesione poprawki innej osoby, są to poprawki korektorskie, ale czasem ujawnia się w nich odmiennosc przekonań nieznanego korektora, ale tekst przekreślony czerwonym ołówkiem pozostawiono czytelny. Całość obejmuje ponad 160 stron.

Dla współczesnego czytelnika pamiętnik zawiera fragmenty bardziej i mniej interesujące. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że był pisany przez samouka. Tekst był przeznaczony dla rodziny, ewentualnie kolegów i przyjaciół, których intelektualnie autor przewyższał, a zdając sobie z tego sprawę, umieszczał fragmenty popularyzujące historię Polski. Opisywał więc np. Michałkiewicz wycieczki z ojcem do Krakowa, gdzie zwiedzał Katedrę Wawelską i grobowce królów. Autor bolał, że komnaty królewskie zostały zbezczeszczone przez stacjonujące tam wówczas wojsko

austriackie. Tak więc mamy do czynienia w części z dziennikiem dotyczącym realiów życia w różnych więzieniach, w części zaś z pamiętnikiem. Inne fragmenty noszą znamiona publicystyczne, popularyzujące historię Polski. Np. czas spędzony w więzieniu piotrkowskim był pretekstem do opowiedzenia o historii Piotrkowa i klasztoru zamienionego na więzienie. Są też wiersze – własne i w formie cytatów. Różnorodność dziennika – pamiętnika ujawnia się także w publikowanych poniżej tekstach. Brak jest w nim jednak relacji z przebiegu samej rewolucji i rokowań berlińskich z fabrykantami, w których brał udział.

Antoni Michałkiewicz w gronie kilku innych osób był bowiem delegatem robotników łódzkich do rozmów z fabrykantami. Mówił, że jako poseł uzyskał „glejt nietykalności”, co brzmi paradoksalnie w zestawieniu z tym, co nastąpiło potem, kiedy rewolucja się skończyła. Nękanie zaczęło się od niespodziewanej rewizji. Zarekwirovano rewolwer, zresztą posiadany legalnie. Po kilku dniach przyszło wezwanie na „rozmowę” z oficerem żandarmerii. Wreszcie nadszedł feralny dzień, gdy zgarnięto z domów setki ludzi i już nie można było liczyć na żadną łaskę.

Starałam się przedstawić dziś inne fragmenty pamiętnika niż poprzednio, ukazać także ferwor polityczny i świadectwa wzajemnych powiązań więźniów skazanych na wspólny los i ich wzajemny szacunek pomimo znacznych różnic światopoglądowych oraz możliwości rozwijania zainteresowań intelektualnych i duchowych. Zachowałam oryginalną pisownię Antoniego Michałkiewicza.

Grób Antoniego Michałkiewicza znajduje się na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej, bezpośrednio obok kaplicy, po jej prawej stronie.

Magdalena Starzycka
pisarka, tłumaczka, publicystka

Bibliografia:

1. Andrzej Strug, *Dzieje jednego pocisku*, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1989.
2. Magdalena Micińska, *Inteligencja na rozdrożach 1864–1918*, wyd. Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2008.
3. <http://histmag.org/Powstanie-lodzkie-1905-roku-po-wolnosc-na-barykady-8069>.

Z pamiętnika Antoniego Michałkiewicza

Tylko nie dać się złamać

[...] Nareszcie wchodzi do deżurki oficer żandarmerii, rzuciwszy pytanie:

– Kto iz was Michałkiewicz?

Skinieniem ręki dał znak, aby iść za nim. Gdym znalazł się w gabinecie, [...] wzrok mój mimo woli skierował się na biurko, na którym leżała cała masa różnych papierów. Jednocześnie, na widok ten, powstała myśl: ileż w nich mieści się dramatów [...] Z zadumy tej wyrwał mnie głos żandarma, który zaczął badanie. Po zanotowaniu wstępnych formalności rozpoczęło się rzeczywiste przesłuchanie od pytania: „Czy pan należy do Narodowego Związku Robotników?”. Odpowiedziałem krótko: Nie. Wtedy oficer żandarmerii pokazał mi jeden z wielu leżących na biurku zapisanych papierów i zaczął z niego czytać, że jakobym ja miał należeć do Okręgu Łódzkiego N.Z.R., że jestem przedstawicielem tegoż związku w fabryce I.K. Poznańskiego i że wygłaszam mowy antypaństwowe na zebraniach w tejże fabryce i wielu innych. Gdy skończył, ze zdziwieniem spojrzałem na ten fatalny kawałek papieru i na trzymającego go oficera; czułem, że zbliadłem, mimo to, że starałem się zapanować nad sobą. Po chwili milczenia oficer żandarmerii wskazując na papier zapytał: „No i co pan na to?”. Odpowiedziałem: Panie na takie oskarżenia nie mogę panu powiedzieć nic więcej prócz tego, że do organizacji politycznej nigdy nie należałem i nie należę; żadnych mów przeciwpiaństwowych w jakiegokolwiek fabryce nie wygłaszałem. W fabryce I.K. Poznańskiego pracuję od ośmiu lat jako robotnik – ciągnąłem dalej – prócz tego w niedziele i święta pracuję jako konduktor na łódzkich tramwajach elektrycznych i chociażby z tego powodu zbyt mało mam czasu, abym mógł użytkować na jakąkolwiek pracę poza domem. [...]

– Po co byłeś pan za granicą? – pytał w dalszym ciągu żandarm.

Odpowiedziałem: Za granicę jeździłem dwa razy – pierwszy raz jako delegat robotników I.K. P. upoważniony do pertraktacji z zarządem w czasie lokautu łódzkiego, drugi raz również, jako delegat tychże robotników w kwestii zabójstwa jednego z dyrektorów wymienionej fabryki.

– Kto pana wybierał i z czyjego polecenia pan jeździł?

– Wybierali mnie wszyscy robotnicy fabryki I.K.P. i z ich polecenia jeździłem.

– Czy i kto z panem był?

– Było nas pierwszy raz czterech i drugim razem sześciu, lecz nazwisk nie pamiętam.

Chwilę milczenia oficer przerwał pytaniami o różnych ludzi, znanych z pracy społeczno-politycznej lub pracy w związkach zawodowych. Kategorycznie odpowiedziałem, że nikogo nie znam.

Po podpisaniu protokołu zwróciłem się z zapytaniem czy i kiedy będę wolny. W odpowiedzi usłyszałem: „Za trzy miesiące w Orenburgu”. Odpowiedź wcale mnie nie ucieszyła, bo miałem paragraf 21, na mocy którego setki ludzi wywożono w głąb stepów rosyjskich.

[...] Gdy już mieliśmy wychodzić, wezwano mnie powtórnie do badającego żandarma, który zaczął mi tłumaczyć, abym się przyznał i wskazał tych, których znam, że należą do partii, a on zrobi tak, że nikt o tem się nie dowie, a ja będę wolny.

Nikogo nie znam i nic nie wiem o żadnych partiach i należących do nich członkach, wolnym zaś być muszę – odpowiedziałem – gdyż czuję się niewinnym. Na tem skończyła się powtórna nasza rozmowa.

Pod eskortą żołnierzy odprowadzono nas z powrotem na ulicę Targową do aresztu, gdzie już na podwórzu była cała grupa więźniów w ogólnej liczbie około stu, ustawionych w szeregi po czterech; oczekiwano tylko na kilku maruderów, którzy nie zdążyli zejść na podwórze lub spakować jeszcze swoich rzeczy. W chwili tej podwórze i cały areszt podobny był do jakiegoś rynku jarmarcznego: krzyki przekleństwa sypały się jak z rogu obfitości. Nareszcie połączyłem się z moimi znajomymi, pod których opieką pozostawiłem rzeczy. Stojąc w szeregu pod strażą bagnetów, oczekiwaliśmy końca sprawdzania tożsamości osób i wyruszenia w pochód. Nareszcie zwężono kordon żołnierzy i otwarto bramę, przez którą dwójkami wypuszczano nas na ulicę. Ulica, jak okiem sięgnąć, obstawiona była kozakami i żołnierzami, prócz tego masy strażników policyjnych i więziennych. Ruszyliśmy krok za krokiem. Co krok szedł żołnierz z bagnetem i od czasu słyhać było napomnienia: „potisze”, „rawniajsia”, „nie rozgawariwat”. Gdyśmy doszli do rogu ulic Lipowej i Milsza, ujrzelśmy wysoki, drewniany, na czarno pomalowany parkan, to był płot więzienny. Od ulicy Milsza „gościnnie” była już otwarta brama na nasze przyjęcie.

O więźniach kryminalnych:

[...] Biada takiemu panu, gdy dostanie się do więzienia, gdyż każdy zdiera z niego, co się da. Więźniowie kryminalni bywają karani różnorodnie [...]. Karę stosowaną względem tych przestępców, można podzielić na cztery główne części, a mianowicie: dom poprawczy; zwykłe zamknięcie w więzieniu; więzienie poprawcze czyli tzw. „roty aresztanckie” i ciężkie roboty czyli „katorgi”. Dom poprawczy jest zakładem, do którego oddają więźniów niepełnoletnich, za różne drobniejsze przestępstwa. Zwykłe więzienie, stosowane bywa do złodziei za małe przestępstwa lub spełnione po raz pierwszy. Więzienie poprawcze czyli „roty aresztanckie” należą do cięższych kar, stosowanych przez

sądy za kradzieże i inne podobne przestępstwa. W takim więzieniu każdy ze skazanych obowiązkowo musi zajmować się pracą. Za czynność swoją otrzymuje odpowiednie wynagrodzenie, które jest większe niż trzydzieści procent zarobionych pieniędzy.

Oddzielny typ hierarchii kryminalnej stanowią przestępcy małoletni, powszechnie w więzieniach „szczurami” zwani. Są to prawie dzieci i pochodzą z różnych elementów; nierzadko można pomiędzy nimi spotkać twarz inteligentną i niekiedy przestępca taki ubrany bywa w mundurek szkolny, co dowodzi, że przecież ma kogoś, kto dbał także o jego umysł. Małoletni złodzieje siedzą razem, bez względu na wiek. Nowoprzybyłych sadzają razem z długo już siedzącymi; nowicjuszków w rzemiośle złodziejskim łączą z dawnymi praktykantami; jednostkę, która w odpowiednich warunkach mogłaby się naprawić, oddają pod wpływ zupełnie popsutych. Skutkiem tego jest, że więzienie rosyjskie nie spełnia nawet w jednej setnej części swojej roli, albowiem nie umoralnia wcale, a odwrotnie: utrwała w zepsuciu. [...] I kogóż tu winić za taki stan rzeczy: czy rodziców, którzy dla wyżywienia siebie i licznej rodziny muszą pracować dzień cały? Czy też społeczeństwo, które tworzy różne stowarzyszenia i instytucje celem ochrony zwierząt, drzew itp., ale nie pomyśli o przyszłym pokoleniu.

[...] Teraz kiedyśmy poznali wszystkich mieszkańców więzienia, mimo woli rodzi się pytanie co ci ludzie robią całymi dniami, na to jest jedna odpowiedź: nic, gdyż na kilkudziesięciu więźniów-kryminalistów, odsiadujących mniejsze wyroki, a zajętych przy krojeniu chleba, wynoszeniu kubłów, cebrow z pożywieniem, sprzątanii, nie można liczyć.

Zakuty w kajdany

25 lipca, wtorek.

Więzienie piotrkowskie, z chwilą zamianowania naczelnika, zmienia swój wygląd tak zewnętrzny, jak i wewnętrzny, a mianowicie: wszystkie cele i korytarze czysto zostały wybielone; szafliki do brudnej wody, konewki do czystej, również cebry, w których roznoszą jedzenie, pomalowane są i daleko lepiej i przyjemniej też wyglądają teraz, niż dawniej. Szykują też specjalne kotły do gotowania wody na herbatę i wiele innych rzeczy, w ogóle znać, że jest tu gospodarz lubiący czystość. W stosunku do więźniów, to, że się tak wyrażę, jest on dwojakim i tak: gdy na przykład przyjdzie do nas lub innych politycznych więźniów, bywa zwykle grzecznym, lecz to mu nie przeszkadza po wejściu do celi, w której siedzą kryminaliści, krzyczeć i wymyślać, przy tem, jako nieodrodny syn Rosji, używa różnych kwiatków rosyjskich. Strażników trzyma ostro i czasem za niewielkie stosunkowo przewinienie, bije w twarz, nie bacząc na wiek lub stopień służby danego osobnika. Jednym słowem jest to człowiek dziwny, tem bardziej, że dwulicowy. Mimo to, ja osobiście, nie mogę narzekać.

28 lipca, piątek.

Papiery nasze, jakeśmy się dowiedzieli, nareszcie przywędrowały z senatu do wydziału wykonawczego przy rządzie gubernialnym w Piotrkowie i spo-

dziewamy się, że lada dzień przyszlą, tem bardziej, że naczelnik więzienia, będąc u nas, obiecał się sam zająć tą sprawą jeszcze dziś, gdyż będzie z Zarządzie Gubernialnym. Wczoraj otrzymałem list od żony, która mi pisze, że przyjedzie w niedzielę i dlatego matka nie przyjechała.

29 lipca, sobota.

Dziś przysłano wyrok już pełnomocny z guberni, o czym prywatnie nas zawiadomił sekretarz więzienny o godzinie dziesiątej wieczór. Wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż nareszcie skończą się dyskusje na temat, gdzie obecnie są i kiedy przyszlą papiery, to jest wyrok do wykonania. Ciekawy przy tem jestem, kiedy zakują mnie w kajdany.

1 sierpnia, wtorek. [...] W myśl wczorajszego zawiadomienia, oczekuję na zakucie w kajdany. Toteż, gdy przyszedł „starszy” do celi zainterpelowałem go, kiedy mi sprawi „buty” (tak tu nazywają kajdany). Odpowiedział, że jutro, więc jeszcze jedną noc mam przepędzić beż żelaza na nogach, a później nastaną dnie i noce, w których trzeba będzie nosić łańcuchy i słuchać ich brzęku.

2 sierpnia, środa. Nareszcie nadszedł dzień zakucia. Po wypiciu herbaty udaliśmy się na spacer. Zaledwie parę minut chodziliśmy, gdy „starszy” wezwał nas do zakucia. Poszliśmy. „Deżurka” czyli pokój, w którym jest punkt zborny wszystkich strażników, zastawiona dużym stołem i ławkami, na dwóch wieszadłach przymocowanych do ściany wisi odzież wierzchnia strażników. Gdym wszedł okiem rzuciłem wkoło, szukając kajdan. Jeden ze strażników odkrywa skrzynię, w której wybieramy, dzięki uprzejmości „starszego” owe łańcuchy. Ja dla siebie nie mogę dobrać odpowiednich, gdyż jedne za małe, drugie są za duże. Nareszcie po kilkukrotnym przymierzaniu wybrałem jedne z lepszych. Zbliżyła się chwila krytyczna. „Proszę siadać i nogę położyć koło kowadła” brzmi cichy jakby załkniony głos chłopca, który ma mnie zakuć. Wypełniłem polecenie. Parę uderzeń młotkiem i po wszystkim, kiedy zacząłem próbować czy wszystkie ogniwa należycie są założone, to pokazało się, że kółko spajające dalsze ogniwo z obręczą nie obraca się dobrze. Nie pomogły żadne manipulacje, aby je luzować. Musiano mnie rozkuć i szukać drugich łańcuchów.

Więzienie na Rakowieckiej

[...] Olbrzymią część pola mokotowskiego od ulicy Rakowieckiej ujęta była wysokim obmurowaniem w formie czworoboku ze znajdującymi się poza murami pawilonami, tworzyła całość więzienia, które znowu dzieliło się na dwie główne części to jest właściwe więzienie i fabryki więzienne, w których zatrudnili tylko więźniów, pracujących pod kierownictwem majstrów – instruktorów niezależnych od administracji więziennej. Pawilonów przeznaczonych dla więźniów było dwa. Gmach główny, front którego wychodził na wspomnianą ulicę Rakowiecką. Do budynku tego prowadziła duża żelazna brama, od której tylko parę kroków mieściło się wejście prowadzące po kamiennych stopniach do głównego korytarza. Pawilon główny z daleka raził, podobnie jak i inne

budynki tutaj, że względu na gęste kraty umieszczone we względnie małych, kwadratowych oknach. Na szczycie frontowym gmachu, a właściwie jego nadbudówki czernił się dość dużych rozmiarów żelazny, poczerniały od deszczu krzyż, godło cierpienia bólu. Obok, w przejściu pomiędzy bramą a wejściem do „korpusu”, po lewej stronie mieściła się dzwonnica z dzwonami dla prawosławnych na budynku tym, również umieszczono czteroramienny krzyż wschodni. Po prawej stronie bramy głównej stał, równolegle z ulicą, budynek jednopiętrowy, w którym mieściły się piekarnia więzienna i kuchnia.

W pawilonie głównym, prócz izb-cel więziennych i „karceru”, znajdowała się kancelaria więzienna, dyżurka dla strażników rezerwy, izba dla warty żołnierskiej, wreszcie pokój dla widzeń czyli rozmównica dla widzeń więźniów (tylko raz w miesiącu i tylko z najbliższą rodziną). Tutaj rozgrywały się pełne bólu, rozdzierające duszę, dramaty cierpień ludzkich, pełnych tęsknoty i żalu tych wszystkich, którzy przez nie, jak przez ogień oczyszczający przechodzić muszą [...].

W drugiej części korytarza, znajdującej się za żelazną bramą, zaczynało się już faktyczne więzienie i nikt z osób nie należących do dozoru więziennego nie mógł przekroczyć tej bramy bez specjalnego zezwolenia naczelnika lub dyżurnego pomocnika. W innej części korytarza, należącej do więzienia, znajdowało się ambulatorium lekarskie, biblioteka więzienna itp. Na najwyższych piętrach, gdzie mieścił się oddział ósmy, znajdowała się kaplica katolicka, a na dziewiątym cerkiew prawosławna. Mieli też żydzi swoją bożnicę, która mieściła się w suterrenach na pierwszym oddziale. Wszystkich oddziałów było dziewięć. Były one oddzielone od korytarzy prowadzących z klatek schodowych dużemi, w kształcie półkola u góry bram, prętami żelaznymi, malowanymi białą farbą. Poza wyjątkami: kaplicy, cerkwi, do których prowadzą grube drzwi dębowe i ambulatorium tylko kraty, kraty i kraty. Daremnie gdzie schować się przed argusowym okiem dozorczy – wszędzie cię ono znajdzie, wszędzie cię prześladuje, w celi, na korytarzu. W dzień, w nocy, zawsze czujesz je utkwione w swojej postaci. Toteż krępują one każdego, a szczególnie tych, którzy nie przyzwyczajeni są do tego.

Więzienna biblioteka

Obok ambulatorium, za murowaną ścianą znajduje się biblioteka więzienna, nieduży pokój o jednym oknie i z drzwiami z prętów żelaznych. Dwie szafy do książek, stół, duża tablica, jakiej używają w szkołach elementarnych i parę ławek szkolnych, oto całe umeblowanie. Biblioteka ta, o ile w pierwszych miesiącach mojego tu pobytu przedstawiała się niezbyt okazale, to teraz stoi względnie, jak na taki krótki czas, dość dobrze. Szczególnie od drugiej połowy 1912 roku, kiedy bibliotekarzem wyznaczono inż. Boguszevicza, który za należenie do P.P.S. Frakcja Rewolucyjna, został skazany wyrokiem Warszawskiej Izby Sądowej na osiem lat ciężkich robót, dzielnie mu pomagał w pracy pomocnik p. Karpiński, wyrokiem tejże Izby skazany za należenie do N.Z.R. na sześć lat ciężkich robót. Biblioteka ta, oprócz bogatego działu beletrystycznego, posiadała dużą ilość dzieł poważnych – naukowych z różnych dziedzin nauki jak to:

filozofii, historii, astrochemii, botaniki, chemii, geologii itp. Mieliśmy też niemal w całości prace trzech naszych mistrzów Adama, Juliusza i Zygmunta, a za nimi cały szereg innych poetów. Zaczytywaliśmy się także w Henryku Sienkiewiczu. Trylogii jego nawet trudno było dostać do czytania, tak była rozchwytywana, lecz za to brak nam zupełny „Krzyżaków”. Biblioteka, tak pod względem jakościowym i ilościowym, przedstawiała się dość dobrze. Ten stan księgozbioru więziennego, który liczył 2.500 tomów należało zawdzięczać tylko niestrudzonej energii bibliotekarza. Dzięki też bibliotekarzowi ułatwiony był sposób abonamentu książek, które podzielone na działy, można wybierać za pomocą, specjalnie na ten cel wypisanymi biletami, na których prócz numeru figuruje tytuł dzieła i autoroku Biblioteka składała się przeważnie z książek w języku polskim, rosyjskim, żydowskim, niemieckim, francuskim i esperanto.

Książki czy urzędnik

Jak do kaplicy, tak i do cerkwi, w większości wypadków, więźniowie nie tyle dla modlitwy uczęszczali, co dla załatwienia różnych, przeróżnych interesów własnych lub poleceń współtowarzyszy. Kaplica to było jedyne miejsce, gdzie zawsze dwoje ludzi, choćby każdy z nich siedział na innym oddziale, mogli się zobaczyć, mogli z sobą zamienić już, jeżeli nie słów parę, to przynajmniej spojrzenia lub znaki, które za słowa starczyć muszą. I mimo, że obecni w kaplicy dozorczy bacznie zwracali uwagę na każdy ruch, na każde skinienie, nawet spojrzenie, to i tak ten, komu to potrzebne, znajdzie sposób porozumienia się ze współtowarzyszem. A ileż to „grypsów” zamieniało się wtedy, choć za schwytywanie na gorącym uczynku przez dozorcę, winny podlegał karze do siedmiu dni karczeru, ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z tej kary. Lecz nic to nie może powstrzymać ludzi od „występku” porozumiewania się z sobą. A nieraz podczas mszy świętej można było widzieć dwóch klęczących ludzi, którzy z oczyma zwróconymi ku ołtarzowi pogrążeni, zda się, w modlitwie, w najlepsze sobie gwarzą, lecz tak cicho, jak tylko to „katorga” w razie potrzeby potrafiła.

Kapelanem był ks. Podbielski, kapłan z wyższym wykształceniem, wielki miłośnik nauk przyrodniczych, którymi się, poza swymi obowiązkami oddawał. Był to człowiek łagodny, inteligentny, o cerze ascety. Mówcą nie był, lecz za to chwycił wprost za serce swoją łagodnością i obojętnością. Prawda, że byli tacy, którzy robili mu zarzut, iż nigdy nie zajrzał do cel więziennych, aby bliżej przypatrzeć się swoim „owieczkom”, lecz ograniczał się tylko do odprawiania nabożeństwa w kaplicy i wypowiedzenia nauki, w której mniej lub więcej starał się potępiać zło tego świata, a kierować lud, sobie powierzony, na drogę Pańską.

Dozór nad kaplicą miał dozorca Jankowski, powszechnie zwany „katem”, gdyż to on, w razie skazania więźnia na chłostę, wymierzał ją, on również zakuwał w łańcuchy. I o ironio: Moskale człowiekowi temu powierzyli obsługiwanie świętych ołtarzy Zbawiciela, Boga miłości i przebaczenia; człowiek ten – kat, mimo że miał krwią splamione ręce, śmiało dotykać uświęconych miejsc, świętego ołtarza.

Ksiądz kapelan przy pomocy ówczesnych latarni czarnoksiężskich, kinematografu, demonstrował często obrazy zastosowane do okoliczności, jak te podczas Bożego Narodzenia, Wielkiego Postu i tak dalej. Na ten „teatr”, jak tu nazywali, chodziły całe tłumy więźniów, lecz chodzili niestety po to tylko, aby później komentować to, co widzieli i po swojemu krytykować widziane na obrazach postacie. „Dreszcz przenikał ciało, a skóra cierpła”, gdy słyszało się niebywałe bluźnierstwa wygłaszane po tych obrazach. Gdyby ks. Kapelan wówczas uznał za wskazane wejść do cel więziennych, zbliżyć się do tych postaci znanych mu tylko z kaplicy i opowiadań naczelnika, gdyby zechciał zainteresować się ich życiem, to pewno odczułby lepiej ich potrzeby i charakter. Są to życzenia. I doprawdy trudno uwierzyć, wprost nie można, że ten na mocy powołania swojego sługą sług być powinien, ten który zda się w myśl Boskiej nauki Mistrza swojego, powinien „więźniów pocieszać, ubogich karmić”, ten uczeń Boga maluczkich, okazywał się tylko urzędnikiem biurokrata, jak tylu innych.

Przykro nam, katolikom było, że w przeciwieństwie do ks. Kapelana, duchowny prawosławny nie ograniczał się do oficjalnego, suchego wypełniania swoich obowiązków w cerkwi, lecz od czasu do czasu wizytował cele więzienne, rozmawiał z więźniami o ich życiu, interesował się jakie książki czytają. Nierzadko można było widzieć jak osobiście z kimś, kto tego pragnie, godziny całe rozmawiał. Oczywiście, że administracja więzienna specjalnie chciała zniechęcać katolików do księdza, a kierować umysły ku duchownemu prawosławnemu [...].

Więzienna codzienność

25 maja, sobota.

Dzień dzisiejszy krwawo zapisał się w dziejach tutejszej „katorgi”. Jak zwykle przyszedłszy do pracy, a chociaż majstra z powodu choroby nie było, każdy z nas wziął się do swojej czynności. Około godziny dziewiątej rano przyszedł Makowski, pomocnik dyrektora, chwilowo zastępujący majstra Przybylskiego, lecz nikt prawie na to nie zwrócił uwagi, zajęty swoją robotą. Wtem dał się słyszeć straszny jakiś głos, wzywający ratunku. Zanim mogliśmy zorientować się, co się stało, naszym oczom przedstawił się straszny widok. Makowski z twarzą zalaną krwią, na pół przytomny, starał się ująć przed jednym z więźniów, Szcz. M., który zadał mu nożem czy też innym jakim narzędziem, parę ran, przeważnie w twarz. Wszyscy tym faktem do tego stopnia byli przerażeni, że nikt z miejsca nie mógł się ruszyć, a dozorca doglądający więźniów przy robocie ze strachu biegał z kąta w kąt. Dopiero drugi dozorca, znajdujący się w klatce, zaalarmował posterunek rezerwy. Na ten alarm przybiegł pełniący w zastępstwie obowiązki naczelnika z pomocnikami i dozorcami, lecz widząc spokojne nasze postawy, pochowano dobytą broń, a zabierając ofiarę i sprawcę tego czynu oddalili się, lecz po namyśle zabrali jeszcze osiem osób znajdujących się najbliżej miejsca popełnionego czynu i zamknięto ich w gmachu celkowym, skąd, po podpisaniu protokołu o całym zajściu, wypuszczono wszystkim za wyjątkiem Szcz., któremu prawdopodobnie wytoczą proces.

25 sierpnia, niedziela.

Tydzień ubiegły przeżył bez szczególnych wydarzeń dla „katorgi” w ogóle, a dla mnie w szczególności. Zatopiony w myślach swoich i w pracy, przeżywam jednostajnie i monotonna dni mojego wegetacyjnego życia. Czasem jakaś wesołość dziwna przepętnia mnie, to znowu przychodzą na mnie osobliwe jakieś dni takie, że milczenie jest mi najmilsze i chciałbym pójść gdzieś, hen, daleko, poza góry i lasy, w puste pola i być sam, sam jeden, z dala od ludzi i aby mnie żaden głos nie dobiegł i żadnego nie spostrzegł ich spojrzenia [...]

W dniu dzisiejszym, to jest w niedzielę, po nabożeństwie, ksiądz kapelan pobłogosławił związek małżeński pomiędzy jednym z kolegów naszych F.B. a jego narzeczoną, z tego powodu miejsce w kaplicy przeznaczone dla osób przychodzących spoza więzienia, przepętnione przeważnie kobietami, tworzy jakby oazę na pustyni: ich różnokolorowe kapelusze i odzienie dziwnie odbijają od ciemnych lub szarych kurtek więziennych.

20 grudnia, piątek.

Od paru dni w powietrzu, że tak się wyrażę, czuć święta. Pośród więźniów panuje nastrój w większości uroczysto-poważny; jedni myślą o tych czasach, kiedy to wśród drogich i bliskich osób przygotowywali się na święta [...] Ja również otrzymałem list od Stasia M., w którym tenże donosi mi wiele ciekawych rzeczy o obecnym stanie politycznym, jaki zarysowuje się na horyzoncie europejskim.

Dzień wczorajszy, jako świąteczny (dzień imienin cesarza) spędziliśmy w celi więziennej. A dzień był jakiś smętny i ponury to nic dziwnego, że opanowała mnie jakaś melancholijna tęsknota. [...] leżałem nakrywszy się na głowę kołdrą całe popołudnie, mając oczy zamknięte, ale nie spałem, przebijałem myślą po wielokroć razy całe swoje życie, lecz w myślach pod przymkniętymi powiekami widziałem tylko Ciebie, Twoje blade z nadmiernego trudu i cierpienia oblicze, stało i stoi zawsze przede mną jako jeden wielki wyrzut, że przyczyną Twojej złej doli ja jestem, że tego ciężkiego, a smutnego stanu, w jakim się znajdujesz, ja się przyczyniłem. Toteż proszę Cię moja Droga, wybac mi, że dla obowiązków, jakie ściągnąłem przed światem i przed Bogiem, wobec Ciebie i dzieci naszych, poświęciłem się pracy dla ludu i drogiej Ojczyzny, lecz czyż mogłem ja, syn tego ludu, gnębionego przez okrutnego tyrana inaczej postąpić? Zasklepić się w kółku życia rodzinnego, kiedy nadeszła chwila walki z wrogiem? O nie. I gdyby mi po tysiącokroć większe znosić katusze, to i tak z raz obranej drogi żadna siła nie byłaby zdolna mnie nawrócić. A Ty jako Polka, sama zbyt dobrze to rozumiesz, a cierpienia Twe poleć Najwyższemu.

„Przeciw znienawidzonej Moskwie”20 grudnia, piątek.

[...] Jeśli uda mi się wyrwać z duszy myśl o domu rodzinnym, to wspomnienia wyrzucone „drzwiami”, włożą „oknem”, usunięte wśród światła

dziennego, wracają nocą, we śnie, w sennem majaczeniu. Te wspomnienia i myśli przywiodła mi pamięć moja na widok literatury nielegalnej, która „pocztą więzienną” mimo krat i straży dostała się, aby wlać otuchę do zmartwychwstałych z bólu i męki serc naszych. Prawda, że i dawniej od czasu do czasu jakiś numer „Siewca” lub „Polski” przedostawał się, ale nigdy tak obficie „bibuła” nie była reprezentowaną, jak w ciągu ubiegłego tygodnia. Dość wymienić, że mieliśmy odezwę Gł. Zw. B., wydaną imieniem sześciu organizacji polskich niepodległościowych, „Siewcę” i „Polskę”. Jak dowiaduję się, z tylko co przeczytanej „bibuły”, dziwne rzeczy dzieją się na świecie, jakby druga Wiosna Ludów W całej Europie niepokój i zawichrzenia, z czego korzystając Naród Polski, przygotowuje się do orężnego wystąpienia przeciw znieprawionej Moskwie. A hasłem tego ma być wojna Austrii z Rosją. Daleki jestem od tego, żeby krytykować obecnie zajęte stanowiska przez zwolennika „Polski”, lecz w zasadzie tych skąpych wiadomości, jakie tu w więzieniu mnie dochodzą, sądzę, że w obecnym naszym położeniu, przy dezorganizacji społeczeństwa, jakim ono podległo wskutek ostatnich lat, jak również i niezbyt silnie zorganizowanemu ludowi, bodaj czy nie zgubną jest myśl powstania zbrojnego... [...] Czyżbyśmy zapomnieli już o klęsce w 1831 i 1863 roku? [...] Co robić? Jedynym wyjściem jest organizować się i uświadamiać jednocześnie, a połączywszy w jedną spójnię wszystkie istniejące organizacje i partje polityczne, przeciwstawić ją wrażej Moskwie.

Śródtytuły w tekście pochodzą od Redakcji

Fotografie Antoniego Michałkiewicza z archiwum autorki

kultura

Dadaizm w Muzeum Sztuki

Wytrwały eksperyment

Karol Józwiak

str. 65

Malarstwo Piotra Turka

Łowca „złotej chwili”

Monika Nowakowska

str. 69

90 lat Ryszarda Klimczaka

Tylko nasze przeżycia są autentyczne...

Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 72

Łodzianie wielcy a zapomniani

Kazimierz Sowiński

Marek Andrzej Gwoździński

str. 78

70 lat Teatru Muzycznego w Łodzi

Jubileusz sceny przy Północnej

Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 86

Dadaizm w Muzeum Sztuki

Wytrwały eksperyment

DADA Impuls to tytuł czasowej wystawy w Muzeum Sztuki prezentującej kolekcję Egidio Marzony. Kuratorzy wystawy zmierzili się ze zbiorami włosko-niemieckiego kolekcjonera, obierając za główny punkt odniesienia dadaizm. Hasło to nie posłużyło jedynie jako szufladka jednego z *-izmów* historii sztuki, ale zostało potraktowane jako paradygmat wielu różnych zjawisk w sztuce XX wieku. Paulina Kurc-Maj i Paweł Polit we wstępie kuratorskim wskazują na zmianę konotacji fenomenu dadaizmu. „Dadaizm kojarzony jest zwykle z ...”¹ – już pierwsze słowa katalogu wskazują na ten ambitny cel wystawy. Kuratorzy, czesząc pod włos utarte skojarzenia z dadaizmem, starają się pokazać, jak w nieoczekiwany sposób ów dadaistyczny impuls z drugiej dekady XX wieku pobrzmiwa w sztuce niemal przez całe stulecie.

Nie jest to zatem wystawa tylko historyczna, nie służy wyłącznie precyzyjnemu wyjaśnieniu, czym był ruch dadaistyczny, sytuowany przez historyków w latach 1916–1922 w kilku miastach Europy i Ameryki². Mimo obszernego wyeksponowania materiałów archiwalnych, takich jak druki, notatki, szkice, zaproszenia i katalogi wystaw, nie snuje ona narracji tylko historycznej. To wystawa dyskursywna, stawiająca określone tezy, naświetlająca różne problemy. Jednym z najbardziej zaskakujących wniosków jest zniesienie binarnego podziału na „dadaistyczny anarchizm” *versus* „konstruktywistyczny racjonalizm”. Wystawa z pewną przekorą zaczyna się w Sali Neoplastycznej, gdzie pośród geometrycznej abstrakcji można zobaczyć artykuł abstrakcjonisty Theo van Doesburga. Ten kuratorski gest można odczytać jako dadaistyczną prowokację – oto w samym sercu muzeum, swoistym ołtarzu sztuki abstrakcyjnej, osadzona jest opowieść o antysztuce, anarchizmie artystycznym, walce z konwencjami sztuki, świętokradczej postawie, krótko mówiąc historia dadaizmu. Jednakże odniesienie do abstrakcji geometrycznej nie jest tylko przekorą – oto przecież sam van Doesburg ma swoje miejsce w historii dadaizmu, a jego artykuł *Czym jest dada?*, po raz pierwszy po polsku został opublikowany właśnie w katalogu wystawy. I choć, jak on sam pisze, „na często zadawane dadaistom pytanie, »czy jest dada«, teoretycznie nie da się udzielić odpowiedzi”³, to da się osnuć wokół tego fenomenu intrygujący dyskurs.

Kuratorzy strukturę wystawy opierają na jednym z wynalazków dadaizmu – na kolażu. Tak jak w prezentowanych kolażach Schwittersa przenikają się w niej różne płaszczyzny, poczynawszy od narracji historii sztuki wyznaczającej

to, co rozumiemy pod pojęciami dada i postawy dadaistycznej, poprzez tworzenie obrazu epoki, skończywszy na samej kolekcji Marzona z jego osobistymi wyborami. Przywołany w katalogu tekst Matthew Biro zwraca właśnie uwagę na ową zbieżność między postawą dadaistyczną a działaniem kolekcjonera, które „polegają zasadniczo na praktykach montażu i zawłaszczenia”⁴. Zatem to właśnie kolekcja, jako „spektakularny kolaż”⁵, jest doskonałym polem badawczym fenomenu dada.

Prezentowana kolekcja w ciekawy sposób ewokuje obraz epoki, na który zwraca uwagę sam Marzona. Otóż uderzające jest, że pośród dadaistycznego śmiechu i wygłupów przebijają się nastroje pesymizmu i tragizmu. Ów nastrój doskonale wydobywa Hal Foster w poświęconemu Hugo Ballowi eseju opublikowanym w katalogu wystawy. Amerykański krytyk osnuwa opowieść wokół wątku mima, który przystosowuje się do traumatycznych wydarzeń współczesności: „mimetyczne przystosowanie to biologiczna technika przetrwania poprzez kamuflowanie się we wrogim otoczeniu”⁶. Mimetyzm, posługując się cytatem z Balla, pomaga zwalczać „agonię i przedśmiertelne drgawki swej epoki”⁷, w innym miejscu przywołane zostaje jego zdanie: „Gorgony głowa bezgranicznego terroru śmieje się pośród fantastycznej destrukcji”⁸. Pojęcie mimetyzmu jest ewokowane w wymownym kontekście w pracy Johna Heartfielda. W tym świetle czyta się dadaistyczną błazenadę jako sposób na poradzenie sobie z desperacją czy, posługując się przywołanymi słowami Waltera Benjamina, „chodzi ostatecznie o to, by przetrwać cywilizację, by wciąż siedzieć, gdy wyciągną spod nas krzesło”⁹. Podobny ton przybiera esej Huberta van den Berga, który podnosi „fantastyczno-groteskowy i magiczno-mistyczny wymiar dadaizmu”¹⁰. Ów historyk sztuki zwraca uwagę na dadaistyczne hasło „twórczej indyferencji”¹¹, które związane jest z jednej strony z mistycz-



nymi koncepcjami Maxa Stirnera, ale jednocześnie staje się sarkastyczną odpowiedzią na kult osobowości artysty, na jego osobiste przeżywanie tworzonej sztuki. Dadaści wyśmiewają to napompowanie figury artysty, tworząc sztukę mechaniczną, nazywając *ready-mades* dziełami sztuki. Ów sarkazm jest jednym z głównych cech łączących dadaizm z początku wieku z późniejszymi manifestacjami neo-dadaizmu. Mechanizacja stanowi ważną cechę prac Jeana Tinguely'ego, który skonstruował prototyp maszyny mogącej zastąpić artystę w „malowaniu” dzieł sztuki. Tło epoki jest już jednak inne, w latach 50. i 60. już nie widma wojny i ścieranie się różnych wizji utopii determinują nastrój czasu, ale alienacja jednostek i konsumpcjonizm.

W kolekcji Egidio Marzony widz w różnych miejscach konfrontowany jest z obiektami, które same w sobie są rodzajem mikrokolekcji, takie jak walizka Duchampa, akumulacje Armana, walizka artystów Nouveau Réalisme. Momenty zetknięcia się z tymi obiektami stają się chwilowym zawieszeniem sensu, nagle fragment kolekcji staje się zwierciadłem całej kolekcji, widz gubi się pośród refleksów znaczeń. Włączenie w kolekcję akcydensów wzmacnia owo zagubienie, punktem kulminacyjnym stało się dla mnie dostrzeżenie wkładki z „New York Timesa” oprawionej w ramy i wystawionej jak „pełnoprawne dzieło sztuki”. Nie jest to żadna serigrafia Warhola ani fragment kolażu Raya Johnsona, ale bezpośrednio wyjęte z wydania z 1969 roku strona gazety poświęcona Marcelowi Duchampowi. Fakt, że bohaterem jej jest twórca *ready-mades*, wprowadza znów ową intrygującą dialektykę: gest oprawienia i powieszenia na ścianie zwyczajnej, wielonakładowej gazety stał się swoistym powtórzeniem gestu ustanowienia *ready-made* jako dzieła sztuki. Podobny moment dialektyczny następuje w sali z rotoreliefami Duchampa, gdzie wizualna gra linii z ruchomych dysków wchodzi w intrygującą relację z przestrzenią sali, zaprojektowaną i zrealizowaną kilka lat temu przez Jarosława Flicieńskiego. Te gry z konwencją pokazywania sztuki, „puszczania oka” do widza, momenty zawieszenia sensów i pobudzania refleksji nieprzypadkowo pojawiają się na tej wystawie. Dadaizm bowiem oprócz wspomnianych pesymistycznych przeczuć, sarkazmu, obalenia mitów i autorytetów wprowadził czynnik autorefleksyjny, czy – posługując się słowami Biro z katalogu wystawy – „pojęciową refleksję nad własnymi środkami wyrazu”¹², co wynikało z połączenia „tego, co lingwistyczne, z tym, co wizualne”¹³. To właśnie wśród tych burzycieli, obrazoburców, anarchistów dojrzała najpełniej myśl o przewartościowaniu wszystkich wartości sztuki, o skupieniu się na samym akcie nadawania statusu dziełu sztuki, precyzyjnemu określaniu granic (a zatem i ich przesuwanie). Tym samym dadaizm jawi się jako doskonałe laboratorium do badania działań kuratorskich, konstruowania zwrotnej relacji między sztuką, widzem a łączącym ich teoretycznym dyskursem.

Wystawa *DADA Impuls* powstaje chyba nieprzypadkowo tuż po publikacji ogromnej monografii Muzeum Sztuki. Zespół muzeum poświęcił się badaniu tożsamości tej wyjątkowej instytucji. W archiwalnych tekstach, niepublikowanych wcześniej zapiskach kierowników muzeum, współczesnych tekstach krytycznych i analitycznych,

można dostrzec wyjątkowość Muzeum Sztuki oraz zadziwiającą konsekwencję strategii muzealniczej. Ryszard Stanisławski sformułował ją, używając zwrotu „instrument krytyczny”. Muzeum, będąc takim instrumentem krytycznym, „decyduje o pisanej i niepisanej historii sztuki”. „Chcielibyśmy – pisał Stanisławski w 1992 – z większym impetem, determinacją i rozsądną strategią, by muzeum w tym brzydkim, naprawdę na długo jeszcze drugorzędnym mieście środkowej Europy, było biegunem kontaktów dyskusji”¹⁴. W tym właśnie duchu brzmią słowa kończące wstęp do katalogu, w którym kuratorzy stwierdzają, że wystawa jest „sama w sobie rodzajem eksperymentu”.

To krytyczne wykorzystanie instrumentu muzeum potwierdza się w działaniach wokół wystawy, a zatem konfrontacji z widzami podczas licznych oprowadzeń kuratorskich i wydarzeń towarzyszących, a szczególnie w chęci kontynuowania poszukiwań impulsów dadaistycznych, tym razem w sztuce polskiej, w ramach zaplanowanej na koniec 2015 roku konferencji naukowej.

Karol Józwiak
historyk i krytyk sztuki

Dada – Impuls, wystawa w Muzeum Sztuki (ms¹) 12 czerwca – 23 sierpnia 2015, kuratorzy Paulina Kurc-Maj i Paweł Polit.

Przypisy:

1. P. Kurc-Maj, P. Polit, *Wstęp*, [w:] *DADA Impuls/e. Kolekcja Egidio Marzony. Egidio Marzona Collection*, red. P. Kurc-Maj, P. Polit, Muzeum Sztuki, Łódź 2015, s. 6.
2. W. Haftmann, *Posłowie*, [w:] H. Richter, *Dadaizm*, s. 369, przeł. J. Buras, Warszawa 1986.
3. T. van Doesburg, *Czym jest Dada*, przeł. M. Pędzisz, M. Wenderski, [w:] *Dada Impuls/e...*, dz.cyt., s. 111.
4. M. Biro, *Dziedzictwo dadaizmu*, przeł. M. Wawrzyńczak, [w:] *Dada Impuls/e...*, dz.cyt., s. 65.
5. P. Kurc-Maj, P. Polit, dz. cyt., s. 9.
6. H. Foster, *Dadaistyczny mim*, przeł. M. Wawrzyńczak, [w:] *Dada Impuls/e...*, dz.cyt., s. 43.
7. H. Ball, *Flight out of time*, za: H. Foster, dz.cyt., s. 43.
8. Tamże, s. 44.
9. Tamże, s. 48.
10. Tamże, s. 25.
11. H. van den Berg, „Zobacz zobacz zobacz tutaj tutaj tutaj nic nic nic”. *O niszczyielskiej kreatywności i kreatywnej indyferencji jako utopijnym nihilizmie w dadaizmie*, przeł. M. Wawrzyńczak, w: *Dada Impuls/e...*, dz.cyt., s. 21 i dalej.
12. Tamże, s. 63.
13. Tamże, s. 63.
14. R. Stanisławski, *Muzeum jako instrument krytyczny*, [w:] *Muzeum Sztuki w Łodzi. Monografia*, Tom I, red. A. Jach, K. Słoboda, J. Sokołowska, M. Ziółkowska, Muzeum Sztuki, Łódź 2015, s. 491.

Malarstwo Piotra Turka

Łowca „złotej chwili”

Jedną z oryginalniejszych osobowości łódzkiego środowiska artystycznego jest Piotr Turek, niedoszły prawnik, absolwent PWSSP w Łodzi, od prawie 30 lat konfrontujący efekty swoich malarskich dociekań z publicznością, nie tylko lokalną. W rodzinnym mieście prezentuje swoje prace cyklicznie, co jest z jednej strony pokłosiem dość intensywnej aktywności twórczej, a z drugiej silną potrzebą dzielenia się osobistymi refleksjami na temat otaczającego go świata i ludzkiej kondycji z drugim człowiekiem – widzem. Wybrane obrazy z ostatnich ośmiu lat, w tym dzieła najnowsze tego autora można było oglądać w czerwcu i lipcu tego roku w Galerii Re:Medium przy ul. Piotrkowskiej 113 w Łodzi na kameralnej wystawie zatytułowanej *Wibracje i rozmowy koloraturowe*.

Kameralność ekspozycji narzuciło wnętrze zdolne pomieścić zaledwie 13 płócien, w większości w ulubionym wymiarze artysty: 114 na 130 cm. Piotr Turek wystawiał prace w Re:Medium po raz pierwszy, choć z Miejską Galerią Sztuki w Łodzi, której ta przestrzeń podlega od 2012 roku, zaprzyjaźniony jest od dwóch dekad. Warto tu przypomnieć, że jako student PWSSP trzykrotnie był laureatem nagrody tej placówki w uczelnianym Konkursie im. Władysława Strzemińskiego, a już jako dojrzały twórca miał w niej sześć wystaw indywidualnych. Dotychczasowe – w Galerii Bałuckiej, Willi oraz Ośrodka Propagandy Sztuki – podsumowywały etapy jego malarskiego rozwoju, dokumentowały narodziny nowych cykli, ich formalne i treściowe przeobrażenia w kolejnych latach czy jak określa to sam autor: „przepoczwarczenia”. Budowały też niewątpliwie pozycję Piotra Turka na rynku sztuki. Należy tu bowiem podkreślić, że artysta utrzymuje się wyłącznie z malarstwa, które jest jego pomysłem na życie w każdym tego słowa znaczeniu. To dziś odważna i godna szacunku postawa, tym bardziej, że nie maluje na zamówienie, a w każdym obrazie muszą być jego „własne rzeczy”, czyli poddane stylizacji, deformacji czy wręcz dematerializacji fragmenty otaczającej go rzeczywistości: postacie, wnętrza, przedmioty zanurzone w dziwne, niedookreślone przestrzenie. Czasem inspirują go prywatne sytuacje rodzinne poddane tytułowemu wibracjom, ostatnio zaś wiejskie pejzaże wydobywane z historii sztuki – jak miało to miejsce z obrazem *Droga do Middelhamis* XVII-wiecznego malarza holenderskiego Meindert Hobbema. Natura bowiem jest częstym źródłem odniesienia i odautorskich komentarzy dla pełnej ekspresji i emocji twórczości Piotra Turka, poddawanie zaś jej poszczególnych elementów abstrahowaniu to nie poszukiwanie efektownych zabiegów formalnych czy zabawa stylistycznymi konwencjami, a raczej wewnętrzna konieczność.

Kontynuowany od 1992 roku cykl *Rozmowy koloraturowe* to rodzaj przejmującego, bardzo osobistego dialogu z przeszłością i teraźniejszością, zapis zmagania artysty z trudami codziennej egzystencji, rodzinnymi dramatami, wewnętrznymi niepokojami, często mającymi wymiar globalny. To pozornie estetyczne malarstwo w połączeniu z poszukiwaniami kolorystycznymi, ujawnia wielką wrażliwość i głębię przeżyć autora, który nie potrafi obojętnie przejść obok piękna przyrody ale i jej degradacji, destrukcji więzi międzyludzkich czy odczuwalnych po dziś dzień, mentalnie i fizycznie, skutków wybuchu bomby atomowej. Odbiorca jego sztuki odnosi wrażenie, jakby Turek namacalnie odbierał krążącą w atmosferze energię, przetwarzał ją i transponował na płótno, tak aby „wszystko ze sobą zagrało”.

Mające muzyczne konotacje określenie „grać” odnosi się zwłaszcza do płócien z kolejnego cyklu *Wibracje*, formalnie inspirowanego płytami winylowymi, których artysta jest prywatnie wielkim pasjonatem. Ich struktura natchnęła go do budowania kompozycji za pomocą pulsacyjnych, zapętlających się do wewnątrz kręgów koloru, nakładanych grubą warstwą farby wyciskanej na wcześniej namalowany widok (pejzaż, scenę rodzajową, wielobarwne tło z postaciami). Odczucie ruchu i przestrzenności potęguje także efekt multiplikowania postaci: tańczących, biegnących, spadających w abstrakcyjną otchłań intensywnie kolorowego tła. W jego przypadku ta współzależność jest wyjątkowo odczuwalna, także w osobistym traktowaniu koloru w obrazie. Zwłaszcza najnowsze *Rozmowy koloraturowe* ujawniają wielkie pokłady wrażliwości tego malarza na barwę, która jest emanacją jego nastrojów – raz subtelnie rozbielona i przełamana, to znów zawężona do dwóch, trzech tonów, dramatycznie skonstrastowanych. Artysta nie boi się eksperymentować także z fakturą swoich płócien.

Innym zabiegiem artysty jest fotografowanie poszczególnych etapów powstawania dzieła i porównywanie ich z finalnym efektem – zdaniem Piotra Turka obraz należy malować tak długo, aż nic więcej już nie będzie można z nim zrobić. Tak pojmowane malarstwo to prawdziwa gra wyobraźni oraz gestu malarskiego rozgrywana na płótnie za pomocą energii i ekspresji własnej autora, szczerze przyznającego, że nie wszystkim jego pomysłem udaje się przetrwać te malarskie eksperymenty, stąd częste przemalowania – „przepoczwarczenia” jego obrazów.

Nietrudno się domyślić, że z tak osobistą, opartą na silnych emocjach twórczością niełatwo jest się rozstawać – nawet wtedy, gdy pojawia się ktoś zainteresowany kupnem obrazu. Dlatego Piotr Turek cieszy się, kiedy nabywcy jego prac wracają po następne dzieła, to oznacza bowiem, że trafiły w tak zwane dobre ręce, do ludzi wrażliwych, przejmujących dobrą energię emanującą z tego malarstwa. Na czym więc polega jego komercyjny fenomen i społeczna akceptacja? W moim odczuciu na bezspornej autentyczności tej sztuki. Autor nie bawi się konwencjami dla czczego estetyzowania, nie eksperymentuje dla wywołania u odbiorcy szoku, nawet stosując efekty bliskie sztuce optycznej, dzięki którym *Wibracje* można oglądać w okularach 3D. Wszystkie stosowane przez niego malarskie zabiegi są jedynie środkami, najbardziej

adekwatnymi w danej sytuacji, do stworzenia kolejnej malarskiej opowieści, historii z życia wziętej lub życie komentującej, zawsze głęboko przemyślanej i przefiltrowanej przez wrażliwość artysty. To sztuka bardzo osobista, emocjonalna i w dużej mierze autotematyczna, a przy tym niosąca chyba uniwersalne prawdy o świecie, czasami gorzkie, czasami pozytywne. Artysta nie epatuje przy tym warsztatowymi sztuczkami czy agresywną formą – pomimo silnej ekspresji cały czas dąży do harmonii i estetycznego ład. Widz zaś intuicyjnie to odbiera i z wielką, także estetyczną przyjemnością zanurza się w wykreowany przez malarza świat surrealnych przestrzeni – być może nie zawsze dla niego czytelnych, ale po ludzku bliskich. Alicja Cichowicz określiła kiedyś tę głęboko egzystencjalną twórczość jako malowany esej o człowieku, doskonale podsumowując jej przesłanie. Z kolei cel swoich działań artysta określa krótko: złapać złotą chwilę w obrazie. To trudne zadanie, ale temu twórcy chyba się udaje.

Monika Nowakowska
historyczka i krytyczka sztuki

Piotr Turek, *Wibracje i rozmowy koloraturowe*, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi – Galeria Re:Medium, 19 czerwca – 25 lipca 2015 roku. Kuratorka wystawy: Małgorzata Dziągiewska.

90 lat Ryszarda Klimczaka

Tylko nasze przeżycia są autentyczne...

Wynikającą z życiowego doświadczenia sentencją, którą umieściłam w tytule, powitał mnie kilka dni po swoich 90. urodzinach Ryszard Klimczak, pisarz prozaik, poeta, dziennikarz. Łodzianin z urodzenia i z głębokiego wyboru. Jubilat mieszka na Bałutach, w starym bloku, w którym przeżył kilkadziesiąt lat z żoną Ludwiką i córkami. Mówi, że miał szczęście spotkać w życiu wielką miłość i wyjątkową partnerkę, z którą ożenił się jeszcze na studiach w 1948 roku. Oboje studiowali wtedy prawo. Żona została sędzią, ale on wybrał inną zawodową drogę. Niestety, w 2010 roku żona zmarła po 12 latach ciężkich zmaganiach z chorobą i Ryszard Klimczak musiał nauczyć się żyć od nowa. O żonie myśli z rozrzewnieniem, jest pewien, że nie pochwaliby jego zatopienia się w rozpacz. Zamienił więc smutek w wyciszenie, spokój i pracę.

Zaprowadził mnie do „pracowiska” – tak nazywa swój gabinet. Zaimponował swoimi autorskimi książkami, które zdobią spory regał, i niezwykle starannym i bogatym archiwum. Ale pisarz na brak materiałów nie może narzekać. Dostarczyło ich długie i niezwykle aktywne twórcze życie.

W jednym z albumów przykuły moją uwagę nazwiska przyjaciół pisarza. Prześledźmy dzieje tych przyjaźni, bo wzajemne relacje wiele mówią o ich losach i charakterach.

Przyjaźń trwała jak krzem

Księdza Włodzimierza Sedlaka Ryszard Klimczak poznał w 1940 roku w Sienniu. W tej małej miejscowości w Górach Świętokrzyskich znalazła schronienie wysiedlona z Łodzi rodzina Klimczaków. W domu panowała wojenna bieda i kilkunastoletni Ryszard poszedł do pracy w urzędzie gminnym. Nie zamierzał jednak zrezygnować z nauki, uczył się na tajnych kompletach z zakresu szkoły średniej prowadzonych przez ks. Włodzimierza Sedlaka. Nauczyciel w sutannie szybko zorientował się w zdolnościach nowego ucznia i zaproponował mu indywidualny tok nauczania, oparty w dużej mierze na samokształceniu. Umiejętnie podsuwał Ryszardowi lektury. Przerobili w ten sposób program z języka polskiego, niemieckiego, biologii, mineralogii, botaniki, zoologii, chemii i geografii. Nauczyciel i kapłan, tak odmienny od dotychczas znanych Ryszardowi, szybko stał się autorytetem i... przyjacielem. Ryszard Klimczak napisał pół wieku później:

Profesor nakazał zwracać się do Niego po imieniu. Mnie, siedemnastolatкови, On ksiądz, mężczyzna po trzydziestce, ofiarowuje przyjaźń. Byłem zaskoczony, ale czułem się wyróżniony, nobilitowany.[...] Intrygował mnie tryb Jego życia, ascetyczna postawa. Sam zresztą usiłowałem realizować postulat etyczny: *vince te ipsum*, wspierany metodyką kształtowania charakterów, wyniesioną z harcerstwa. Przeczytałem kilka książek na ten temat. Ćwiczyłem silną wolę¹.

Mijały lata. Ryszard Klimczak założył rodzinę, okrzepł w wyborach życiowych, postanawiając poświęcić się zawodowi dziennikarza. W 1948 roku związał się z prasą związkową i aż do 1980 był redaktorem naczelnym dwutygodnika „Nasze Życie”, wydawanego przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego. To dawało mu stabilizację. Jednocześnie cały czas pisał. Na półce z książkami przybywało tomików wierszy, fraszek i powieści pióra Ryszarda Klimczaka. W tym czasie przyjaciel z lat młodości ks. Włodzimierz Sedlak w wieku 35 lat rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Dodatkowo studiuje antropologię i pedagogikę. W 1960 roku Katolicki Uniwersytet Lubelski zatrudnia go na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej. Sedlak pnie się po szczeblach naukowej drabiny. Jego badania i publikacje burzą dotychczasowe pojęcia. Jest wybitnym badaczem interdyscyplinarnym. Prowadzi



badania w Łysogórach, mnóstwo publikuje. Rozprawa habilitacyjna pt. *Rola krzemu w ewolucji biochemicznej życia* w środowisku naukowym budzi uznanie, ale też liczne kontrowersje. Nie bez powodu podczas spotkania z przyjacielem uczonego pokazał mu obłubek krzemu i stwierdził z goryczą: „Rychu, oto zmetalizowane cierpienie”, a na dedykowanej Klimczakowi książce dopisał „Krzem jest trwały jak przyjaźń”. Prace naukowe sypią się jak z rękawa, Sedlak formułuje koncepcje bioelektroniki i bioplazmy, zostaje uznany za ojca polskiej bioelektroniki. Jego odkrycia i książki pobudzają do myślenia, wprowadzają do nauki tak potrzebny ferment. On sam nie uważa siebie za filozofa, ale za biologa-teoretyka. Nie przestaje być duchownym, pisze pionierską rozprawę – *Technologię Ewangelii*.

Za honoraria uzyskane z książek ks. Sedlak funduje statwę Madonny Świątokrzyskiej, którą w szczytowieckim piaskowcu wyrzeźbił Stefan Maj. Rzeźbę umieszczono przed klasztorem Ojców Oblatów na Świętym Krzyżu, miejscu tak bliskim obu przyjaciołom. Poruszony rzeźbą Ryszard Klimczak pisze *Madonnę Świątokrzyską*², wiersz dedykuje przyjacielowi. Towarzyszy profesorowi nieustannie. Jest obecny w Łodzi na kolaudacji filmów o elektronicznej teorii życia, czuwa nad zdrowiem przyjaciela, które załamuje się pod wpływem pracy ponad siły i życia w spartańskich warunkach.

Profesor do końca mieszkał w Radomiu, w fatalnych warunkach. Nie dbał o pożywienie, ubranie. Śmierć przyjaciela 17 lutego 1993 roku była dla Klimczaka wielkim osobistym ciosem. Powtarza, jak wiele profesorowi zawdzięcza. Poświęcił mu wspomnieniową książkę³ i jeśli tylko zdrowie pozwala, bierze udział w konferencjach i spotkaniach poświęconych uczoneму.

Przyjaźń w walce hartowana

Jerzego Niewiadomskiego, harcerza 20. ŁDH im. Zawiszy Czarnego, Klimczak poznał w Łodzi, tuż przed wybuchem wojny. To on wprowadził go do Związku Jaszczurczego. Organizacja działała w konspiracji i nawiązywała do tradycji Bractwa Jaszczurowego, powołanego w XIV wieku na Pomorzu do walki z Krzyżakami. W październiku 1939 roku Klimczak został zaprzysiężony i otrzymał przydział zadań w konspiracyjnej piątce. Chłopcy wydawali biuletyn pt. „Wiadomości Radiowe”, a następnie gazetkę „Pobudkę” (późniejszą „Pochodnię”). Zajmowali się również kolportażem prasy podziemnej wydawanej w Związku. W marcu 1940 roku nastąpiły pierwsze aresztowania kolegów, które dziesiątkowały pracę. Ryszard był już z rodziną na Kielecczyźnie, a Jerzy dotarł do Warszawy, gdzie został osobistym łącznikiem dowódcy Akcji Specjalnej. Kursował między Łodzią a Warszawą, przewoził meldunki, drukował z kolegami gazetkę „Na zachodnim szafcu”. Drukarnię umieszczono w kaplicy na cmentarzu na Dołach. Niestety, Gestapo szybko wpadło na ich ślad. Członkowie grupy Jan Mędrzak i Henryk Wojtkiewicz zostali aresztowani i po brutalnym śledztwie wysłani do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.



Jerzy Niewiadomski i tym razem uniknął aresztowania, gdyż od pewnego czasu przebywał w Warszawie. Z Ryszardem spotykali się albo w Kieleckiem, albo w stolicy. Mieli sobie wiele do przekazania, Klimczak był wtedy żołnierzem 168 plutonu Armii Krajowej, podległemu dowódcy Podobwołu AK „Dolina” (Iłża), a następnie walczył w oddziałach partyzanckich Ziemi Kieleckiej. W październiku 1943 roku Niewiadomski został aresztowany i wywieziony do Mauthausen.

Po wyzwoleniu obozu i powrocie do kraju na Niewiadomskiego czekało już kolejne więzienie. Tym razem Polski Ludowej. Razem z pięcioma kolegami został oskarżony o szpiegostwo i działanie na szkodę państwa. Na rozprawie w sierpniu 1946 roku (tzw. proces Konrada od obranego przez Jerzego Kozarzewskiego pseudonimu „Konrad”) zostali skazani na karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich na zawsze oraz przepadek mienia. Starania rodziny i przyjaciół o złagodzenie kary nie przynosiły rezultatów. Pomógł dopiero Julian Tuwim, do którego udała się zrozpaczona żona Kozarzewskiego. Tuwim osobiście zwrócił się do prezydenta Bieruta z prośbą o zastosowanie wobec skazanych prawa łaski. Powoływał się przy tym na poetycki talent Kozarzewskiego, a także na pomoc, jakiej udzieliła ta rodzina podczas okupacji jego matce Żydówce. Pomogło! Karę śmierci dla Kozarzewskiego i Niewiadomskiego zamieniono na 10 lat więzienia, pozostali skazani otrzymali po 15 lat.

Niewiadomski spędził w ciężkich więzieniach na Mokotowie w Warszawie i w więzieniu we Wronkach najpiękniejsze lata młodości. Na wolność wyszedł w 1955 roku Początkowo zamieszkał w Lublinie, w 1965 roku przeniósł się z rodziną do Łodzi. Od tej pory spotykali się z Klimczakiem i jego żoną co tydzień, odnowili też

kontakty z Janem Mędrzakiem. Wspólnie zapisywali karty działań konspiracyjnych. Ryszard Klimczak zaopiekował się archiwaliami przyjaciela, razem chodzili na różne spotkania organizowane przez środowisko Szarych Szeregów, razem dbali o pamięć o zmarłych harcerzach. Zatroszczyli się o to, aby na ścianie cmentarnej kaplicy na cmentarzu na Dołach umieścić w 1991 roku pamiątkową tablicę.

Dopiero w grudniu 1991 roku Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego z dnia 12 uznał wyrok z 1946 roku za nieważny. Niewiadomski uzyskał całkowitą rehabilitację. Zmarł 3 lipca 2008 roku i spoczął na Cmentarzu na Dołach, niedaleko wspomnianej tablicy pamięci. Ryszard Klimczak zadedykował przyjacielowi wiersz *Prawo niezbywalne*⁴, a wspominając, w jaki sposób Tuwim pomógł ocalić przyjacielowi życie, myśli o sile poezji, która czasami wpływa na ludzkie losy.

Przyjaźń nie tylko filozoficzna

W 1993 roku Ryszard Klimczak otrzymał list od Wiesława Chudoby, pracownika naukowego Politechniki Świętokrzyskiej w Radomiu. Wykładowca filozofii matematyki opracowywał bibliografię prac Leszka Kołakowskiego. Dowiedział się, że latach 1945–1947 profesor publikował na łamach dwutygodnika „Życie” i że było to pismo działającego w Łodzi Akademickiego Związku Walki Młodych. Poszukiwania numerów „Życia” doprowadziły autora do Ryszarda Klimczaka, który był w ich posiadaniu. Obaj panowie serdecznie się zaprzyjaźnili.

Ryszard Klimczak poznał Leszka Kołakowskiego po wojnie w Łodzi. Obydwaj rozpoczęli studia na nowo otwartym Uniwersytecie, obydwaj należeli do Akademickiego Związku Walki Młodych i publikowali na łamach „Życia”. Po koszmarze wojny rzucili się w wir poszukiwań sensu życia i problemów typowych dla przedwcześnie dojrzałych podczas wojny studentów. Rozdzielił ich wyjazd Kołakowskiego do Warszawy, a w 1968 roku przymusowa emigracja filozofa z Polski. Nastąpiła wymuszona politycznie era milczenia.

W odrodzonej Polsce dzięki Wiesławowi Chudobie odżyła korespondencja między przyjaciółmi z lat studenckich; do Oxfordu, gdzie osiadł Kołakowski, dotarły przesyłki z książkami Ryszarda.

W 1996 roku Klimczak otrzymał zaproszenie do Teatru Powszechnego w Radomiu na prapremierę sztuki Wiesława Chudoby opartej o teksty *13 Bajek z królestwa Lailoni* Kołakowskiego. Spektakl grano w ramach Turnieju Słowa pod tytułem *Polska – Świat*. Honorowym przewodniczącym Turnieju uczyniono profesora Leszka Kołakowskiego. Dla obu przyjaciół oznaczało to wzruszające spotkanie po blisko 50-letniej przerwie.

A potem były spacerzy i długie rozmowy w pięknym parku w Orońsku, gdzie ich zakwaterowano. Rozmowy o filozofii, sztuce, rzeźbach, które zdobią oroński park, o literaturze i wspólnych kolegach, którzy odeszli. Krótkie spotkanie umocniło ich w przeświadczeniu, że nadal doskonale się rozumieją. Przyrzekli, że będą

się znowu spotykać. Jednak śmierć filozofa 17 lipca 2009 roku rozbiła te plany. Dziś Ryszard Klimczak myśli o ostatnim darowanym mu przez los spotkaniu z Leszkiem w Orońsku, wraca do wspomnień i przeżyć, jakże cennych, bo autentycznych. I wraca do swojego „pracowiska”.

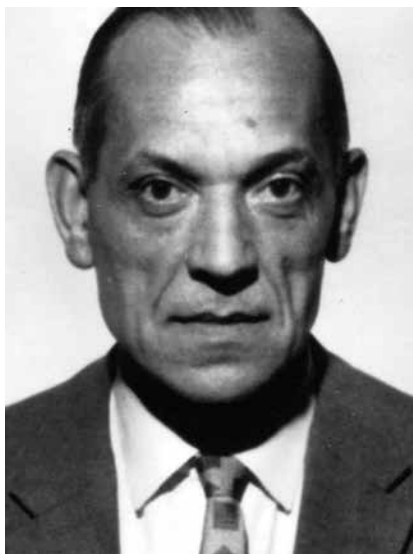
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Przypisy:

1. R. Klimczak, *Ecce homo electronics: wspomnienia ucznia i przyjaciela*, Wyd. Astra, Łódź 2011.
2. „Madonna Świętokrzyska” zdobyła I nagrodę w V Ogólnopolskim Literackim Konkursie im. Leopolda Staffa w 2002 roku.
3. Ryszard Klimczak, *Ecce homo...*, dz. cyt.
4. R. Klimczak, *Łot po krzywiźnie czasoprzestrzeni: wiersze i poematy 1940–1994*, Łódź 1995.

Łodzianie wielcy a zapomniani

Kazimierz Sowiński



Jesienią 2011 roku podczas wieczoru autorskiego nieżyjącego już łódzkiego poety i dziennikarza Witolda Kowalskiego padło pytanie, kogo uważa on za największego łódzkiego poetę. Odpowiedział w sposób zaskakujący: „Państwo pewnie traktują to pytanie jako retoryczne, spodziewając się, że odpowiem – Julian Tuwim. Otóż nie, proszę państwa. Julian Tuwim miał tyle wspólnego z Łodzią, że się w niej urodził. Największym poetą łódzkim był Kazimierz Sowiński”.

Zaskoczył tą odpowiedzią wszystkich obecnych, także mnie, choć nie było mi obce to nazwisko. Kiedy w latach 1964–65 zacząłem słuchać Radia Wolna Europa, natknąłem się na nie. Kazimierz Sowiński zatrudniony był tam w dziale produkcji

radiowej. Współpracował też z audycjami literackimi – nadawanym między rokiem 1960 a 1971 „Kącikiem literackim” oraz „Kącikiem poetyckim”. Do tej pory pamiętam głosy redaktorów tej rozgłośni: Jadwigi Mieczkowskiej, Wiktora Trościanki, Lucjana Perzanowskiego, Wacława Zbyszewskiego i bardzo spokojny ciepły głos Kazimierza Sowińskiego. Znałem go więc jako dziennikarza, wybitnego znawcę twórczości Norwida. Wiele także słyszałem o nim z innego źródła – jako o stryju mojej żony Alicji, zmarłej w 2012 roku. Nie zdawałem sobie jednak sprawy z tego, że był on tak wybitnym literatem, którego kolega po piórze nazwie największym poetą łódzkim. Witold Kowalski poświęcił zresztą postaci Kazimierza Sowińskiego esej pod tytułem *Przez burzę do Polski*. Książka ukazała się wprawdzie w niewielkim nakładzie, ale jeden jej egzemplarz znajduje się w zbiorach Biblioteki im. J. Piłsudskiego w Łodzi. To chyba najważniejsza pozycja książkowa poświęcona Sowińskiemu, jaka ukazała się w kraju.

Łodzianin

Kazimierz Sowiński urodził się 30 października 1907 roku na Starym Mieście w Łodzi w rodzinie Anny (rocznik 1866) i Józefa (rocznik 1861) Sowińskich. Józef pracował jako robotnik w fabryce Poznańskiego. Był zdeklasowanym szlachcicem wywodzącym się z rodziny generała Józefa Longina Sowińskiego, sławnego obrońcy Woli w czasie Powstania Listopadowego. Sowińscy mieli pięciu synów: Józefa, Kazimierza, Stefana, Wacława i Stanisława, a także dwie córki: Helenę, która po wyjściu za mąż nosiła nazwisko Komisarzka, oraz Marię, która zmarła jako panna. Józef był inżynierem, Wacław oficerem Korpusu Ochrony Pogranicza, Kazimierz literatem, córki ukończyły maturę.



kultura

W wieku czternastu lat, Kazimierz wstąpił do Miejskiego Gimnazjum Męskiego w Łodzi przy ulicy Sienkiewicza. Szkoła ta może uchodzić za swoisty przedsiwonek pisarzy. Uczęszczali do niej przecież Julian Tuwim, Maciej Józef Kononowicz, Grzegorz Timofiejew, Tadeusz Gicgier. Kazimierz już w gimnazjum współredagował wychodzący w szkole Almanach Literacki. Maturę zdał w roku 1928 i rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim, które ukończył w roku 1933. W tym samym roku zmarła jego matka Anna. Jako poeta debiutował w „Głosie Porannym”, potem publikował swoje wiersze w miesięczniku literackim „Meteor”, wydawanym z inicjatywy grupy literackiej o tej samej nazwie, której był współzałożycielem. Oprócz Sowińskiego grupę tę początkowo tworzyli: Grzegorz Timofiejew i Marian Piechala, a w roku 1928 dołączyli do niej Władysław Bieńkowski, Włodzimierz Słobodnik, Roman Kołomecki, Światopełk Karpiński, Stefan Flukowski, Rafał Len, Jan Ostaszewski i Tadeusz Horzelski. Z ich inicjatywy powstała seria wydawnicza pod nazwą Biblioteka Meteora, w ramach której ukazały się trzy tomiki poetyckie: Piechala – *Krzyk z miasta* (1929), Sowińskiego – *Gwiazdy na strychu* (1930) i Timofiejewa *Nie ma mnie w domu* (1930).

Grupa przyjęła za swoje credo „konstruktywny metaforyzm”. Warto może tu przytoczyć krótki manifest grupy Meteor, który wyszedł spod pióra Sowińskiego, studenta filozofii: „Słowo jest pierwszym, a zarazem ostatnim i jedynym środkiem zdolnym ogarnąć, a potem przekształcić w nowy obraz nieograniczoną rzeczywistość. Dlatego za istotny pierwiastek wszelkiej poezji uznajemy słowo obrazowe, syntetyczną tych obrazów budowę i zorganizowaną ich konstrukcję”.

Pismo „Meteor” było efemerydą i ukazało się tylko trzykrotnie. Jego kontynuacją były powstałe w 1931 roku „Prądy”. Redakcja w swym artykule wstępnym deklarowała chęć prezentowania wszystkiego, co powstaje na niwie literackiej w Łodzi, a także szerszych spraw miasta.

W latach 1937–1938 Kazimierz Sowiński był członkiem kolegium redakcyjnego tygodnika „Pion”, założonego przez Adama Skwarczyńskiego, czołowego ideologa obozu piłsudczykowskiego. Współpracował również z Wilamem Horzycą, wielkim animatorem teatru, a także ówczesnym posłem BBWR, zamieszczając swoje opowiadania w wydawanym przez niego piśmie „Droga”. Dzięki tej współpracy poznał Leona Schillera.

W swoim pierwszym tomie poezji *Gwiazdy na strychu* Sowiński wiele utworów poświęca cierpieniu i doli robotników łódzkich, pracujących w nieludzkich warunkach, bez widocznych nadziei na zmianę położenia. W heroizmie ich losu widzi chrześcijańską drogę odkupienia. Chrystus, do którego się zwraca słowami: „i w czas gryzącej śnieżycy staniesz Ty wśród ulic, by swoje zziębłe dzieci do serca przytulić”, jawi się poecie jako opiekun ludzi skrzywdzonych.



W Skierniewicach, gdzie po studiach odbywa staż wojskowy w 18 Pułku Piechoty, poznaje poetę Tadeusza Sułkowskiego, który zostanie jego serdecznym przyjacielem, aż do śmierci w Londynie w roku 1960. Z Sułkowskim spotka się też później na studiach polonistycznych, które podjął niezależnie od ukończonej wcześniej filozofii. Studiując polonistykę, prowadzi badania naukowe dotyczące gwary wiejskiej.

Żołnierz i pisarz

Zmobilizowany w czasie wojny do swojego macierzystego pułku, walczy na Wschodzie, a przełom września i października 1939 roku zastaje go w niewoli sowieckiej, skąd udaje mu się uciec i wrócić do Łodzi. Tu wstępuje do Obozu Polski Walczącej i redaguje pismo „Młodzież Walcząca”. W roku 1942 zostaje w Łodzi aresztowany i zesłany do obozu pracy w Austrii. Z obozu ucieka i przedostaje się do Warszawy. Działa w konspiracji, potem walczy w Powstaniu Warszawskim w randze podporucznika. W swoim eseju Kowalski wymienia go jako oficera batalionu Szarych Szeregów „Miotła”. Zostaje ciężko ranny, a po upadku Powstania jako oficer WP zostaje osadzony w oflagu w Lubece.

Po wyzwoleniu przez wojska alianckie udaje się do Włoch. W szpitalu w Ankonie odnajduje swego przyjaciela Tadeusza Sułkowskiego, który ranny w bitwie nad Bzurą i wzięty do niewoli spędził sześć lat wojny w niemieckim oflagu. Sowiński we Włoszech wstępuje do korpusu generała Andersa. W latach 1945–1946 mieszka w Rzymie. Tam wiąże się z piśmem literackim „Kronika”, współpracuje także z „Orłem Białym” i „Łączniczką”.

W roku 1946 bierze udział w wieczorze literackim dla żołnierzy. Po tej uroczystości zostaje powołana Sekcja Rzymska PEN-Clubu, której liderem zostaje Herminia Naglerowa. Sekcja zrzesza pisarzy od dawna związanych z korpusem Andersa. Wśród nich są: Gustaw Herling-Grudziński, Jan Olechowski, Melchior Wańkowicz oraz przybyli później Gustaw Morcinek i Tadeusz Sułkowski. W listopadzie 1946 roku Kazimierz Sowiński przenosi się z Rzymu do Brukseli, ponieważ wszystkie pisma Korpusu zostają zlikwidowane, a jedynie redakcja „Orła Białego” miała odtąd ukazywać się w stolicy Belgii.

Radio Wolna Europa

Zachodnia Europa właśnie się normalizuje. Jest przecież już ponad pół roku po niesławnej Paradzie Zwycięstwa w Londynie, na którą nie zaproszono Wojska Polskiego, mimo iż było najwierniejszym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, niosąc ciężar walki od początku do końca. Jest też po skandalu związanym z inauguracją Organizacji Narodów Zjednoczonych, kiedy to tylko otwierający tę uroczystość polski pianista Artur Rubinstein przypominał wielkim tego świata o istnieniu państwa o nazwie Polska. Wątpliwa normalizacja polega na uznaniu przez Zachód marionetkowego rządu Edwarda Osóbki-Morawskiego i Stanisława Mikołajczyka w Warszawie. Było już po sfałszowanym referendum „3 x Tak”. Dlatego emigracja polska staje się wtedy dla Zachodu kłopotliwym

balastem. Część komunizujących zachodnich elit intelektualnych, oddziałujących na społeczeństwa Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch, sprzyja sowieckiej racji stanu. W tym świecie polskim intelektualistom coraz trudniej znaleźć miejsce dla siebie.

Z Brukseli Kazimierz Sowiński przynosi się, podobnie jak inni polscy pisarze, do Londynu. Często odwiedza tam polski Dom Pisarza, gdzie mieszkają wtedy między innymi Tadeusz Zajączkowski i Gustaw Herling-Grudziński. W roku 1952 wyjeżdża do Monachium, gdzie aż do roku 1972 pracuje w Rozgłośni Radia Wolna Europa. W Londynie bywa jednak często, jest bowiem wybrany przez członków Związku Pisarzy Polskich na Wychodźstwie sekretarzem Związku, a w latach 1974–1975 prezesem.

Sowiński prowadzi na emigracji tułaczy żywot, krążąc między Londynem, Brukselą, Monachium i Salzburgiem. W Salzburgu mieszka bowiem pianistka Izabella Sosnowska, jego przyjaciółka. W mieście Mozarta nazywają ją „Perłą Salzburga”, jest popularna, znana przyjaźni się z wieloma polskimi artystami emigracyjnymi, między innymi z Arturem Rubinsteinem, Andrzejem Panufnikiem, Romanem Palestrem.

Kazimierz Sowiński intensywnie pracuje. Niezależnie od redakcji programów literackich w Radiu Wolna Europa wydaje zbiory poezji: *Monogramy*, *Ojczyzna za horyzontem*, *Z Krańca na Kraniec*. Pisze też dramat *Dzień Dominika*, nagrodzony w roku 1955. Wydaje dwie prace o Cyprianie Kamilu Norwidzie, którego był wielkim znawcą i admiratorem. Po śmierci w 1960 roku Tadeusza Sułkowskiego pisze wspomnienia o przyjacielu, zawarte w książce *Uparty prowincjusz*. Książka ta wydana została już po śmierci autora, staraniem Izabelli Sosnowskiej.



W PRL bliscy krewni poety utrzymują z nim kontakt w ścisłej tajemnicy. Łącznikiem rodzinnym jest jego siostrzenica, nieżyjąca już Krystyna Komisarska-Borkowska. Kazimierz Sowiński pisuje listy do kraju, podpisując się nazwiskiem Andrzej Wąsowski (nazwiska tego używał również w konspiracji), a pierwszy kontakt z członkiem rodziny ma miejsce w Brukseli 5 marca 1968 roku, kiedy Krystyna Komisarska przybyła tam jako turystka.

W kraju trwa zmowa milczenia na temat twórczości poety. Marian Piechal, dawny kolega ze szkolnej ławy i z Meteora, w swoim wierszu *Przygoda w świetlicy fabrycznej*, by zasłużyć się swoim partyjnym mocodawcom strofuje Sowińskiego:

Więc myślę sobie oto ludzie
dla których warto tworzyć w trudzie
i ty ich słowem pustym nie jątrzą.

Kazimierz Sowiński zmilczy tę prostą zaczepkę reżymowego agitatora i nie odetnie się żadnym polemicznym wierszem Piechalowi. Nie byłoby to w jego stylu, bo – jak scharakteryzował go inny pisarz emigracyjny Jan Biełatowicz – „był Sowiński nieustępliwym wyznawcą wysmakowanej sztuki, poezji intelektualnej”. Skromny i pokorny w stosunku do własnej twórczości, nazywa siebie dziennikarzem i organizatorem cudzych poczynań artystycznych. Bardzo ważną pozycją w dorobku Sowińskiego jest jego dramat *Dzień Dominika*, którego premiera odbyła się w sierpniu 1955 na scenie Londyńskiego Warsztatu Teatralnego. Za ten dramat otrzymuje przyznawaną na emigracji Nagrodę Literacką imienia Armii Krajowej.

Tęsknota za Polską, tęsknota za Łodzią

W roku 1977 wydaje tom poezji *Ojczyzna za horyzontem*, a w 1979 roku kolejny, zatytułowany *Z krańca na kraniec*. Zbiór *Ojczyzna za horyzontem* jest najpiękniejszym i najbardziej dojrzałym poetyckim dziełem Kazimierza Sowińskiego, niestety nie znanym szeroko na emigracji i zupełnie nieznanym w Kraju. Najbardziej wymownym utworem tomu jest czteroczęściowy poemat *Strofy patetyczne*, będący formą modlitwy o uwolnienie ojczyzny poety od obcej władzy. Oto niewielki fragment:

niech z ramion naszych wyrośnie
mocny pod niebo las.
Nasyć powietrzem wolności
Zagony pszenne i obłoki.
Otul skrzydłem radości
uśmiech pacholąt
i dziewcząt poranną śpiewkę
– nad tą ziemią nieuległą

... gdy pękną na Wiśle lody
 gdy odpłyną kute żelazem szeregi
 niech się majem umai
 hoża Dziewanna.

We wspomnianym wcześniej eseju Witold Kowalski dokonał analizy tego fragmentu. Pisze on: „Wspaniała jest tu także metaforyka. Przecież »pękające lody« to wiara niezłomna, że Polska odzyska niepodległość, a sowieckie czołgi, czyli »kute żelazem szeregi« zostaną zmuszone do uciezki. Pisana z dużej litery Dziewanna to najpiękniejsza apoteoza Matki Bożej, jaką zdarzyło mi się znaleźć w poezji polskiej. Nadanie tego miana przez poetę Bożej Rodzicielce łączy w sobie uwielbienie konfesyjne wyznawcy, wysoki kunszt poetycki i słowiańskie poczucie piękna tego kwiecistego zioła”.

W twórczości poety nie zabrakło także pamięci o Łodzi – mieście dzieciństwa i młodości, za którym tęskni. W wierszu *Zostałaś tu* niewidziane od kilkudziesięciu lat miasto jawi się takie, jakie było w latach 20. i 30. Jest obraz Starówki, nieschowanej jeszcze pod ziemią rzeki Łódki i domu przy ulicy Podrzecznej, w którym autor mieszkał. Tego domu już dziś nie ma. Miał numer 22, a dziś ostatni parzysty numer tej ulicy to 14. Przywołuje też w tym wierszu Sowiński inne drogie mu miejsca: kościoły Najświętszej Marii Panny na Zgierskiej i Świętego Józefa na Ogrodowej, synagogę w stylu mauretańskim na Wolborskiej, spaloną już w listopadzie 1939 roku, i pobliski rynek zwany Targiem Śledzia.

Ostatnie lata

W roku 1972 poeta kończy pracę w monachijskiej Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i przechodzi na emeryturę. W tym samym roku otrzymuje Nagrodę Literacką Związku Pisarzy na Obczyźnie za całokształt twórczości. Dużo pisze i publikuje. Tymczasem w Polsce w roku 1981 na fali odwilży związanej z karnawalem „Solidarności” paszport otrzymuje bratanica poety Alicja Sowińska-Szlanta. Cieszy się, że będzie mogła zobaczyć niewidzianego nigdy stryja. Niestety, „nieznani sprawcy” kradną jej paszport i do spotkania nie dochodzi. Nietrudno zgadnąć, że nie był to przypadek, ale swoista „korekta” wcześniejszej decyzji o przyznaniu paszportu.

Ostatnie kilka lat życia poety to samotność i zmagania z chorobami: odnawiającymi się kontuzjami wojennymi, reumatyzmem, wreszcie z udarem mózgu, po którym traci prawie całkowicie możliwość pisania. Ostatnie jego wiersze pisane niewyraźnym, zniekształconym paraliżem ręki pismem (*Prośba, Modlitwa*) są błaganiami Stwórcy o miłosierdzie i wolność dla zniewolonej ojczyzny. Leżąc szpitalu Mabledon w sierpniu 1982 roku, pisze list do siostrzenicy Krystyny Borkowskiej, w którym oświadcza, że jest już „na swoim ostatnim etapie”. Umiera 8 września 1982 w Londynie. Pogrzeb organizuje Polonia i Krystyna Borkowska. Zostaje pochowany na cmentarzu Putney Vale Cemetery w pięknej i zielonej części stolicy Zjednoczonego

Królestwa. Natomiast symboliczna tablica nagrobna poety znajduje się przy grobie rodzinnym na Starym Cmentarzu pw. św. Józefa w Łodzi przy ul. Ogrodowej.

Dzięki staraniom przyjaciółki poety Izabelli Sosnowskiej i pomocy Towarzystwa Austriacko-Polskiego 11 maja 1993 roku odbył się w Salzburgu w Domu Literatury wieczór artystyczny *In memoriam Kazimierz Sowiński*. Wiersze Kazimierza Sowińskiego czytał po polsku Jerzy Milewski, aktor tamtejszego teatru. Tłumacz Alois Woldan z Instytutu Sławistyki miejscowego uniwersytetu czytał własne przekłady utworów poety, a pieśni Romana Palestra i Andrzeja Panufnika do wierszy Kazimierza Sowińskiego śpiewała Małgorzata Nosal z akompaniamentem fortepianowym Haliny Kochan.

Izabella Sosnowska przeżyła swego przyjaciela o 26 lat. Zmarła w Salzburgu w roku 2008.

Piszę ten artykuł w przededniu Dnia Żołnierzy Wyklętych i Niezłomnych. Narzucają mi się w tym miejscu pewne analogie pomiędzy tymi żołnierzami a niezłomnymi polskimi pisarzami, wiernymi do końca II Rzeczypospolitej. Inny poeta emigracyjny Marian Hemar w wierszu *Trzy prawdy* wyznał czemu nigdy nie wróci do Polski zniewolonej i pozostanie wierny testamentowi II Rzeczypospolitej. Nie wiem, ile powodów miał Kazimierz Sowiński by być wiernym temu testamentowi. Wiem natomiast, że zawsze tej idei służył, tak piórem, jak i własną żołnierską krwią.

Marek Andrzej Gwoździński

Zdjęcia z archiwum M. Gwoździńskiego

70 lat Teatru Muzycznego w Łodzi

Jubileusz sceny przy Północnej

Teatr Muzyczny w Łodzi obchodzi jubileusz 70-lecia, ale kontynuuje też tradycje Polskiego Towarzystwa Muzycznego „Lutnia” w Wilnie, którego artyści w 1945 roku musieli opuścić swoje miasto. Kiedy znaleźli się w Łodzi, założyli tu operetkę, więc tym samym historia teatru sięga 110 lat. Zespołem kierował wówczas Władysław Szczawiński, a pierwszą siedzibą teatru był wtedy należący do Kościoła Baptistów budynek przy Nawrot 27. Bezdomni aktorzy natomiast znaleźli schronienie w Hotelu Artystów przy ulicy Piotrkowskiej 26, który zaoferował im prawdziwie spartańskie warunki.

Sezon w Łodzi zainaugurowano 3 listopada 1945 roku premierą komedii muzycznej pt. *Podwójna Buchalteria* A. Grunna. Niedługo potem teatr zmienił siedzibę i przeniósł się do gmachu przy Piotrkowskiej 243, któremu nadano przywiezioną z Wilna nazwę „Lutnia”. Rok później wystawiono *Maricę* E. Kalmana. Ze względów ideologicznych na afiszach pozbawiono *Maricę* hrabiowskiego tytułu, jednak znawcy





operetki doskonale wiedzieli, że chodzi o *Hrabinę Maricę*. Teatr zawdzięczał ogromnie wiele Władysławowi Szczawińskiemu, który mimo zaawansowanego wieku nie szczędził energii i sił dla dobra sceny. W 1951 roku teatr uzyskał status Państwowej Operetki Łódzkiej.

W „Lutni” teatr funkcjonował do 1964 roku, kiedy to przeniósł się do obecnego budynku przy ulicy Północnej; od tamtej pory nosi nazwę Teatr Muzyczny. Na tej scenie występowało wielu wspaniałych artystów, wśród nich: Jadwiga Kenda, Krystyna Nyc-Wronko, Wanda Bojarska, Danuta Łopatówna, Hanna Dobrowolska, Michał Ślaski, Bolesław Horski, Edward Kamiński, Lesław Waclawik i wielu, wielu innych.

Od 2006 roku kierownictwo artystyczne teatru spoczywa w rękach znanego śpiewaka Zbigniewa Maciasa, a od 2010 roku dyrektorem naczelnym jest Grażyna Posmykiewicz. Za jej kadencji został przeprowadzony generalny remont budynku i od 2011 roku Teatr Muzyczny cieszy widzów zmienionym repertuarem i eksperymentuje z nowymi formami i gatunkami. Sezon jubileuszowy 2015/2016 otworzą dwa koncerty w dniach 26 i 27 września 2015 roku. Gali towarzyszyć będą wystawy, m.in. wystawa plakatów Ryszarda Kai.

Największym wydarzeniem nowego sezonu grudniowa polska prapremiera *Cyrano* E. Rostanda według libretta Jacka Bończyka, który podjął się również reżyserii spektaklu. Muzykę napisał Krzysztof Herdzin, w którego rękach spoczywa też kierownictwo muzyczne. Choreografię opracuje Inga Pilichowska, scenografię – Grzegorz Policiński, a kostiumy Anna Chadaj.

W czerwcu 2016 roku na scenie teatru zobaczymy premierę *Wielkiej Księżnej Gerolstein* J. Offenbacha. Jako reżyser zadebiutuje w tym gatunku Piotr Bikont, a kierownictwa muzycznego podjęła się Elżbieta Tomala-Nocuń.

Zgodnie z przyjętą ideą szerokiego otwarcia Teatr Muzyczny przywiązuje duże znaczenie do edukacji skierowanej do widzów w różnym wieku i o różnych potrzebach. Najmłodszy mogą poznawać teatr od kulis, brać udział w grach i zabawach odbywających się pod hasłem „Muzyczny z bliska”. Młodzież licealna i studencka ma okazję uczestniczyć w cyklu warsztatów pod hasłem „Niezła scena”, pracować nad emisją głosu i ruchem scenicznym. Dorośli w 2016 roku na cyklicznych „Spotkaniach z operetką” poznają historię operetki i musicalu.

Teatr pomaga środowisku akademickiemu i udostępnia także swoją scenę dla spektakli studenckich. W listopadzie 2015 roku będziemy oglądać przedstawienie dyplomowe studentów Akademii Muzycznej, którzy przygotowali *Wesołą wdówkę* F. Lehara.

W planach repertuarowych teatru znajdują się już pozycje na 2017 rok. W marcu zostaną wystawieni *Nędznicy*, a we wrześniu *Statek komediantów*. W czerwcu 2018 roku Muzyczny planuje wystawić *Mary Poppins*, a w czerwcu 2019 roku *Barona Cygańskiego*.

Z okazji jubileuszu redakcja „Kroniki miasta Łodzi” życzy Teatrowi Muzycznemu wielu udanych premier i ciekawych pomysłów, a artystom satysfakcji z twórczej pracy oraz radości, jaką daje obcowanie z muzyką, śpiewem i tańcem.

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Zdjęcia dzięki uprzejmości Teatru Muzycznego w Łodzi

historia

Powstała monografia Uniwersytetu Łódzkiego

Bliżej wolności, bliżej prawdy

Józef Śreniowski

str. 91

Trudna droga do demokracji

Łódzkie struktury NSZZ „Solidarność” 1984–1990

Michał Raduszewski

str. 101

Łódzkim szlakiem komunistycznych czystek

Ofiary i beneficjenci terroru

Małgorzata Bartyzel

str. 116

Przypominamy Gustawa Horaka

Muzyk, przedsiębiorca, społecznik

Aneta Stawiszyńska

str. 125

Łodzianie w Świętokrzyskich Zgrupowaniach Partyzanckich AK

Związki nie tylko symboliczne

Tadeusz Barański

str. 134

Powstała monografia Uniwersytetu Łódzkiego

Bliżej wolności, bliżej prawdy

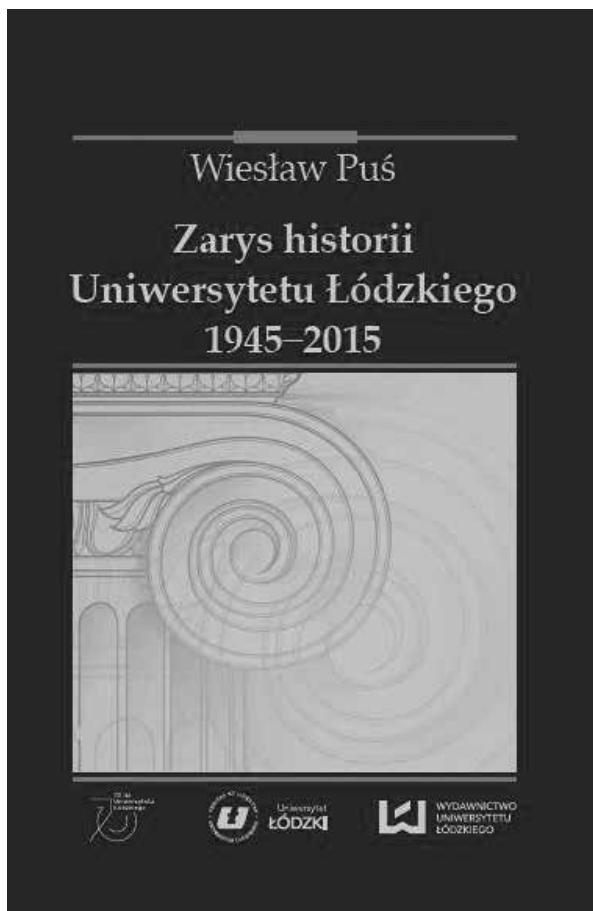
historia

70-lecie istnienia Uniwersytetu Łódzkiego uhonorowane zostało wieloma uroczystościami oraz książką prof. dr Wiesława Puśa rysującą dzieje uczelni. Takiego opisu UŁ dotąd nie miał, występowały jedynie drukiem czy w maszynopisach kroniki etapów istnienia uczelni czy poszczególnych katedr, wydziałów, postaci. Wiesław Puś pierwszy podjął w swym *Zarysie historii Uniwersytetu Łódzkiego* ambitną próbę zsyntetyzowania historii UŁ od zarania po rok 2015.

Poczet rektorów

Wiesław Puś wybrał tradycyjną metodę opisu dziejów uczelni i poza pierwszym okresem – kiedy nie zostało przesądzone ostatecznie, czy państwowa uczelnia wyższa w Łodzi powstanie – przedstawia jej historię trochę jak poczet królów polskich, dokonując periodyzacji wedle kadencji kolejnych rektorów. Wydaje się, że dla tego syntetycznego zarysu jest to szczęśliwy wybór, kadencje te bowiem przez wiele lat nie pozostawały bez związku ze zmiennymi koniunkturami polityki wczesnej Polski Ludowej, potem PRL, a wreszcie – III RP. Niezależnie od tego, czy rektora powoływał minister, czy senatowi uczelni pozostawiono swobodę wyboru. Periodyzacja według panowania rektorów pozwala wyraźniej wydobyć, czym się określone kadencje charakteryzowały w dziejach Uniwersytetu. Mniej ostro rysują się natomiast w takiej optyce ogólne zjawiska życia w kraju, w Łodzi, w poszczególnych środowiskach oraz duch, jakim owiana bywała uczelnia. Rzec można – autor wybrał swoją uczelnię za przedmiot opisu i celowo wyizolował ją nieco od tła społecznego, w jakim funkcjonowała przez 70 lat. Przydał natomiast w swej pracy Uniwersytetowi Łódzkiemu walorów jedności i niepodzielności, jakby to było udzielne księstwo pod kolejnym rektorskim panowaniem, a nie zdecentralizowana instytucja, ba – może wręcz szereg udzielnych dziś księstw powiązanych wspólną administracją i budżetem.

Syntetycznie rzecz przedstawić to niejednoznacznie rozstrzygnąć, co i jak opisać. Dziś uczelnia liczy bowiem na dwunastu wydziałach 18 instytutów i ponad 200 katedr i samodzielnych placówek naukowych.



Początki trudne i dziwne

Z lektury archiwaliów partyjnych, które znam, dzieje UŁ rozpadają się na okres od zarańca do 1967 roku, poprzez swoiste *Intermezzo* lat 1968–1970 oraz całe dalsze dzieje w epoce gierkowskiej i latach 80. Ale jest to sieć obserwacyjna panującej do 1989 partii politycznej, która w UŁ nierówno i nie wyłącznie reprezentowana była w decyzjach i postawach kadr uczelni i jej słuchaczy. Wybór innej podstawy źródłowej, na jakiej rzecz oparł autor, znacznie lepiej oświetla dzieje UŁ.

Jedną z osi pracy, aczkolwiek niewyróżnioną przez prof. Pusia, są długie zmagania o ideowe bądź naukowe, samodzielne i autonomiczne lub dyrygowane z zewnątrz decyzje co do kadr, ośrodków i komórek badawczych oraz składu i wolumenu kształcących się w UŁ studentów. Oraz roli, jaką ta państwowa uczelnia ma pełnić, i zadań, jakim winna służyć. Rację trzeba przyznać autorowi, gdy akcentuje, że pozycja i pole wyboru uczelni z długimi tradycjami, jak UJ, UW czy UAM, było istotnie różne

od sytuacji nowych państwowych uczelni wyższych powołanych dekretem nowego ustroju od 1945 roku aż do końcowych dziesięcioleci PRL. Ale też – zdaniem Wiesława Pusia – charakter ośrodka miejskiego, w jakim te uczelnie rozpoczynały istnienie, odciskał się na ich dziejach.

Po pierwszych latach rektorowania UŁ przez prof. Tadeusza Kotarbińskiego (1945–1949) nadeszły czasy rektora Józefa Chałasińskiego (1949–1952), który próbował akcentować dumę robotniczego miasta z UŁ i otwartych namacalnie dróg awansu dla młodzieży proletariackiej. Władze PZPR odbierały to jednak z dystansem i niepokojem, zwłaszcza że UŁ kierowany przez prof. Chałasińskiego to dokładnie pierwsze lata Planu 6-letniego, zaostrzającej się propagandowo tzw. „walki klasowej” i gwałtownej stalinizacji życia kraju, ideologizacji studiów, upodabniania ich do produkcji. W UŁ w owym czasie stale zwoływane są narady produkcyjne, wzmagane socjalistyczne współzawodnictwo i ZNS, czyli kolektywne formy nauki. Rzec można, że bezpartyjny rektor Chałasiński nie miał szans obrony uniwersytetu i jego powagi w tej kampanii ideowej. Zdołał jedynie, likwidując szereg kierunków, obronić inne albo przekształcić zakłady i katedry uniwersyteckie w postać przetrwalnikową, w jakiej te zespoły dotrwały do październikowego przełomu 1956 roku. Wszystko to ukazuje w zarysie prof. Puś, nie przeprowadzając jednak sumarycznej oceny burzliwych kadencji rektorskich, dotąd przecież niebadanych systematycznie przez dziejopisów łódzkiej uczelni.

W interesującym rozdziale o życiu społecznym uczelni autor rysuje początki działania partii i innych organizacji, choćby Bratniej Pomocy czy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Czytelnicy otrzymali tu pewien zrąb wiadomości, daleko jednak od skompletowania wiedzy na ten temat z racji płynności struktur i kadr akademickiej organizacji PPR, a potem PZPR. Podobnie, jeśli odniesiemy tę wiedzę do ZWM (AZWM „Życie”), ZNMS, OM TUR i innych inicjatyw. Nominalni sekretarze lub przewodniczący tych organizacji w uczelni albo w środowisku akademickim jako całości zmieniają się w owych latach często z tygodnia na tydzień. I chociaż I sekretarzem komitetu partyjnego w UŁ wybrano Adama Leśniewskiego, to zastępuje go faktycznie, chociaż bez mandatu, student prawa Jan Olejnik, bo wybrany sekretarz prawie całą kadencję spędza w sanatorium. Do funkcji I sekretarza nie garną się pracownicy naukowcy, pełnią je natomiast, poza wymienionym w książce Zbigniewem Salwą, zaktywizowani studenci: Czesław Maśliński (medyk), Krystyna Leśniewska, Bogusław Włodarski, Józef Orzeszyna (do czasu, gdy z dnia na dzień zostaje on I sekretarzem PZPR w Uniwersytecie Wrocławskim), Irena Bergman, Marian Bieszcz, Zdzisław Szczawiński, Ziemowit Szczakowski czy Irena Wolfeld. Postacie te określa autor *Zarysu* jako „bliżej nieznanne”, bo poza przyszłymi profesorami: Zbigniewem Salwą, Andrzejem Murzynowskim czy Ziemowitem Szczakowskim, poszły one po studiach drogą pozaakademicką. Jednak z akt osobowych i źródeł partyjnych sporo informacji na ich temat można wydobyć. W odróżnieniu od Politechniki Łódzkiej wielu z tych zaktywizowanych studentów trafiło na kurs przygotowawczy, a następnie studia w UŁ po służbie w aparacie bezpieczeństwa.

W dobie awansu społecznego nie powinno zaskakiwać, że ci młodzi ludzie korzystali z szansy zdobycia wykształcenia – najczęściej prawniczego, a czasem, jak Irena Moczar, socjologicznego.

Upartyjnianie, upartyjnienie

Inaczej niż w PŁ wyglądał natomiast w UŁ akces do PZPR ze strony pracowników naukowych uczelni. W PŁ był w PPR/PZPR początkowo tylko jeden profesor – Bolesław Konorski, w UŁ natomiast do roku 1950 powstało Koło partyjne pracowników naukowych. Należeli do niego profesorowie lub zastępcy profesora m.in. Józef Litwin, Leon Schaff, Benedykt Halicz. Wiesław Puś wymienia dalej szereg innych nazwisk. Wprawdzie organizacja partyjna (akademicka) przy UŁ istnieje, ale jest długo *in statu nascendi* i – jak spostrzegają niektórzy jej działacze – znajduje się jakby poza statutem PZPR i przypomina luźną federację komórek na różnych wydziałach czy kierunkach. Jest jeszcze słaba i niespójna i nie ma własnego lokalu. Od roku 1951 jest to już wspólna organizacja pracowników naukowych, administracyjnych i studentów. Ale długo jeszcze, bo do końca lat 50., a potem ponownie w latach 60., odzywają w niej spory między nierównoprawnymi towarzyszami: studentami i pracownikami UŁ.

Czasem kończą się one w miejskiej lub dzielnicowej komisji kontroli partyjnej, która jest rodzajem sądu wewnątrzorganizacyjnego. Zachowane w Archiwum Państwowym w Łodzi akta świadczą na przykład o tym, że student Antoni Rajkiewicz został z PPR usunięty za działalność w Bratniej Pomocy, do której go AZWM „Życie” delegowało. Inny student, historyk Jordan Szczepaniak, lider grupy partyjnej, kończący pracę magisterską pod kierunkiem prof. Bohdana Baranowskiego, został „wykluczony” z PZPR na wniosek Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Śródmieście za rzucenie legitymacji partyjnej na znak protestu przeciw nieposzanowaniu godności partyjnych studentów. W związku z tą sprawą w roku 1959 złożył legitymację partyjną historyk Józef Śmiałowski, będąc w tym czasie członkiem dwu egzektyw partyjnych: wydziałowej i ogólnouczelnianej. Jeszcze więcej takich starć widać w zachowanych archiwaliach po organizacji partyjnej Wydziału Socjologiczno-Ekonomicznego UŁ. Tego rodzaju konflikty są na pewno świadectwem burzliwych dziejów tych organizacji. Część tej historii została w latach 70. opisana w tekstach zachowanych w postaci maszynopisów lub rękopisów autorstwa Stefana Banasiaka, Juliana Kucińskiego i Jana Warężaka. Wcześniejsze – fakty z lat 40. – zawarł autor i uczestnik owych wydarzeń Adam Leśniewski w swej książce *Łódzka organizacja AZWM „Życie” 1945–1948*, Wiesław Puś nazywa „niezwykle tendencyjną”. Daleko jednak do systematycznego zbadania wielu spraw, mimo nadmiaru zachowanych źródeł, któremu towarzyszy deficyt źródeł *oral history*. Archiwalia partyjne – w recenzowanej pracy wykorzystane, niestety, w niewielkim stopniu – sprawiają często wrażenie śladu po działalności jakiejś dziwnej organizacji, przeczą sobie i zawierają tylko same nazwiska, nierzadko przeinaczone, członków egzekutyw. Zdarzają się protokoły antydatowane, z których trudno odtworzyć, kogo wybrano do

władz, skoro prawdziwy protokół nosi nieprawdziwą datę. Stąd być może w książce prof. Pusia liczne drobne pomyłki. Choćby takie, że kierownik Katedry Postępowania Karnego, zastępca profesora Leon Schaff, jest omyłkowo wymieniany jako prof. Adam Schaff; prawnik prof. Józef Litwin zastąpiony został w książce innym wykładowcą prawa Jakubem Litwinem, student fizyki Piotr Amsterdamski jest przedstawiony jako syn doc. Stefana Amsterdamskiego, swego stryja; mgr Magdalena Gadzinowska figuruje jako Maria Gadzinowska. Dziwne to, bo tak samo jest w aktach śledczych, prowadzonych przeciwko tej młodej asystentce.

Być może te drobne potknięcia czy pomyłki wydawnicze – które nie czynią istotnych wyłomów w całości wywodu autora – wynikają z błędów i niewiedzy przyczynkarskich prac poprzedników wymienionych w Bibliografii. Wypada jednak zgłosić zastrzeżenie wobec postaci Leona Schaffa. Leon Schaff (rocznik 1921) wydał w latach 1950, 1952 oraz 1956 trzy książki promujące klasowe prawo karne. Postulował „pozbawienie tych klas [powstrzymujących się z poparciem nowego ustroju – JŚ] praw obywatelskich i jak najszersze zastosowanie wobec nich „metod pozasadowych...”. Leon Schaff był również żarliwym zwolennikiem stosowania „procesów pokazowych wobec wrogów ludu”. W UŁ był niezmiennie członkiem egzekutyw organizacji partyjnej, pełniąc w nich rolę specjalisty od szkolenia ideologicznego. Po 1956 roku pracował odszedł z UŁ i został docentem w Uniwersytecie Warszawskim. Zmarł w roku 1960.

Represje i szykany – dotkliwie luki

Szkoda, że praca nie poświęca wiele uwagi represjom stalinowskim, które UŁ dotknęły, poza odnotowanym w niej przypadkiem prof. Stanisława Gorzuchowskiego, geografa, członka organizacji Wolność i Niezawisłość, zmarłego w więzieniu we Wronkach w roku 1947. Wydaje się, że temat owych represji wymagałby osobnego studium, które dotąd nie powstało. Natomiast wybór prof. Pusia, by w rozdziale o życiu społecznym sporo miejsca poświęcić stronie opozycyjnej obecnej w dziejach uczelni, wydaje się znamieny i ważny. Jednakże ta opozycja nie jest wyróżniona według klarownych kryteriów ani opisana wyczerpująco. Np. w sprawie zatrzymań pracowników UŁ w czerwcu i następnych miesiącach 1970 roku pod zarzutem utworzenia organizacji „Ruch” poza mgr. Stefanem Niesiołowskim nie wymienia autor mgr. Andrzeja Woźnickiego, mgr. Jacka Bartkowiaka, studentów – Joanny Szczęsnej czy Wojciecha Drozdka i dalszych podejrzanych (i skazanych przez sądy).

Autor nie poszukuje odpowiedzi na pytanie, czy z dzisiejszej perspektywy ta opozycja tylko ubarwia albo broni dobrego imienia UŁ, czy też w czasie, kiedy się pojawiała, wywierała jakiś realny wpływ na macierzysty uniwersytet. Nie ma próby odpowiedzi, jak sama uczelnia, jej rozmaite władze, instancje i organizacje odnosiły się do inicjatyw odważnych postaci, na ile ich broniły, na ile marginalizowały. Czytelnik książki nie dowie się, na ile opozycja, istniejąc, wzmacniała ten uniwersytet, na ile mu szkodziła, psując renomę w oczach władz partyjnych i państwowych.

Autor *Zarysu* nie wyodrębnił taktycznych bojów organizacji partyjnej w UŁ, choć często do jej istnienia wraca. Wydaje się to minusem opisu lat 1945–1989 z racji pozycji PZPR i jej zakusów, ponawianych systematycznie i systemowo, do nadawania charakteru macierzystemu uniwersytetowi, do kreowania kadry kierowniczej uczelni, do roli ideologicznego mistrza ingerującego w życie UŁ. Sama organizacja partyjna – do roku 1966 mająca status Podstawowej Organizacji Partyjnej, a później – Komitetu Uczelnianego w UŁ, nie była nigdy pewnie jednolita i przechodziła etapy burzy, nie tylko w latach 1968 i 1970, ale z pewnością w okresie popaździernikowym, zwłaszcza w roku 1958, kiedy sformułowała własne radykalne postulaty zmiany statutu PZPR, by stalinizm nie mógł się powtórzyć. Burzliwe dzieje to także lata integracji ekonomii z socjologią czy dezintegracja organizacji partyjnej Wydziału Filologicznego UŁ. Osobny rozdział to spory w miesiącach po Sierpniu '80, kiedy wielu członków i działaczy partii wstąpiło do „Solidarności” i poparło zmiany, jakie dla uczelni wywalczyli studenci swym najdłuższym strajkiem z początkiem roku 1981. Na co dzień przez długie dziesięciolecia akademicka organizacja partyjna istotnie wpływała na awanse naukowe, „rozmiszczenie kadry”, ideologizację życia uniwersytetu zmieniającą proporcje wyższej uczelni i swobody badań naukowych w rodzaj szkoły czy urzędu formującego człowieka na potrzeby socjalistycznego państwa, a nie nauki polskiej.

Pozostaje natomiast nierozstrzygnięta sprawa oponentów wewnątrzpartyjnych, rugowanych bezwzględnie z uczelni po roku 1968 i w innych burzliwych latach. Ci oponenty to mgr Henryk Leszczyna, dr Władysław Maria Grabski, mgr Witold Lutrzykowski, mgr Zdzisław Zarzycki oraz student ekonomii i filozofii Marian Matulewicz. Czy zaliczać ich do dziejów opozycji w UŁ, czy traktować sprawę oddzielnie. W przypadku Matulewicza – w roku 1968 był zarówno delegatem zrewoltowanych studentów, jak trybunem młodej opozycji wewnątrzpartyjnej.

Ile karier naukowych było możliwych, a ile zostało przekreślonych z powodu moralnego sprzeciwu studenta czy pracownika wobec nieprawdy, ograniczeń wolności czy praw przysługujących obywatelom również w socjalizmie? Można przytoczyć dwie ilustracje postaw moralnych niemal z tego samego okresu. Kiedy KSS „KOR” nadesłał władzom UŁ świeżo wydaną przez NOW-ą *Czarną księgę cenzury*, ówczesny rektor Romuald Skowroński zawiadomił o tym władze bezpieczeństwa, by nie przyjąć „druku zakazanego”. Szczęśliwie drugi egzemplarz przesłanej *Czarnej księgi cenzury* pieczętowiec ukrył w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej BUŁ jej kustosz dr Janusz Dunin.

Wcześniej nieco, w roku 1977, rektor odmówił legalnego występu w studenckim klubie kabaretowi Salon Niezależnych, zawiadamiając pisemnie łódzkie władze partii, że na Uniwersytecie próbuje wystąpić grupa anarchistów. W maju i czerwcu tego samego roku staraniem rektora UŁ, RO SZSP, innych agend władzy pozauczelnianej zdołano skutecznie przeciwstawić się inicjatywie studentów UŁ i PWSFTViT powołania w Klubie pod Siódmkami w 10 dni po założycielskim komite-

cie Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie, takiego samego SKS-u w Łodzi. W innych miastach akademickich takie SKS-y powołano wówczas, nie oglądając się na bezsilne wobec niezależnej studenckiej inicjatywy władze.

Niepotrzebne straty

Jest oczywiście prawem historyka ocena, na ile takie działania osłonowe wobec racji stanu uczelni obciążają, a na ile bronią stanowiska jej władz. Na ile uniemożliwienie publicznej obrony dysertacji doktorskiej *Nie-realny socjalizm* współautorów Jerzego Drygalskiego i Jacka Kwaśniewskiego, powstałej pod kierunkiem prof. Janusza Gościńskiego w UŁ, obciąża uniwersytet, władze rektorskie, Radę Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego, na ile inne wpływowe gremia. Ile uniwersytet zyskał, ile stracił, nie dając szans zatrudnienia Tadeuszowi Walendowskiemu, późniejszemu dokumentaliście, Pawłowi Boskiemu (dziś profesorowi UW), Cezaremu Włodarczykowi (dziś profesorowi UJ), Krzysztofowi Szafnickiemu (dyrektorowi Instytutu Socjologii Uniwersytetu w Montrealu), Alfredowi Mieczkowskiemu – później dyrektorowi jednego z muzeów w Warszawie, Kindze Dunin-Horkawicz – później wykładowczyni w Akademii Medycznej w Warszawie, dr. Jerzemu Kropiwnickiemu po zwolnieniu z więzienia w Barczewie w roku 1984, Janowi Tomkowskemu, profesorowi w IBL PAN, Jackowi Bartyzelowi – dziś profesorowi Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, historykowi Jackowi Matysiakowi i wielu innym najwybitniejszym ze swych absolwentów czy wybijających się młodych pracowników nauki. Ile UŁ zyskał, nie dopuszczając do złożenia pracy magisterskiej Jerzego Szczęsnego (studenta, po jego powrocie z więzienia w odwet za przywódczą rolę w wystąpieniach studenckich w marcu 1968 roku, mimo że ten wybitny student prawa miał już przed marcem absolutorium? A ile osiągnął, uniemożliwiając podjęcie pracy mgr. Czesławowi Szmidtowi – dziś rektorowi Akademii im. Leona Koźmińskiego w Warszawie? Dodać warto, że symbolicznym wydarzeniem w relacjach partia – uniwersytet było powołanie w latach 70. filii Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu w UŁ. Wyglądało to jak filia jakiejś szkoły o niższym statusie umieszczona w paryskiej Sorbonie, a sam uniwersytet nie obronił się przed taką innowacją.

Miał mnożyć dalsze pytania, warto może zastanowić się, jaki wpływ wywarła uczelnia na 320 tys. swych słuchaczy na przestrzeni siedmiu ostatnich dekad. Jaki na obliczu UŁ odcisnęli ślad jego pierwsi absolwenci, ich uczniowie oraz uczniowie ich uczniów. Autor *Zarysu* nie podejmuje wprost takiej oceny – ale miejscami jednak trochę wiadomości dla jej postawienia dostarcza.

Wolna myśl i opozycja

Pozostaje otwarta kwestia, na ile istnienie małych środowisk opozycyjnych skutkowało w środowisku akademickim, zmieniało postawy młodzieży i wykładowców UŁ. Można sądzić, że wybory ówczesnych profesorów i samodzielnych pracowników naukowych:

Franciszka Ksawerego Skupieńskiego, Konrada Jażdżewskiego, Stefanii Skwarczyńskiej, Jana Lutyńskiego, Krystyny Śreniowskiej, Bronisławy Kopczyńskiej-Jaworskiej, Aliny Kowalczykowej, Jana Waszczyńskiego, doc. Jerzego Logi, doc. Marcina Bielskiego, dr Anny Sztudynger-Kaliszewicz, dr. hab. Janusza Maciejowskiego, dr. hab. Ryszarda Wierzbowskiego, dr. hab. Janusza Dunina czy dr. hab. Teresy Dębowskiej-Romanowskiej oraz takich młodszych pracowników naukowych, jak Włodzimierz Gromiec, Wiktor Niedźwiedzki, Konrad Tatarowski, Mirosława Suska, Elżbieta Mickiewicz, Adam Nowaczyk, Rafał Kasprzyk, Andrzej Łodyński, Małgorzata Kępczyńska, Piotr Tobera, Anny Kubiak, Witold Kulesza, Adam Nowaczyk, Wiesław Juszcak, Anna Dominiak, Piotr Daranowski, Lucjan Muszyński i wielu innych – nie pozostawały bez związku z późniejszymi wyborami całego środowiska, które przechyliło się w sympatiach na rzecz opozycji, czytając jej prasę, zwłaszcza literacką i publicystyczną, wiążąc się z DiP-em czy TKN. Trzeba przypomnieć tu także Janusza Górskiego, socjologa i filozofa, który w proteście przeciw wyrzuceniu Włodzimierza Gromca, swego nauczyciela akademickiego i kolegi z Instytutu Filozofii, zrezygnował z pracy w UŁ. Następnie to środowisko wstąpiło do „Solidarności”, a w wielu przypadkach broniło jej przez całe lata 80. Jak zauważył jeden z czytelników tej pracy, zatrudniony w UŁ od roku 1969: „»Solidarność« złączyła tych profesorów, którzy chcieli z jej pomocą zreformować socjalizm, z tymi, którzy z jej pomocą chcieli go zburzyć”. Powinienem tu podkreślić, że jedni i drudzy byli wówczas partyjni bądź bezpartyjni, co dzisiejszy czytelnik poczyta pewnie za paradoks tamtej epoki.

Nasuwa się pytanie, czy ożywienie społeczne i intelektualne w okresie polskiego października, protesty marcowe w roku 1968 czy opozycyjne petycje i próba powołania Studenckiego Komitetu Solidarności w roku 1977 miały dla uczelni jakieś znaczenie, mimo że zostały zniszczone w zarodku. Czy nie dawały szansy uruchomienia zmian, które nauce akademickiej i kształceniu studentów otwierały wypisaną na sztandarze Uniwersytetu perspektywę wolności i prawdy? Bo dopiero podjęcie tych projektów zimą roku 1980 i wsparcie ich strajkiem studentów Łodzi w styczniu i lutym roku 1981 otworzyło nową wizję uczelni i promowało istotne zmiany w ustroju szkolnictwa wyższego. Pytania te może nie są oczywiste, jednak pozostając przy ustaleniach Wiesława Pusia, warto wskazać, że te same władze UŁ, które dotąd starały się pozbyć z uczelni „nieodpowiedzialnych nowinek” promujących większą podmiotowość Uniwersytetu i środowiska studenckiego, z początkiem roku 1981 zostało przez te władze, łącznie z częścią akademickich organizacji partyjnych, poparte. Jak podaje prof. Puś, „rektor siedział po przeciwnej stronie stołu negocjacyjnego, studenci czuli jednak, że jest z nimi”.

Obie strony potraktowały sprawy uczelni z powagą, nie jak urząd, ale jak uniwersytet właśnie. Rektor UŁ jeszcze w czasie pertraktacji strajkowych przeciwny powrotowi do UŁ relegowanych pracowników z powodu poglądów – lojalnie, acz nieśpiesznie przyjął ich ponownie do pracy w uczelni.

W mieście czy obok miasta

Poza optyką autora *Dziejów UŁ* znalazły się tak ważne sprawy, jak rola uniwersytetu w macierzystym mieście i wpływ, jaki na nie wywierał. Można by po tym sądzić, że uniwersytet wybrał *splendid isolation*, a miasto odwzajemniło się uczelni, nie kochając jej nadmiernie. O roli UŁ w początkowych latach 40. oraz w okresie październikowego przełomu 1956/1957 napisano wprawdzie nieco we wcześniejszych pracach, które prof. Puś przywołuje w bibliografii. Jednakże być może najważniejsze wydarzenie w kilkudziesięcioletniej powojennej historii miasta – strajk łódzki z lutego 1971 roku, który doprowadził do cofnięcia przez rząd radykalnej podwyżki cen – która wywołała po raz drugi w PRL strzelanie do bezbronnych tłumów – nie zostało w ogóle przez elity łódzkie zdyskontowane. Miasto poprzestało jedynie na rządowym programie przyspieszonego rozwoju społeczno-gospodarczego Łodzi. Narodziła się wówczas jednak idea międzydiscyplinarnych badań demograficznych – lekarskich, ekonomicznych, których jednym z koordynatorów był wybitny statystyk dr Tadeusz Miler, wówczas pracownik Akademii Medycznej, zmuszony do odejścia z UŁ po marcu 1968 roku. Środowisko uniwersyteckie i inne środowiska akademickie próbowały zdiagnozować głębiej sytuację w zmierną łódzkiej aglomeracji. Zgromadzone wówczas wyniki wkrótce utajniono, jednak inicjatywie przyznać trzeba akcent obecności środowiska uniwersyteckiego w badaniu ważnych dla miasta spraw. Inna inicjatywa z roku 1987 miała zupełnie inny charakter. Pod patronatem o. Stefana Miecznikowskiego TJ – duszpasterza akademickiego i koordynatora Tomasza Filipczaka, absolwenta UŁ, przygotowany został wówczas niezależny *Raport o Łodzi*, wręczony Ojcu Świętemu w czasie odwiedzin miasta podczas ówczesnej pielgrzymki do Łodzi. W przygotowaniu owego Raportu brały odważnie udział środowiska akademickie – w tym wielu uczonych z UŁ – dość powszechnie rozgoryczone nieprzebytym murem obojętności rządzących na empiryczne i merytoryczne argumenty wskazujące dramatyzm położenia czy brak szans rozwojowych miasta. To zapewne nie wszystkie ważne cegiełki, jakie środowiska akademickie próbowały wnieść, świadczące o przełamywaniu separacji nauki od miasta, w którym jest uprawiana.

Wydaje się szczęśliwe zarówno to, że książkę napisał historyk, jak i to, że jej autorem jest długoletni rektor UŁ. Można rzec, jest w tej pracy nieco z perspektywy narracji rektorskich: między nami rektorami, co w opinii recenzenta jest dla ujęcia korzystne. Uniwersytet z takiej perspektywy traktowany jest jak całość, bo to pozycja rektora reprezentującego instytucję. Kolejne kadencje rektorów i uczelnianych senatów jawią się niczym poczet władców udzielnego księstwa. Perspektywa taka odsuwa na dalszy plan inne warstwy życia instytucjonalnego i społecznego, stąd być może funkcjonowanie organizacji partyjnej, związkowej czy młodzieżowej jest dodatkiem lub tłem dla opisu ról pierwszoplanowych.

Czytelnik może powiedzieć, że nie wszystko w takiej perspektywie widać. Ale trudno oczekiwać, by pierwsza praca syntetyczna była w stanie wszystko

na kilkuset stronach pomieścić. Zdaniem recenzenta książka to udany pierwszy krok w kierunku przedstawienia rozwoju czy losów Uniwersytetu Łódzkiego. Potrzeba dalszych studiów i kolejnych prac, by dzieje te zostały gruntowniej zbadane, przemyślane i ocenione. Wybór autora *Zarysu*, by mówić o nich w sposób syntetyzujący i rekapitułujący, a czasem anegdotyczny, wyraźnie odbiega od popularnej i w tej uczelni ideografii. Jest dobrym krokiem w kierunku opisu funkcjonowania łódzkiej uczelni w kilkudziesięcioletniej perspektywie PRL i III RP. Jest też dobrym punktem wyjścia tak do rekonstrukcji obrazu dokonań naukowych i formacyjnych nowej powojennej inteligencji, jak i szerszego studium jednej z polskich wyższych uczelni w czasach socjalistycznej i późniejszej przebudowy kraju.

Bibliografia zawarta w pracy [s. 361–364] świadczy o niewielu przyczynkach historiograficznych poświęconych dotąd UŁ, w odróżnieniu od istniejącej obfitej bazy źródłowej, zwłaszcza w Archiwum UŁ i Archiwum Państwowym w Łodzi. Książka świadczy o zamiarze ujęcia w zarysie losów całego uniwersytetu i na przestrzeni pełnych 70 lat. Autopsja oraz wiedza pozaźródłowa autora tej potrzebnej bardzo książki wydają się trzecim ważnym powodem jej powstania.

Józef Śreniowski
socjolog, historyk, pracownik IPN

Wiesław Puś, *Zarys historii Uniwersytetu Łódzkiego 1945–2015*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2015.

Trudna droga do demokracji

Łódzkie struktury NSZZ „Solidarność” 1984–1990

Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku zdelegalizowano NSZZ „Solidarność”, a tysiące działaczy związkowych aresztowano i internowano w ośrodkach odosobnienia. Niektórych z nich skazano i uwięziono. Władza tłumiła strajki i demonstracje, często używając bezwzględnej siły, jak w przypadku ataku na Kopalnię „Wujek”, gdzie zginęli górnicy. Mimo represji pozostający na wolności członkowie „Solidarności” organizowali się w podziemne struktury. W regionie łódzkim powstały m.in. takie organizacje, jak utworzony na początku 1982 roku Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” czy powstały 20 kwietnia 1982 roku Tajny Tymczasowy Zarząd Regionalny ZŁ na czele z Januszem Kenicem¹. Na terenie kraju funkcjonowała od kwietnia 1982 roku Tymczasowa Komisja Koordynacyjna skupiająca takich przywódców podziemnych kierownictw regionalnych struktur, jak Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk i Bogdan Lis. Podstawowym celem TKK było organizowanie działań mających na celu, m.in. odwołanie stanu wojennego, zwolnienie więźniów politycznych, przywrócenie praw obywatelskich i wznowienie działalności związku. Oceniano, iż wszystko to może jedynie nastąpić na drodze pokojowego kompromisu z władzami, które zostaną do niego przymuszone zorganizowanym przez społeczeństwo oporem, dlatego przywódcy TKK odrzucali przemoc i terror w działaniu. Warto zauważyć, iż TKK do roku 1986 była największą organizacją koordynującą opór społeczny, zarazem stała się pewnym symbolem zjednoczenia podziemnej „Solidarności”².

Wychodzący na wolność po okresie uwięzienia czołowi działacze związku przed wprowadzeniem stanu wojennego w regionie łódzkim: Andrzej Słowik – przewodniczący związku oraz Jerzy Kropiwnicki i Grzegorz Palka – wiceprzewodniczący, zostali w Łodzi podziemną strukturę organizacyjną pod nazwą Regionalna Komisja Wykonawcza, utworzoną 13 maja 1984 roku. W jej skład wchodził: Marek Czekalski, Jerzy Dłużniewski, Marek Edelman, Rafał Kasprzyk oraz Ryszard Kostrzewa, a od 1986 roku także Paweł Lipski, wydawca pisma „Solidarność Walcząca”³. Wspomniana trójka związkowców nie miała zamiaru rezygnować z działalności opozycyjnej. Dlatego też we wrześniu 1984 roku odbyło się spotkanie z członkami RKW. Z uwagi na intensywny



nadzór ze strony Służby Bezpieczeństwa zdecydowano, iż Kropiwnicki, Palka i Słowik mają prowadzić jawną działalność polegającą przede wszystkim na podtrzymywaniu, a zarazem nawiązywaniu nowych kontaktów z zagranicznymi gośćmi, przewodzeniu manifestacjom organizowanym na terenie Łodzi oraz na wygłaszaniu publicznych przemówień⁴. Dodatkowo, jak wspomina Kropiwnicki, dla zmniejszenia ryzyka jednoczesnego zamknięcia wszystkich trzech postanowili nigdy nie być razem tam, gdzie mogło grozić im aresztowanie.

Niebawem kontakty łódzkiego środowiska skupionego wokół Słowika, zwłaszcza z warszawską opozycją, uległy pogorszeniu w końcu 1985 roku. Według Kropiwnickiego było kilka przyczyn tego faktu, m.in. zaczęli być „[...] identyfikowani jako grupa »o odchyleniu prawniczym«, »ciążąca ku Prymasowi« i »fundamentalnie związkowa«, a przy tym zdolna do inicjatywy programowej”⁵. Stosunki popsuły się diametralnie po konspiracyjnym wyjeździe Słowika na zachód na przełomie 1985/1986 roku. Spotkał się on tam z przedstawicielami central związkowych, w rozmowach z nimi negatywnie odniósł się do kwestii funduszy, które zamiast do związku płyną do środowisk opozycyjnych w Polsce. Wypowiedział się także negatywnie co do planowanego Zjazdu Podziemnej „Solidarności”, na którym miało być wybrane nowe kierownictwo związku, z Bujakiem na czele. Lechowi Wałęsie rezerwowano jedynie

rolę historycznego symbolu. Kropiwnicki, Palka i Słowik blokowali te zmiany nawet za cenę alienacji w środowisku TKK⁶.

Konflikt ze środowiskiem warszawskim szybko przeniósł się na grunt łódzki. W kwietniu 1986 roku doszło do spotkania trzech działaczy z członkami RKW: Edelmanem, Dłużniewskim i Kostrzewą. Stwierdzono, że skoro RKW jest filią TKK w regionie łódzkim, a Bujak nie akceptuje Słowika, to ten nie może zostać potwierdzony jako przedstawiciel Łodzi w TKK. Wedle Kropiwnickiego, spotkanie to zadekretowało rozłam w łódzkiej „Solidarności”⁷.

29 września 1986 roku Wałęsa powołał do życia jawną Tymczasową Radę NSZZ „Solidarność” z udziałem Bogdana Borusewicza, Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Tadeusza Jedyńaka, Bogdana Lisa, Janusza Pałubickiego i Józefa Piniora. Skład nowego ciała zasilony został również przez członków podziemnej TKK. Fakt stworzenia Rady miał związek z nasilającym się ogólnopolskim sporem wewnątrz opozycji o formę działania. Kropiwnicki, Palka i Słowik, nie chcąc znaleźć się za burtą ważnych wydarzeń, w dniu 8 października 1986 roku wznowili oficjalną działalność Prezydium Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej. Wkrótce potem Prezydium powołało w Łodzi równoległą do RKW strukturę tajną o nazwie Regionalna Komisja NSZZ „Solidarność” ZŁ. Formalnie konspiracyjna struktura powstała dopiero 8 marca 1988 roku, występując pod nazwą Regionalna Komisja Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność”. Komisja zajęła się zadaniami technicznymi, tj. redagowaniem, drukiem i kolportażem pisma „Solidarność Ziemi Łódzkiej” oraz ulotek informacyjnych. Jawnym rzecznikiem Komisji został Słowik⁸.

W Łodzi zatem od jesieni 1986 roku istniały dwa ważne ośrodki władz związkowych, RKW i Prezydium ZR. Ta sytuacja miała negatywny wpływ na





działalność w regionie łódzkim. Powstające Komisje Zakładowe musiały opowiadać się po któreś ze stron, co automatycznie prowadziło do antagonizmów. Wydaje się więc, że konflikt w łonie łódzkiej „Solidarności” miał podtekst personalny, który ciągnął się od początku powstania „Solidarności” w Łodzi⁹. Członkowie RKW zarzucali Kropiwnickiemu, Palce i Słowikowi, że gdy oni byli uwięzieni, inni pozostający na wolności działacze w Łodzi pracowali w podziemiu, narażając się niejednokrotnie władzy. Nie dostrzegali również zmian personalnych jakie wynikły z tego faktu. Według nich tylko nowe kadry zaktywizują dotychczas biernie środowiska pracownicze, a struktury muszą tworzyć ludzie posiadający mandat wynikający z ich pracy, z działalności¹⁰. Z obozu przeciwników Prezydium ZR słychać było coraz bardziej gorzkie słowa. W piśmie „Solidarność Walcząca” nazwano ich „celebrantami”. Zarzucano im także, iż uważają

siebie za najważniejszych w ruchu związkowym i że reaktywowali Prezydium bez jakichkolwiek konsultacji z przedstawicielami tajnych struktur „Solidarności”¹¹. Gwoli sprawiedliwości warto jednak w tym miejscu przytoczyć wiarygodne dane z wyborów na przewodniczącego związku w regionie łódzkim, które odbyły się w maju 1981 roku. Ukazują one bowiem realne poparcie, jakim cieszyli się poszczególni topowi członkowie łódzkiej „S”. Wówczas bowiem Słowik uzyskał poparcie 333 delegatów (51,3%), za nim uplasował się Palka z wynikiem 204 głosów (31%), a dopiero na trzecim miejscu był Czekalski, na którego oddano 79 głosów (12%), Dłużniewski zaś uzyskał tylko trzy głosy poparcia¹². Według tego miarodajnego sondażu przyszli działacze RKW wypadli raczej słabo. Wydaje się zatem, iż Słowik, Palka i Kropiwnicki po wyjściu z więzienia w 1984 roku cieszyli się większym społecznym zaufaniem, symbolizując wytrwałość walki o wolną Polskę. To dawało im naturalny mandat do współrzędzenia w łódzkich strukturach związkowych.

Narastanie konfliktu

Konflikt między RKW a Prezydium był wtórny w stosunku do konfliktu, jaki zantagonizował cały ruch „Solidarności”. W 1987 roku Kropiwnicki, Palka i Słowik oraz m.in. Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Zbigniew Romaszewski, Jan Rulewski, Stanisław Wądołowski, Grzegorz Wendt weszli w skład powstałej Grupy Roboczej Komisji Krajowej. Była ona odpowiedzią na powołanie przez Wałęsę i jego ludzi Tymczasowej Rady¹³. Owa Grupa opowiadała się za zachowaniem statutowej i programowej tożsamości NSZZ „S” oraz domagała się pełnego poszanowania przez nielegalną „Solidarność” statutu z okresu legalnej działalności. Stanowisko legalistyczne GR KK, podkreślające trwanie legalnej władzy KK wybranej w 1981 roku, doprowadziło do konfliktu z tymi wszystkimi, którzy o kształcie związku decydowali w okresie stanu wojennego, a formalnego mandatu członka KK nie posiadali¹⁴. GR KK wyrażała stanowisko, iż „Solidarność” jest przede wszystkim związkiem zawodowym, a nie ruchem społeczno-politycznym zmierzającym do przekształcenia się w partię¹⁵. 20 września 1987 roku członkowie KK skupieni wokół Grupy Roboczej skierowali tzw. „list 22” do Wałęsy z wnioskiem o zwołanie posiedzenia Komisji. Miało to doprowadzić do zakończenia panującego ich zdaniem bałaganu organizacyjnego i wielości luźno ze sobą współpracujących struktur. Autorzy listu wskazywali na zaniedbywanie problematyki socjalnej i postulowali wypracowanie nieistniejącej linii programowej „S”¹⁶. „List 22” spotkał się z ostrą krytyką środowiska Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „S”. Sugerowano, iż trzeba tę inicjatywę traktować jako próbę przejęcia władzy¹⁷. „Listu 22” nie skomentował natomiast sam Wałęsa, który nie oglądając się na rodzącą się opozycję wobec niego samego i jego współpracowników, tworzył fakty dokonane. 25 października 1987 roku na wspólnym posiedzeniu TTK i Tymczasowej Rady z jego udziałem, powołano do życia Krajową Komisję Wykonawczą. Nowy twór zastąpił TTK i Tymczasową Radę, przejmując ich dotychczasowe kompetencje. W skład KKW z Łodzi

wszedł tylko przedstawiciel RKW – Andrzej Dłużniewski. Do KKW nie weszli przedstawiciele GR KK, co pogłębiło tylko konflikt. Od tego momentu bowiem Grupa Robocza przeszła do jawnej opozycji wobec członków KKW. Kierownictwo Grupy skrytykowało likwidację TKK – w ich ocenie związek w ten sposób wyrzeka się działalności podziemnej, nie uzyskując nic w zamian od władz. Zaczęli akcentować swój związkowy charakter, zajmując się tą tematyką (analizowali koszty utrzymania, badali warunki pracy oraz śledzili zmiany ustawodawstwa pracy)¹⁸. Utworzenie KKW wśród szeregowych działaczy „Solidarności” budziło obawy co do tożsamości związku. Według niektórych sposobów powoływania tego ciała naruszały elementarne zasady demokracji wewnątrzzwiązkowej, skład KKW zaś nie odzwierciedlał pluralizmu politycznego i światopoglądowego całego ruchu „Solidarności”.

Do pewnego zbliżenia stanowisk między członkami Grupy Roboczej KK a Wałęsą doszło na spotkaniu zorganizowanym w Gdańsku w styczniu 1988 roku. Przywódca związku zapowiedział wtedy, iż będzie dążył do wznowienia działalności statutowego Prezydium KK i zaprosił działaczy Grupy do wspólnej współpracy w ramach KKW¹⁹. Wobec takich ustaleń już 1 lutego 1988 roku z upoważnienia Prezydium ZR ZŁ Słowik oddelegował Palkę jako swojego przedstawiciela do współpracy ze środowiskiem skupionym w KKW²⁰. Palka uważał, że Wałęsa dąży w tym samym kierunku co GR KK, czyli do utworzenia jednej statutowej struktury związkowej w postaci Prezydium KK i w ten sposób chce uzyskać sterowność związku. Nieoczekiwanie Wałęsa w liście skierowanym do KKW usztywnił swoje wcześniejsze stanowisko i w liście zaapelował do członków GR KK, ażeby niezwłocznie zaprzestali publicznych wystąpień. Powołał



również grupę rozjemczą dla rozpatrzenia konfliktów i doprowadzenia do porozumienia w strukturach regionalnych. Stanowisko Wałęsy musiało wywrzeć wpływ na rozmowy prowadzone dzień później w Gdańsku z przedstawicielami GR KK, Palką i Jurczykiem. Prezydium ZR ZŁ powstrzymało się od komentowania tego spotkania, wydano jedynie komunikat, w którym stwierdzono: „W odtwarzaniu statutowych organów związku szacunek dla wyników jedynek w historii PRL demokratycznych wyborów powinien iść w parze z koniecznością uwzględnienia procesów i zdarzeń zachodzących w związku po 13.12.1981 roku [...] Nie wolno pomijać i wykluczać nikogo ze względu na różnice w poglądach politycznych, jeśli wyraża on chęć wspólnego działania w ZR dla dobra związku”²¹. Wspomniana grupa rozjemcza zakończyła prace w końcu maja 1988 roku. W swoim protokole postulowała uzupełnienie składu KKW o pozostających dotąd poza nim działaczy „Solidarności”, którzy zostali wybrani w 1981 roku do KK, o ile pozostali w kraju, nie wyłączyli się z prac związku oraz nie sprzeniewierzyli się idei „Solidarności”. Wedle opinii grupy rozjemczej tak rozszerzona KKW powinna z kolei według podobnych zasad zweryfikować skład KK i uzupełnić go o działaczy struktur związkowych powstałych w stanie wojennym, po czym powinno się ustalić tryb pracy KK, uwzględniając aktualnie istniejące warunki. Grupa rozjemcza postulowała też podobne kroki scaleniowe dotyczące struktur regionalnych i zakładów pracy. GR KK przyjęła do wiadomości ten protokół, zasugerowała jednakże odbudowę struktur statutowych przede wszystkim w oparciu o ludzi posiadających mandat z 1981 roku, a dopiero później godziła się ewentualnie na przyjęcie pozostałych działaczy. Prace grupy rozjemczej zakończyły się fiaskiem, ponieważ żaden z jej wniosków nie doczekał się nawet prób realizacji²². Fala strajków, która przeszła w 1988 roku w całym kraju, spowodowała pewne zamrożenie konfliktu w łonie „Solidarności”. Działacze związkowi zajęci byli strajkami, nie sporami. Rok ten przyniósł także zapowiedź rozmów władzy ze stroną związkową. Coraz częściej mówiło się o „okrągłym stole” jako próbie generalnego wyjścia z kryzysu społeczno-politycznego.

W połowie września 1988 roku środowisko skupione dotąd wokół Prezydium ZR ZŁ, podjęło decyzję o wznowieniu dawnej działalności Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” ZŁ. Wydarzenie to miało miejsce 11 września 1988 roku w kościele św. Teresy. Celami ujawnienia się miały być: odbudowa jedności demokracji wewnątrzwiązkowej oraz odbudowa praworządności w związku, polegająca na respektowaniu statutu i uchwał I Zjazdu NSZZ „Solidarność”. Członkowie RKW początkowo zadeklarowali przystąpienie do tego ciała lecz po pewnym czasie wycofali się ze swoich deklaracji²³. Biuro ZR mieściło się w podziemiach kościoła św. Teresy, zajmowało się głównie rejestracją komisji zakładowych, udzielaniem porad organizacyjnych oraz pomocy technicznej, a także zaczęło wydawać legitymacje członkowskie. Działacze ZR w swoich pierwszych decyzjach przystąpili do zbierania w całym kraju podpisów żądających przywrócenia rejestracji NSZZ „Solidarność”. Do akcji przyłączyła się również GR KK. Chciano w ten sposób wyrazić swój sprzeciw przeciwko przyznawaniu władzom



PRL prawa do decydowania o istnieniu „Solidarności”. W swoich poglądach różnili się znacznie od KKW, która postulowała wówczas ponowną rejestrację związku²⁴.

Na arenie ogólnopolskiej opozycja związana z Wałęsą, w oczekiwaniu na rozmowy z władzą, powołała 18 grudnia 1988 roku Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „S” pod przywództwem Bronisława Geremka. Sekretarzem Komitetu został Henryk Wujec. Członkowie Komitetu powołali również 15 komisji tematycznych, które nastawione były na przyszłe przygotowanie negocjacji z władzą w ramach obrad „okrągłego stołu”. Komitet postawił sobie za cel prezentowanie opinii niezależnych środowisk, wyrażanie społecznych potrzeb oraz przedstawianie programów działania. Do tego ciała nie weszli członkowie GR KK²⁵. W dniu 18 grudnia 1988 roku środowisko skupione wokół Grupy Roboczej zebrało się w Gdyni. Uchwalono tam tekst przygotowany przez „grupę łódzką”, nie wiedząc jeszcze o powołaniu Komitetu Obywatelskiego. W dokumencie stwierdzano, że wpływ na politykę związku zdobyła jedna z orientacji politycznych (czyt. lewicowa), która bynajmniej nie cieszyła się największą popularnością wśród rzeszy działaczy związkowych. W działaniach obecnych władz „S” dopatrywali się komunistycznej zasady centralizmu demokratycznego i tzw. etyki rewolucyjnej właściwej komunistom, która przejawiała się w lekceważeniu własnego statutu i uchwał oraz na uzurpacji opartej na kontroli finansów i kanałów informacji. Zarzucili także obecnym władzom związkowym, iż traktują „Solidarność” jako zespół pustych symboli, którym można nadawać własne znaczenia i formułę, dla potrzeb

wąskich interesów grupowych. Zażądano również zwołania KK do końca stycznia 1989 roku. Dokument ten stał się w styczniu 1989 roku oficjalnym stanowiskiem GR KK. Uchwała wywołała wiele kontrowersji i polemik na łamach wolnej prasy związkowej, szeroko komentowano ją również w oficjalnej prasie²⁶.

Przełom polityczny

Przełom polityczny, na który wszyscy czekali, nastąpił na początku 1989 roku. Na posiedzeniu plenarnym KC PZPR w dniu 18 stycznia po burzliwych dyskusjach uchwalono tezy stanowiska w sprawie pluralizmu politycznego i związkowego. Dokument KC stwierdzał, że powinny odbyć się rozmowy z opozycją, na których określono by warunki, sposób i kalendarz wprowadzania w życie pluralizmu związkowego i otwarcia drogi do tworzenia nowych związków zawodowych, w tym „Solidarności”. 22 stycznia KKW ustosunkowała się pozytywnie do uchwały KC, określając ją jako zasadniczy krok w kierunku dialogu społecznego, i zaapelowała o jak najszybsze rozpoczęcie rozmów. 27 stycznia na spotkaniu Wałęsy z ministrem spraw wewnętrznych Czesławem Kiszczakiem ustalono termin rozpoczęcia rozmów „okrągłego stołu”²⁷. Faktem stało się więc, że władza miała rozmawiać z Wałęsą i środowiskiem skupionym wokół niego, a nie z członkami GR KK, którzy tym samym wypadli za burtę podejmowanych decyzji. Wedle Kropiwnickiego generalnie nie byli oni negatywnie nastawieni do rozmów czy samego porozumienia z władzami. Natomiast żywili podejrzliwość, iż cały ten proces polega na tym, że władza znalazła i mianowała sobie partnera do dialogu, i nie szuka szerszej reprezentacji społecznej czy politycznej. To samo tyczyło się strony „solidarnościowej”²⁸. Swym obawom dali wyraz w liście z dnia 12 lutego 1989 roku skierowanym przez Słowika reprezentującego GR KK NSZZ „Solidarność” do prof. Władysława Findeisena, przewodniczącego obrad „okrągłego stołu” oraz przewodniczącego Rady Społecznej przy Prymasie Polski. W liście tym wyrażali swoje ubolewanie z powodu niepełnej reprezentacji w obradach „okrągłego stołu” tzw. strony społecznej oraz działaczy „Solidarności” związanych z GR KK. Ostrzegali, że ewentualne porozumienie narodowe osiągnięte w trakcie obrad może być postrzegane przez liczącą się część społeczeństwa jako partykularne. Może to spowodować, iż część społeczeństwa nie będzie czuła się związana porozumieniem, na którego kształt nie miała wpływu²⁹.

W trakcie przerwy w obradach „okrągłego stołu” 22 lutego 1989 roku do Łodzi na zaproszenie MKO i RKW przyjechał z wizytą Wałęsa³⁰. Spotkanie miało bardzo burzliwy przebieg – padały liczne oskarżenia. Jeden z uczestników zadał Wałęsie kontrowersyjne pytanie: „czy prawdą jest, że Słowik, Kropiwnicki i Palka zrobili Panu więcej złego niż SB-cja?” W odpowiedzi Wałęsa stwierdził: „Ja tym ludziom bardzo dziękuję za wspianą walkę w latach 1980–81. Potem z przyczyn formalnych musiałem ich przesunąć. Oni tego nie zrozumieli. Poszli i zrobili bardzo wiele niedobrych rzeczy. Mam do nich wielkie pretensje. Ta klasa działaczy nie powinna mi tego robić. Ja nie wiem, czy złośliwie? Mogli posądzać, że ja nie jestem demokratyczny. Ja bym chciał,



aby to załatwiły wybory [...] jest wina i historia to oceni. Natomiast ja nie mogłem inaczej zrobić³¹. Wałęsa uważał również, że do czasu nowych wyborów związkowych będą działać najwyższe władze „Solidarności” powołane przez niego, do tych władz nie będą powołani ludzie z GR KK, gdyż nie widzi on możliwości współpracy z nim. Według Wałęsy zrobili oni dużo złego dla związku, więc utracił do nich zaufanie. Jego analiza spotkała się ze sprzeciwem Palki i Słowika, którzy akcentowali konieczność przestrzegania statutu związku oraz ostrzegli go przed odejściem od zasad legalizmu i ciągłości funkcjonowania „Solidarności”³². Na zamkniętym spotkaniu z przewodniczącym Wałęsą, w którym brali udział zarówno działacze ZR NSZZ „Solidarność” ZŁ, jak i członkowie RKW oraz MKO, Palka zażądał wprost od Wałęsy, aby konkretnie odpowiedział, co złego spotkało go ze strony Zarządu Regionalnego ZŁ i GR KK? W odpowiedzi usłyszał parę gorzkich słów: „Kiedy po wyjściu z internowania zastałem stan faktyczny, TKK prowadziła walkę, gdy ja i inni siedzieli, nie mogłem ich tak odsunąć, więc chciałem zjednoczyć, powołałem TR »Solidarność« [...] KKW to nie jest statutowa działalność, ale działalność na ten czas jedynie możliwa [...] Kiedy mówiłem wam, że nie mogę was przyjąć do KKW, bo mam też uwarunkowania, to wtedy zrobiliście mi fiksa typu »zdrady Solidarności« [...] Kiedy będzie już związek, postawię was przed komisją o rozliczenie, o stworzenie niebezpiecznej sytuacji dla całego związku: za niepodporządkowanie się przewodniczącemu i za tworzenie faktów [...] Nie dam rady z wami współpracować i nie chcę z wami współpracować [...] ja do was mam złość tylko o to, że prowadziliście walkę w złym kierunku. O spowodowanie dla związku i dla mnie. To są rzeczy niewybaczalne. Ja nie zabieram wam mandatów, ale teraz nie chcę was widzieć”³³.

Mediacja ojca Miecznikowskiego

Wypowiedziane słowa musiały stanowić pewnego rodzaju szok dla zgromadzonych, jak i dla samych zainteresowanych. Spotkanie zakończyło się jednak pozytywnym akcentem. S. Niesiołowski zaproponował, aby powstała komisja mediacyjna pod przewodnictwem o. Miecznikowskiego, która rozwiąże choć problem konfliktu w łódzkich strukturach związku. Wałęsa, po uzyskaniu zgody obydwóch zwaśnionych stron, poparł kandydaturę o. Miecznikowskiego jako mediatora³⁴. Do komisji mediacyjnej weszli także adwokaci: K. Głogowski i A. Kern. Komisja zaczęła swoje prace w przekonaniu, że rychło upora się ze zleconym zadaniem. Tak się jednak nie stało, gdyż do porozumienia nie doszło (zawarto jedynie pewną umowę o nieagresji w trakcie wyborów w czerwcu 1989 roku, lecz wydaje się, iż było to spowodowane pragmatyzmem wynikającym z sytuacji w kraju niż prowadzonymi mediacjami). W specjalnym oświadczeniu o. Miecznikowski odniósł się do prowadzonych przez siebie rozmów. Stwierdził, iż grupy te trwają w ostrym konflikcie personalnym i kompetencyjnym. Sprawa ta powoduje dezorientację rzesz członkowskich związku, a nawet budzi zgorznienie, co powoduje wątpliwości zwykłych ludzi, czym jest dziś „Solidarność”. W oświadczeniu o. Miecznikowski uznał, że długotrwałe rozmowy i zabiegi mediacyjne, które podjął, nie dały zadowalających wyników. Apele w imię wyższych racji pozostały bez skutku. Stwierdził również, że przedstawiciele ZR odnieśli się do tej decyzji Wałęsy (czyt. mediacje) pozytywnie, natomiast przedstawiciele RKO (RKW) przyjęli tę decyzję niechętnie, mnożąc przeszkody i zarzucając jemu (czyt. o. Miecznikowskiemu) brak obiektywizmu. Szczególne zdumienie o. Miecznikowskiego budził fakt, że członkowie RKO (RKW) uważali Kropiwnickiego, Palkę i Słowika za niewartych nawet rozmów negocjacyjnych. W swoich ostatnich słowach mediator zaapelował do zwaśnionych stron o minimalną kulturę polityczną i ludzką³⁵.

19 marca 1989 roku w kościele św. Anny w Pabianicach działacze MKO i RKW podjęli decyzję o utworzeniu nowej tymczasowej struktury ponadzakładowej: Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej (RKO). Tym samym rozwiązano RKW, a prezydium MKO podało się do dymisji. RKO przejęło struktury starych organizacji. Przewodniczącym został Ryszard Kostrzewa, a w składzie prezydium znaleźli się m.in. Paweł Lipski, Marek Edelman oraz Jerzy Dłużniewski. Powstanie RKO zaogniło dodatkowo spór między Zarządem Regionu. Zwłaszcza że Kostrzewa uważał, że Wałęsa właśnie ludzi związanych z RKO upoważnił do organizowania, odbudowywania oraz kierowania „Solidarnością”. Według niego Wałęsa oraz KKW uznało RKO za jedynego reprezentanta Związku w regionie łódzkim³⁶.

17 kwietnia 1989 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku. Rejestracja była wypełnieniem postanowień „okrągłego stołu”. Część działaczy poczuła się zagrożona tym, iż może dojść do ich całkowitej eliminacji z pracy w związku. Działacze będący w opozycji do Wałęsy i jego środowiska podpisali 20 maja 1989 roku *Apel do członków NSZZ Solidarność*³⁷. W odpowiedzi na Apel utworzono Porozumienie na rzecz przeprowadzenia demokratycznych

wyborów w NSZZ „Solidarność”. W skład Porozumienia weszli przedstawiciele GR KK oraz środowiska solidarnościowe krytycznie nastawione do polityki Wałęsy. Zapleczem „Porozumienia” były ZR w Bydgoszczy, Łodzi i Szczecinie. W uchwale programowej Porozumienia stwierdzono, że na podstawie ponownego zarejestrowania związku tworzy się struktury odgórnie, podporządkowane z góry wybranemu kierownictwu, które kryje się za autorytetem jednego człowieka. Członkowie Porozumienia żądali przywrócenia statutu związku z 1980 roku, odrzucali natomiast statut uzupełniony aneksem dotyczącym prawa do strajku, na podstawie którego zalegalizowano związek w kwietniu 1989 roku. Stwierdzali, iż zarejestrowany NSZZ „Solidarność” jest nowym związkiem, który zawłaszczył nazwę związku utworzonego w 1980 roku. Ponadto domagali się zachowania przez „Solidarność” jej związkowego charakteru oraz rezygnacji z przekształcenia w rodzaj partii politycznej. Nie uznawali również KKW. Za legalne władze związku uważali jedynie KK wybraną na I KZD w 1981 roku. Porozumienie dzieliło się na dwie grupy. Mniejszość z S. Jaworskim na czele opowiadała się za utworzeniem alternatywnego wobec KKW kierownictwa związku. Większość, do której zaliczał się „grupa łódzka”, dążyła natomiast do przeprowadzenia wspólnych wyborów w „Solidarności”, w których wzięliby udział wszyscy członkowie związku działający od sierpnia 1980 roku oraz od wprowadzenia stanu wojennego. Palka, Kropiwnicki i Słowik po kilku miesiącach działania w Porozumieniu rozstali się z tą strukturą na tle różnic poglądów z innymi jej członkami³⁸.

Odblokowanie normalnej działalności związkowej stworzyło możliwość przełamania podziału wewnątrzwiązkowego. W Łodzi, za sprawą inicjatywy „poziomek”, ciśnieniem oddolnym i przyszłymi wyborami prezydenckimi w kraju udało się złagodzić konflikt między RKO i ZR. W wyniku tego powstała wspólna Komisja ds. Wyborów w regionie łódzkim, która miała przeprowadzić nowe wybory władz związku. Odbyły się one podczas WZD w styczniu 1990 roku. „Nowym starym” przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Zł został wybrany Andrzej Słowik, co tylko potwierdziło jego popularność wśród rzeszy związkowców w regionie. Silny mandat uzyskał także związany dotąd z RKO Janusz Tomaszewski, który został wiceprzewodniczącym³⁹. Okres konfliktu został formalnie zakończony. Przed związkiem stały nowe wyzwania w nieznanym dotąd kapitalistycznej gospodarce. W tej dynamicznie zmieniającej się sytuacji polityczno-społecznej część dotychczasowych związkowców, jak na przykład Grzegorz Palka czy Marek Czekalski, zakończyła definitywnie swoją pracę w „Solidarności”, zamieniając działalność związkową na samorządową. Jeszcze inni tworzyli zręby nowych, legalnych struktur partii politycznych czy stowarzyszeń, w których chcieli dalej realizować swoje postulaty i programy polityczne.

*Michał Raduszewski
historyk, publicysta*

Zdjęcia dzięki uprzejmoci Związkowego Ośrodka Dokumentacji Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej

Przypisy:

1. L. Olejnik, *Podziemne struktury NSZZ „Solidarność” w regionie Ziemia Łódzka w latach 1981–1989* [w:] „Solidarność” podziemna 1981–1989, pod red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 363 oraz 371–372.
2. A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)* [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, pod red. A. Friszke, Warszawa 2006.
3. Związkowy Ośrodek Dokumentacji Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej, brak sygn., *Sprawozdanie z działalności [Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej w okresie 1981–1989] wygłoszone przez A. Słowika na WZD, w styczniu 1990 r.*, s. 11. Zob. Por. *Oświadczenie*, „Głos Łodzi”, nr 1, 27 V 1984, s. 1. oraz L. Olejnik, dz. cyt., s. 383–384.
4. Źródło sugeruje, iż przewodniczącym RKW miał być Słowik, a członkami RKW stali się Palka, Kropiwnicki, Dłużniewski, Kostrzewa, Edelman, Czekalski i Kasprzyk. Zob. Por. M. Wigoń, „Kto gubi przeszłość – traci przyszłość. Immunitet nie chroni”, „Dziennik Łódzki”, nr 95, 24 IV 1990, s. 5. Zob. też L. Olejnik, dz. cyt., s. 389.
5. Tamże, s. 76.
6. Tamże, s. 76–77. Zob. też ZOD ZR NSZZ „Solidarność” ZŁ, brak sygn., *Sprawozdanie z działalności [Zarządu Regionalnego...]*, s. 13–14. *Planowany zjazd Podziemnej „Solidarności” – „Grobla”*: była to próba zwołania II Zjazdu Związku. Pomysłodawcą był Wojciech Stawiszyński przywódca RKW Mazowsze. Celem zjazdu było zaadoptowanie programu I Zjazdu do obecnych warunków, uporządkowanie zasad działalności oraz ustaleniu celów. Proponowano, aby w skład zjazdu wchodził członkowie byłej Komisji Krajowej (20%), członkowie TKK oraz zarządów regionalnych (20%) i członkowie szerszych środowisk oraz grup pozostających w podziemiu, a jednocześnie identyfikujących się z „Solidarnością” (60%). Chciano doprowadzić do spotkania obecnych podziemnych działaczy z legalnie wybranymi władzami związku podczas I Zjazdu. Więcej na ten temat znajdziemy w: A. Friszke, dz. cyt., s. 145–154.
7. Kropiwnicki w swoich wspomnieniach napisał, że spotkanie to miało miejsce w kwietniu 1985 roku, lecz wydaje się, iż jest to błąd w druku, i chodzi tu o kwiecień 1986 roku, kiedy to Słowik wrócił z wizyty na zachodzie, którą odbył w czasie między grudniem 1985 roku a marcem 1986 roku. Po przyjeździe do Łodzi, prawdopodobnie w kwietniu 1986 roku, Słowik wziął udział we wspomnianym spotkaniu. Por. J. Kropiwnicki, dz. cyt., s. 77–78. Zob. też L. Olejnik, dz. cyt., s. 390. Konflikt w łonie łódzkiej „S” przeniósł się również w obszar działalności duszpasterstwa ludzi pracy: Palka wraz ze Słowikiem i Kropiwnickim, spotykali się u ks. Józefa Belniaka, natomiast członkowie RKW u o. Stefana Miecznikowskiego – rozmowa przeprowadzona z L. Chlebowskim w dniu 14 IX 2005 roku.
8. *Prezydium ZR Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność”*, „Arka”, październik 1986, wyd. specjalne, s. 1; J. Kropiwnicki, dz. cyt., s. 79–80; J. Holzer, K. Leski, „Solidarność w podziemiu”, Łódź 1990, s. 118; ZOD ZR NSZZ „Solidarność” ZŁ, brak sygn., *Sprawozdanie z działalności [Zarządu Regionalnego...]*, s. 15; Zob. też L. Olejnik, dz. cyt., s. 393–396.

9. Konflikt w łonie łódzkiego związku ciągnął się od sierpnia 1980 roku W sporze tym brali udział, z jednej strony ludzie związani ze środowiskiem KOR-u, z drugiej strony działacze związkowi o orientacji prawicowej, związani bardziej z ROPCIO.
10. Zob. Por. *Oświadczenie RKW*, „Głos Łodzi”, wyd. specjalne, IX 1988, s. 2. Zob. też *Spotkanie z J. Dłużniewskim*, „Solidarność Walcząca”, nr 89–90, 10 XII 1987, s. 13; J. Borzy, A. Krass, *Trzy problemy łódzkiej „Solidarności”*, *Tamże*, nr 86, 28 X 1987, s. 2–3.
11. *Rozmowa z „Piotrem” Przewodniczącym MK „S” ZŁ*, „Solidarność Walcząca”, nr 75, 17 II 1987, s. 1–2.
12. *Kampania wyborcza dobiega końca*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 21, 29 V 1981, s. 1.
13. *Z prac Grupy Roboczej KK*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 3, grudzień 1987, s. 3.
14. *Czy łódzki problem?*, „Solidarność Walcząca”, nr 91–92, 16 II 1988, s. 5; J. Holzer, K. Leski, dz. cyt., s. 134.
15. *Co słyhać w związku – mówi J. Kropiwnicki*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 4, styczeń 1988, s. 1–2.
16. *Zwołać KK*, „Głos Łodzi”, nr 51, październik 1987, s. 4.
17. *W interesie „Solidarności”?*, „Solidarność Walcząca”, nr 86, 28 X 1987, s. 1.
18. *Tamże*, s. 135–136; *Komunikat*, „Głos Łodzi”, nr 52, listopad 1987, s. 4.
19. *Komunikat GR KK NSZZ „S”*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 5, luty 1988, s. 1. Zob. też J. Holzer, K. Leski, dz. cyt., s. 142.
20. *List A. Słowika do L. Wałęsy*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 5, luty 1988, s. 1.
21. *Komunikat*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 6, marzec 1988, s. 1.
22. J. Holzer, K. Leski, dz. cyt., s. 143.
23. *Oświadczenie członków ZR NSZZ „Solidarność”*, „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, nr 11, wrzesień 1988, s. 2; ZOD ZR NSZZ „Solidarność” ZŁ, brak sygn., *Sprawozdanie z działalności [Zarządu Regionalnego...]*, s. 18. Zob. też L. Olejnik, dz. cyt., s. 396–397.
24. W Biurze ZR pracowali m.in. A. Maciaszczyk, M. Maciaszczyk, N. Cichowska, J. Lepa, J. Skalski, J. Roźniata, S. Hadrowicz, S. Pużyński, S. Kozłowska oraz K. Frączak. Zob. Por. J. Kropiwnicki, *Grzegorz Palka współzałożyciel...*, s. 80 i 83–82.
25. M. Dehnel-Szyc, J. Stachura, *Gry polityczne. Orientacje na dziś*, Warszawa 1991, s. 34–36. Zob. też J. Holzer, K. Leski, dz. cyt., s. 168.
26. J. Holzer, K. Leski, dz. cyt., s. 169–170.
27. *Tamże*, s. 170–171.
28. *Polska 1986–1989: koniec systemu: materiały międzynarodowej konferencji, Miedzeszyn, 21–23 października 1999*, t. 2, Dyskusja, pod. red. A. Paczkowski, Warszawa 2002, s. 80.
29. *List Andrzeja Słowika do Władysława Findeisena z 12 lutego 1989 roku dotyczący składu reprezentacji strony solidarnościowej na obrady Okrągłego Stołu, Łódź, 12 lutego 1989 roku* [w:] *Polska 1986–1989: koniec...*, t. 3, Dokumenty, pod red. A. Dudek, A. Friszke, Warszawa 2002, s. 190–191.
30. Międzyzakładowy Komitet Organizacyjny (MKO) powstał pod koniec września 1988 roku. W składzie MKO znalazło się 13 działających zakładowych organizacji Związku, które uznawały zwierzchnictwo RKW. Organem prasowym był biuletyn „Głos Solidarności”. W Prezydium MKO znalazły się takie osoby, jak: Barbara Filipek, Paweł Lipski, Józef Pólkowski, Aleksander Staniak i Wojciech Tokarczyk. Przed rozwiązaniem, MKO obejmowało 67 struktur zakładowych oraz 4 międzyzakładowe. Zob. Por. L. Olejnik, dz. cyt., s. 397.

31. *Wałęsa w Łodzi*, „Solidarność Walcząca”, nr 104, 12 III 1989, s. 2.
32. S. Niesiołowski, *Lech Wałęsa w Łodzi*, „Arka”, luty–marzec 1989, s. 2.
33. *Lech Wałęsa na wiecu Łódzkiej „Solidarności”*, „Głos Łodzi”, nr 67, marzec 1989, s. 2.
34. *Tamże*; S. Niesiołowski, dz. cyt., s. 2.
35. *Oświadczenie o. Stanisława Miecznikowskiego*, „Arka”, kwiecień 1989, s. 4.
36. Do Prezydium weszli także Wiesław Łukomski, Edward Olszewski, Szczepan Kędział, Piotr Mater, Aleksander Staniak, Bogdan Fidyk, Mirosława Karolak. Wiceprzewodniczącymi zostali Mater i Fidyk, sekretarzem i zarazem p.o. rzecznika prasowego P. Lipski. Zob. Por. L. Olejnik, dz. cyt., s. 398–399.
37. Apel podpisali: G. Durski, M. Gabryś, S. Jaworski, M. Jurczyk, Z. Kokot, M. Korkus, W. Kowalczyk, J. Kropiwnicki, W. Łęczyski, M. Łukaniuk, E. Matyjas, E. Mizikowski, C. Miżejewski, Z. Mroziński, G. Palka, D. Podrzycki, J. Rulewski, A. Stowik, roku Szeremietiew, S. Wądołowski, G. Wendt, K. Wolf, roku Wyczachowski. Zob. Por. M. Dehnel–Szyk, J. Stachura, dz. cyt., s. 52–53.
38. „Porozumienie” zakończyło swą działalność dopiero 10 lutego 1990 roku, gdy na spotkaniu w Szczecinie powołano odrębny związek: NSZZ „Solidarność 80”. *Tamże*, s. 47–48 oraz J. Kropiwnicki, *Grzegorz Palka – współzałożyciel...*, s. 84–85.
39. ZOD ZR NSZZ „Solidarność” ZŁ, brak sygn., *Sprawozdanie z działalności Zarządu Regionu...*, s. 21–22. Głównymi animatorami „poziomek”, których oddolny ruch sięga początku 1989 roku byli: Aleksander Aniołczyk, Krzysztof Frątczak, Edward Pińkowski, Marek Zel, Stanisław Popka, Kazimierz Wódz, Bogdan Osiński, Witold Dryzner oraz Sławomir Matuszewski. Wobec konfliktu w regionie kilkunastu działaczy reprezentujących 15 TKZ-ów wystąpiło 12 maja 1989 roku z inicjatywą zjednoczenia RKO i ZR. Swoje stanowisko przedstawili Słowikowi, Kostrzewie i Wałęsie. 12 czerwca na zebraniu z udziałem Kostrzewy i Słowika powołano wspólną komisję wyborczą, która miała przeprowadzić Walne Zebranie Delegatów Regionu Ziemia Łódzka. WZD odbył się w dniu 13 stycznia 1990r. Zgłoszono trzy kandydatury na przewodniczącego Związku: A. Słowika, Janusza Tomaszewskiego (RKO) oraz Aleksandra Aniołczyka (poziomki). W czwartej turze, nad ranem 14 stycznia wygrał Słowik, który pokonał Tomaszewskiego stosunkiem głosów 215 do 210. Zob. Por. L. Olejnik, dz. cyt., s. 400–402.

Łódzkim szlakiem komunistycznych czystek

Ofiary i beneficjenci terroru

Ofiary aparatu terroru w Polsce w latach 1944–1956 według danych MSW z 1979 roku szacowano w Polsce na 243 660 osób, nie licząc tych, które stały się nimi w konsekwencji bezpośrednich akcji sowieckich. Większość z nich to ludzie niepodległościowego podziemia, ale w tym gronie znalazło się też prawie 800 komunistów. Przebieg tych zdarzeń na podstawie bardzo bogatej dokumentacji i relacji przedstawia książka Roberta Spałka *Komuniści przeciwko komunistom*.

Represje wobec wroga wewnętrznego w samej partii nazwane później odchyleniem „prawicowo-nacjonalistycznym” rozpoczęły się w 1948 roku po wyraźnych sugestjach z Moskwy dotyczących konieczności korekty kadr komunistycznych w krajach satelickich. Bolesław Bierut miał pewną swobodę w przeprowadzeniu akcji, ale nad wykonywaniem dyspozycji sowieckich czuwali pułkownicy ze Wschodu, w tym Wozniesiński, Skulbaszewski, Orechwo.

Najważniejsze decyzje zapadały w gronie Bolesława Bieruta, Jakuba Bermana i Hilarego Minca na podstawie danych z MBP i Informacji Wojskowej. Kreowali oni procesy i narzędzia tortur. Wytoczyli kierunki śledztw. Zbudowali najważniejszy z ich punktu widzenia Departament X MBP i wspólnie z jego wyższymi funkcjonariuszami utworzyli niejawną Komisję do spraw Bezpieczeństwa, w której brał udział m.in. wice-minister gen. Roman Romkowski, dyrektor płk Anatol Fejgin i ppłk Józef Światło. W roli „doradców” było kilku sowieckich oficerów: płk Jurij Nikołaszkin, płk Sigaczow, płk Sołdatienko, płk Sokołow, płk Siemon Dawidow i Michaił Biezborodow – dwaj ostatni jako współpracownicy ministra Radkiewicza.

Przyjęto, że aresztowania i śledztwa mają prowadzić w kierunku procesu i „przykładowego” skazania dwu najważniejszych postaci z kierownictwa partii, tj. Władysława Gomułki i jego bliskiego współpracownika Mariana Spychalskiego. Wielu z bohaterów omawianej publikacji przewinęło się albo też na dłużej związało z Łodzią, która niemal od początków XX wieku jawić się mogła jako podatny grunt dla spiskowców, ale też dla rewolucjonistów w różnych odmianach. Sprzyjała temu dynamika rozwoju ludności związana z przemysłem włókienniczym, duża liczba ludności mieszanej narodowościowo, radykalizacja nastrojów wśród nauczycielstwa, ale także w sferze kultury.

Wzloty i upadki Mariana Spychalskiego

Marian Spychalski był łodzianinem. Urodził się tu 6 grudnia 1906 roku w rodzinie robotniczo-chłopskiej. Już w gimnazjum zetknął się z literaturą marksistowską. Szybko opuścił rodzinny dom, rozpoczynając w 1926 roku studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Podczas studiów wstąpił do parakomunistycznej Organizacji Młodzieży Socjalistycznej „Życie”, a po ich ukończeniu w 1931 roku do Komunistycznej Partii Polski. W Wydziale Inteligenckim KPP poznał Jakuba Bermana. Jako architekt miał sporo osiągnięć, m.in. został laureatem Grand Prix na wystawie w 1937 roku w Paryżu za projekt rozbudowy Warszawy. Od 1934 roku był szefem KPP przy Stowarzyszeniu Architektów Polskich. Po rozwiązaniu KPP przeniósł swoje działania do Klubu Demokratycznego.

Paradoksalnie późniejszy przywódca Gwardii Ludowej w ogóle nie wziął udziału w kampanii wrześniowej jako niezdolny do służby wojskowej z kategorią „C”. Do czasu rozpoczęcia wojny niemiecko-sowieckiej jego aktywność sprowadzała się do dyskusji w wąskich grupach, nasłuchów radiowych itp. Później wydawał gazetkę „Biuletyn Radiowy” – pierwszą komunistyczną w czasie okupacji niemieckiej. Wsparciem dla gazety stała się nadająca z Moskwy polskojęzyczna rozgłośnia im. Tadeusza Kościuszki. Sam Spychalski, używający pseudonimu „Marian”, dążył do scalenia grup komunistycznych i doprowadził do powstania Związku Walki Wyzwoleńczej. Chciał prowadzić walkę z faszyzmem pod hasłem „o wolność i niepodległość Polski”, ale część komunistów opowiadała się za szybką dyktaturą proletariatu i przyłączeniem Polski do ZSRR.

ZWW nie mógł powstać bez zgody Moskwy i od początku miał swoich kontrolerów. Pierwszym był Antoni Nizioł z dawnej KPP. W tym okresie, tj. jesienią 1941 roku, Spychalski spotkał się z Alfredem Jaroszewiczem, jednym z bohaterów późniejszego sfinansowanego przez ubeków procesu, który po raz pierwszy przekazał mu informacje z terenu Polskiego Państwa Podziemnego. Niewiele później po przybyciu grupy komunistów z Moskwy sekretarz KC PPR Marcei Nowotko wprowadził go do PPR, by mógł wkrótce zostać szefem Sztabu Głównego organizowanej Gwardii Ludowej. Spychalski więc bez żadnej wiedzy i doświadczenia wojskowego został przywódcą komunistycznej partyzantki. Faktycznym dowódcą GL był co prawda Stanisław Mołojec, który był zarówno żołnierzem, jak i członkiem kierownictwa partii. Spychalski zajął się sprawami organizacyjno-technicznymi i prowadził szkolenia, nadzorował biuletyn „Gwardzista”, a po konflikcie z Mołojcem odsunięto go na krótko, aby niedługo wrócił do sztabu jako zastępca szefa. Jego najważniejsze zadania dotyczyły Wydziału Informacji. Spychalski miał bezpośredni nadzór sowiecki i łącznika z NKWD. Priorytetem było dla wydziału zdobywanie informacji, inwigilacja działań Polskiego Państwa Podziemnego i pozyskiwanie danych, które mogłyby posłużyć do działalności antyniemieckiej, przy czym często w raportach przypisywano sobie AK-owskie dokonania. Dzięki umacnianiu kariery poprzez wojsko Spychalski

zyskiwał kolejne stopnie, a wraz z nimi zaufanie Moskwy. Z tego powodu mógł wziąć udział w powoływaniu fasady władzy ustawodawczej, czyli Krajowej Rady Narodowej. Dekretem z 1 stycznia 1944 roku KRN obwieściła szumnie powstanie Armii Ludowej i funkcję Spychalskiego przemianowano na szefa Oddziału II Informacyjnego Sztabu Głównego Armii Ludowej. Na początku 1944 roku awansował także do kierownictwa KC PPR i wkrótce na czele delegacji pojechał do Moskwy, kilkakrotnie spotkał się ze Stalinem. Po połączeniu Armii Polskiej w ZSRR z Armią Ludową – w ten sposób powstało Wojsko Polskie, zwane później ludowym – został szefem jego Sztabu Głównego. W wojsku w ciągu niespełna roku awansował od pułkownika do generała dywizji. Od marca 1945 roku był zastępcą dowódcy WP Michała Żymierskiego „Roli”, a wkrótce wiceministrem obrony narodowej. Sam nadzorował kontrwywiad. Od 1945 roku był także członkiem Biura Politycznego PPR. W 1947 roku został posłem Sejmu Ustawodawczego. W 1948 był już w KC i Biurze Politycznym pojednoczeniowej PZPR, i to była już krawędź przepaści.

Wtedy do odstrzału poszli jego wojenni i przedwojenni współpracownicy. Pierwsze śledztwo dotyczyło „Dwójkarzy”, tj. Włodzimierza Lechowicza i Alfreda Jaroszewicza, które pociągnęło za sobą całą listę dalszych aresztowań. Dwaj agenci w podwójnej konspiracji, tj. w AK i GL, przekazywali Spychalskiemu istotne dane o działaniach całego Państwa Podziemnego. Najbardziej ciemną postacią wśród agentów Spychalskiego był powiązany bezpośrednio z NKWD Bogusław Hryniewicz, oskarżony później przez swych zwierzchników o zdradę. Był wcześniej w KPP, współpracę z NKWD podjął w lipcu 1940 roku – zbierał informacje o polskim podziemiu niepodległościowym. Potem przeniknął do organizacji „Miecz i Pług” i wkrótce wszedł do jego kierownictwa, uzyskując dostęp do ważnych informacji wywiadowczych, m.in. rozmieszczenia wojsk niemieckich itd., doprowadził do rozstrzelania przywódców tej organizacji. W 1943 roku skontaktował się ze Spychalskim, oferując mu przekazywanie informacji wywiadowczych ważnych dla polskich komunistów. Spychalski zataił przed swoimi towarzyszami z GL i PPR swoją współpracę z Hryniewiczem. Ten przyznał, że nawiązuje współpracę z tajną policją niemiecką, miał też kontakty w Abwehrze, co miało służyć ochronie komunistów. Spychalski akceptował kontakty z oficerami Gestapo i sam przygotowywał nieistotne informacje o komunistach, by uwiarygodnić wobec Niemców Hryniewicza. Do najbardziej znanych należała akcja Hryniewicza polegająca na wejściu do współpracy z Wacławem Kupeckim, pracownikiem Wydziału Bezpieczeństwa Okręgowej Delegatury Rządu Warszawa-miasto. Celem było przejęcie od niego całego archiwum wywiadu antykomunistycznego. Hryniewicz uzyskał zgodę na dokonanie zamachu na Kupeckiego, kiedy przekonał Spychalskiego, że są tam także materiały dotyczące bezpośrednio „Mariana”. Pierwotnie zamierzali dokonać zamachu rękami Gestapo, ale wobec małego zainteresowania w rezultacie morderstwa (zginęło prócz Kupeckiego sześć osób) dokonała grupa, w której byli dwaj komuniści z AL. i tylko jeden gestapowiec. Ostatecznie nastąpił podział zabranych dokumentów: część

dla Gestapo, część dla komunistów (otrzymał je Spychalski, z których część wywiózł ze sobą w 1944 roku do Moskwy).

Kolejną hańbiącą działalnością Spychalskiego była tak zwana akcja dezinformacji przeprowadzona także przy udziale Hryniewiczza. Sporządzono listę AK-owców, dopisując im jakieś rzekome funkcje pełnione w PPR czy GL, i przekazano ją Gestapo. Denuncjacja poskutkowała aresztowaniami pod wskazanymi adresami, ale przy okazji Gestapo zlikwidowało również drukarnię GL, która mieściła się w sąsiedztwie drukarni AK. Przestraszony biegiem spraw Spychalski poszedł poinformować Gomułkę o zaistniałej sytuacji. Ten zakazał mu kolejnych tego typu działań. Wiadomo jednak, że list „wystawionych na odstrzał” rękoma Gestapo było więcej. Spychalski przekazywał Hryniewiczowi dane kilkuset osób, z których ten agent wybierał wedle własnego uznania i przekazywał Niemcom.

Po wojnie – gdy Spychalski był niemal u szczytu kariery – Bierut, Berman i Romkowski utworzyli specjalną komisję, która w zamierzeniu Bieruta miała doprowadzić Spychalskiego do więzienia. Kiedy podjęto decyzję o aresztowaniu Lechowicza i Jaroszewicza, ten zorientował się, do czego zmierza komisja, to on bowiem wprowadził obu do komunistycznych struktur. Ratując skórę, natychmiast się ich wyparł jako dobrych współpracowników, określając ich mianem przestępców. Rzucił też cień podejrzeń na kilka innych osób. O tych rozmowach ze Spychalskim sowiecki ambasador w Warszawie na bieżąco informował Stalina. Był potrzebny jeszcze do przeprowadzenia ataku na Gomułkę, z którym blisko przez lata współpracował, a który był głównym celem rozprawy.

Spychalskiego aresztowano zaraz po tym, jak zdążył złożyć samokrytykę. Stanowił dobry materiał na więźnia, uznano bowiem, że jest słabego charakteru i łatwo będzie można wydobyć od niego pożądane zeznania. W tym czasie było już w tej sprawie aresztowanych ponad 100 osób. Z opaską zasłaniającą oczy przewieziono go do Miedzeszyna. Miało to dodatkowo dezorientować więźnia. Dopiero po aresztowaniu przystąpiono do procedur formalnych (Spychalski był przecież posłem). Z miedzyszyńskiej piwnicy trafił później do więzienia na Mokotowie. Z sześciu lat pozbawienia wolności dopiero ostatnie dwa miały jakieś postawy formalno-prawne w postaci postanowienia o zastosowaniu aresztu tymczasowego.

Józef Spychalski – cichociemny

Starszy brat Mariana Spychalskiego – Józef, który w trakcie śledztwa już nie żył, stanowił ważny pretekst przy formowaniu aktu oskarżenia.

Łódzianin Józef Spychalski to piękna postać. Ten dyplomowany przedwojenny oficer jeszcze w 1915 roku wstąpił do POW, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, był wielokrotnie odznaczany, w kampanii wrześniowej dowodził Samodzielnym Batalionem Stołecznym miasta Warszawy. Po kapitulacji organizował w Okręgu Lubelskim Związek Walki Zbrojnej. W październiku 1940 roku przejął dowódz-

two ZWZ (w tym obszary okupowane przez Związek Sowiecki: wileńskie, białostockie, brzeskie) i był więziony przez NKWD na przełomie lat 1940–1941. Po zwolnieniu z Łubianki trafił do Sztabu Głównego Armii Polskiej, gdzie szkolił żołnierzy. Potem znalazł się w Londynie, gdzie był do wyłącznej dyspozycji naczelnego wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego. Jako oficer do zadań specjalnych został zrzucony do Polski wraz z innymi cichociemnymi. Jego spotkanie z bratem komunistą w lokalu AK, wykryte przez kontrwywiad organizacji, uniemożliwiło mu wypełnienie misji. Pracował jednak w AK-owskiej konspiracji. Aresztowany przez Gestapo w marcu 1944 roku, został przewieziony do obozu Gross-Rosen, a następnie do Konzentration-lager Sachsenhausen. Tam najprawdopodobniej rozstrzelano go w sierpniu 1944 roku.

To konspiracyjne spotkanie braci z przeciwnych obozów politycznych posłużyło do rozwijania oskarżeń do tego stopnia, że płk Antoni Skulbaszewski złożył wniosek o przekazanie sprawy Spychalskiego organom informacji wojskowej, co oznaczało oddanie śledztwa Sowiecom. Tego przestraszyli się Bierut i Berman, gdyż straciliby kontrolę nad procesem, który dla nich samych mógłby się okazać niebezpieczny. Śledztwo pozostało więc w gestii Biura Specjalnego.

Przypadek Bieńkowskiego

Bliskim współpracownikiem Spychalskiego był rodowity Łódzianin Władysław Bieńkowski. Obaj byli rówieśnikami i chodzili do tego samego gimnazjum matematyczno-przyrodniczego w Łodzi, a potem wspólnie poszli tą samą komunistyczną drogą. Prawdopodobnie to Spychalski przyjmował do PPR Bieńkowskiego, który później pozostawał w bliskim zapleczu politycznym Gomułki. Bieńkowski był powstańcem warszawskim, redagował pisma „Głos Warszawy” i „Trybunę Robotniczą”. Po wojnie został wiceministrem oświaty, potem kierownikiem Wydziału Propagandy PPR, następnie członkiem sekretariatu KC, ale zorientowawszy się w słabnącej pozycji swoich protektorów, próbował odciąć się od nich. Nie pomogło to w jego dalszych losach, był bowiem potrzebny jako świadek oskarżający Spychalskiego. Na słynnym plenum partyjnym w 1948 roku został zaatakowany za odchylenie „prawicowo-nacjonalistyczne” i odwołany ze stanowiska partyjnego. Później już jako dyrektora Biblioteki Narodowej UB w 1950 roku zaczął go na dobre rozpracowywać, ale ostatecznie go nie aresztowano. Śledczym zależało na wykorzystaniu jego kontaktów ze Spychalskim, a więc od gimnazjum do matury. Stawiał się na przesłuchania, składał samokrytyki i dokładne relacje ze swoich prywatnych rozmów z towarzyszami oskarżanymi o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. Przez dwa lata miał poczucie, że w każdej chwili może nie wrócić do domu. Okazał się jednak dla przygotowywanego procesu mało przydatny.

Przypadek Zenona Kliszki

Gomułce i Spychalskiemu UB próbowało dopisać do aktu oskarżenia śmierć Marcelego Nowotki, Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej, zrzuconych przez Moskwę do organizo-

wania – za aprobatą Stalina – PPR i Gwardii Ludowej. Nowotko, który miał w życiorysie także dwa łódzkie epizody – był tu w latach 20. dwukrotnie sekretarzem okręgowego KPP. Tu też stanął na czele partii i spotkał się z Gomułką. Później już w Warszawie Gomułka nie dotarł na spotkanie, podczas którego Gestapo aresztowało Findera i Fornalską. Nowotko natomiast został zamordowany w wyniku porachunków wewnętrznych w PPR. Wycofano się więc w końcu z prowadzenia śledztwa w tym kierunku.

Gomułka miał także swoje związki z Łodzią, niezbyt dla niego fortunne. Od czerwca 1932 roku mieszkał tu, prowadząc działalność komunistyczną. Podczas spotkania konspiracyjnego na Młynku w końcu sierpnia tamtego roku został postrzelony przez policjanta w nogę, trafił do szpitala, później na ławę oskarżonych, gdzie otrzymał czteroletni wyrok więzienia. W czasie przerwy w odbywaniu kary ze względu na stan zdrowia uciekł do Moskwy. Po powrocie ukrywał się, składał apelację, trafił do więzień, dokszałcał się. Po wybuchu wojny znalazł się najpierw do Łodzi, później jednak pomaszzerował na wschód.

Ściśle współpracujący z Gomułką był również łodzianin Zenon Kliszko. Pochodził z rodziny robotniczej, wcześniej musiał zacząć pracować. Dokszałcał się w wieczorowych gimnazjach, gdzie jeden z nauczycieli zainteresował go literaturą komunistyczną. W 1929 roku zdał maturę i eksternistycznie rozpoczął studia prawnicze na UW. W 1931 roku wstąpił w Łodzi do KPP. W następnym roku znalazł się w Wydziale Propagandowym partii i został redaktorem „Kroniki Dwutygodniowej”. Pismo zostało zamknięte przez władze jesienią 1933 roku, a Kliszko trafił do aresztu. Mimo wyroku szybko odzyskał wolność. Do wojny wędrował pomiędzy Łodzią a Warszawą. Potem uciekał na wschód i we Lwowie poznał Bieńkowskiego. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej wrócił do Warszawy, gdzie poznał Spychalskiego, a potem Gomułkę. Cały czas pracował w komunistycznej propagandzie. Od pierwszych dni związał się z PPR i choć jego stanowisko nie było początkowo eksponowane, to wpływy i kontakty wśród komunistów miał niezwykle wysokie.

Po ewakuacji Gomułki i Bieruta na tereny opanowywane przez Armię Czerwoną Kliszko został pełnomocnikiem KRN. Powstanie warszawskie spędził w Warszawie, wszedł w skład dowództwa AL i kierował pracami partyjnymi, a tuż przed kapitulacją przedostał się na Pragę i dalej do Lublina, gdzie działało już Biuro Polityczne KC PPR. Dzięki Gomułce został szefem Wydziału Personalnego KC PPR. Jego pozycja załamała się w 1948 roku wraz z upadkiem protektorów. Po przesłuchaniach partyjnych został zdegradowany za brak czujności. Zwolniono go z ministerialnej funkcji i usunięto z partii. Na życie zarabiał jako kierownik w wydawnictwie Książka i Wiedza. Po kilku wcześniejszych przesłuchaniach aresztowano go w marcu 1953 roku. Przesłuchania dotyczyły najpierw Gomułki, później Spychalskiego. W mokotowskim więzieniu popadał w ostre stany nerwowe, dostawał spazmów, dlatego w grudniu 1953 roku zwolniono go z więzienia ze względu na stan zdrowia. Pracował w Centralnym Zarządzie Księgarstwa, w PWN, a w maju 1954 roku oddano mu legitymację partyjną. I znów znalazł się na

linii wzrostu. W sierpniu 1956 roku został wiceministrem sprawiedliwości, od lutego 1957 roku przewodniczącym koła poselskiego PZPR i wicemarszałkiem Sejmu, od maja sekretarzem KC. W marcu 1959 roku był już członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Faktycznie był drugim po Gomułce człowiekiem w państwie. W grudniu 1970 roku jego decyzja o zablokowaniu stoczni w Gdyni przyczyniła się do masakry na Wybrzeżu.

Przypadek Ignacego Loga-Sowińskiego

Drugi po Kliszce najbliższy współpracownik Gomułki także wiele lat spędził w Łodzi, choć urodził się na Rugii. To Ignacy Loga-Sowiński. Jako kilkulatek zamieszkał z rodziną w Łodzi. Już jako szesnastolatek komunizował, a wkrótce został członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Polski, a od 1934 roku Komunistycznej Partii Polski. Przez pewien czas był więziony za działalność komunistyczną. Po wyjściu trafił do partyjnej propagandy. Działał w dzielnicach Śródmieście i Górna, w 1937 roku zaś został sekretarzem łódzkiego KZMP. Wybuch wojny zastał go w więzieniu, dokąd trafił jako szef okręgu KPP „Łódź Podmiejska”. W więzieniu też był szefem komuny więziennej. Przez chwilę walczył w obronie Warszawy, a po powrocie do Łodzi wraz z innymi komunistami i współwięźniami (m.in. Mieczysławem Moczarem) postanowił wyruszyć do Białegostoku. Stamtąd jeździł do Łodzi jako agent sowieckiego wywiadu. Wojna niemiecko-sowiecka zastała jego i Moczara (także agenta Armii Czerwonej) w Łodzi. Organizowali grupę, która szybko przystąpiła do PPR. Został sekretarzem komitetu okręgowego w Łodzi, a później szefem wywiadu cywilnego. Loga awansował, wszedł do Sztabu Głównego GL, potem AL, a po śmierci Findera i Fornalskiej był już członkiem KC PPR.

Od lutego 1945 roku był I Sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego, później Komitetu Łódzkiego PPR, będąc zarazem członkiem KC. W 1948 roku zaczął się proces jego degradacji. Mimo podsłuchów nie znaleziono powodów do aresztowania. Sprawa, w której rozpracowywano Loga-Sowińskiego, była prowadzona przez Wydział I Departamentu X MBP pod kryptonimem „Bagno” i dotyczyła komunistów z Łodzi. Łącznie objęła ona około 30 osób.

Generalnie można stwierdzić, że związani z Łodzią komuniści pierwszego szeregu wyszli z opresji pod nazwą „odchylenia pravicowo-nacjonalistycznego” obronną ręką, choć każde aresztowanie, degradację, przesłuchanie, konieczność samokrytyki mogli odbierać w kategoriach osobistych jako wstrząs. W porównaniu z kaźnią i torturami dokonywanymi w tych sprawach na innych, ta grupa odsunęta czasowo od władzy po 1956 roku aż do 1970 roku poczynała sobie śmiało z nowym impetem i nimbem męczeństwa. I nawet ci aresztowani odnaleźli swoje miejsca w hierarchii władzy ludowej, otrzymali później swoje synekury.

Okrutny los „mniejszych” towarzyszy

Inaczej rzecz się miała z gorliwymi komunistami, którzy nie odgrywali samodzielnej roli. Tym „mniejszym” współtowarzyszom nie szczędzono tortur i upokorzeń. Byli wśród nich

także łodzianie. Halina Siedlik – łączniczka, sama z komunistycznej rodziny, w czasie okupacji, którą spędzała w Łodzi, poznała Ignacego Logę-Sowińskiego i Mieczysława Moczara, zaangażowała się we współpracę z PPR, zarówno przy prasie partyjnej, jak i w pomaganiu oddziałów GL. Pomagała w ucieczce dwóch jeńców angielskich i musiała wielokrotnie zmienić miejsce zamieszkania. Z polecenia Spychalskiego została sekretarką Jaroszewicza. Później więc oskarżono ją o współpracę z „dwójkarzami”. Po kilku miesiącach śledztwa bez efektów, podczas których Siedlik prezentowała się jako wzorcowa komunistka, pierwszy uderzył ją szef UB Różański. Potem pomagający go oficerowie wybili jej zęby, powyrywali kępy włosów, bili, kopali, zaczęła przyznawać się więc do wszystkiego, nawet współpracy z Gestapo. Gdy śledczy podczas przesłuchania niemal jej nie zabił, odstąpiono od tortur, ale jej stan i wygląd nie pozwalał wypuścić jej ani pozostawić bez oskarżenia. Miała być także bardzo ważnym świadkiem. Po umorzeniu jej sprawy w lipcu 1953 roku wyszła na wolność. Zrealizowała swoje odważne postanowienie i złożyła skargę do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej na sadystyczne metody pracy Różańskiego i z satysfakcją w grudniu 1955 roku stanęła jako główny świadek jego oskarżenia.

Władysław Wijato był inwalidą. Podczas wojny wstąpił do GL i działał w dziale gospodarczym. Po wojnie w Łodzi dzięki Spychalskiemu trafił do wojska i został tu w 1946 roku szefem Wydziału Finansowego Wojskowego Okręgu w stopniu majora. Jesienią 1948 roku został aresztowany podczas pobytu w sanatorium w Busku. Trafił do więzienia na Rakowieckiej. Od pierwszego przesłuchania, które prowadził jeden z najbardziej bestialskich śledczych, kpt. Eugeniusz Chimczak, został poddany okrutnym torturom fizycznym. W sierpniu 1953 roku postępowanie umorzono i został uwolniony.

Antonina Lechtman była rodowitą łodzianką urodzoną w 1918 roku, która już w czasach szkolnych zaangażowała się w działalność młodzieżówki komunistycznej. Potem wyemigrowała do Palestyny, gdzie wyszła za mąż za komunistę. Oboje zostali aresztowani przez Brytyjczyków, później deportowani do Europy. Zamieszkali we Francji, gdzie urodziła dwójkę dzieci. Na przełomie lat 1944/1945 była szefową misji zorganizowanej przez Noela Fielda, która za subsydia PCK organizowała pomoc szpitalną, m.in. dla polskich uchodźców. W drugiej połowie 1946 roku Lechtman zaczęła w Polsce organizować szpital dla górników. Odwiedził ją wtedy Noel z grupą amerykańskich współpracowników i wsparciem szkoleniowo-finansowym. Noel chciał nawet osiedlić się w Polsce, ale wtedy Lechtman jako lojalna komunistka nabrała podejrzeń i postanowiła podzielić się z partią swoimi wątpliwościami. W lipcu 1949 roku aresztowano ją pod zarzutem szpiegostwa. Była bita, kopana, maltretowana, wyrywano jej włosy, uniemożliwiano sen. Dzieci trafiły do domu dziecka. Wyszła na wolność w październiku 1954 roku, ale ze względów zdrowotnych miała kłopoty z pracą. Dostała mieszkanie i nieregularne wsparcia finansowe od władz. W 1968 roku wyemigrowała do Izraela.

Z Łodzią związany był również trockista Leon Gecow. Urodził się w 1918 roku w Zduńskiej Woli. Jego ojciec był dyrektorem fabryki włókienniczej w Łodzi. W 1930 roku należał do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Po krótkich aresztowaniach wyjechał za granicę i w Szwajcarii zetknął się z trockistami i ich krytycznym stosunkiem do Stalina. W 1936 roku wrócił do Łodzi z dyplomem lekarskim. Od 1938 roku współpracował z łódzkimi trockistami i grupą „Pod Prąd”. Podczas wojny przebywał w ZSRR, skąd wrócił do Polski z 2 Armią Ludowego Wojska Polskiego. Pracował w Ministerstwie Obrony Narodowej w Departamencie Służby Zdrowia, a potem został pełnomocnikiem do spraw Polskiego Czerwonego Krzyża. Został aresztowany w lipcu 1949 roku. Był torturowany i bity w śledztwie, usiłował popełnić samobójstwo. W tajnym procesie otrzymał wyrok 15 lat więzienia. W maju 1952 roku zmarł w więzieniu na gruźlicę. Represje spotkały także jego żonę Annę Gecow. Była córką właściciela hurtowni w Łodzi, po ukończeniu łódzkiego gimnazjum wyjechała na studia do Wiednia. Od 1931 roku należała do KPP. W czasie okupacji przeszła przez getto, po wojnie odnalazła męża. Aresztowano ją w lipcu 1949 roku. Najpierw ochoczo składała zeznania, wierząc, że pomaga w ważnym śledztwie. Później została poddana okrutnym torturom. W lipcu 1953 roku skazano ją na sześć lat więzienia, wyszła w 1954 roku, uniewinniona przez Sąd Najwyższy.

Oprawcy

Pośród oprawców z najściślejszego kręgu przesłuchujących, prowadzących śledztwa, budujących koncepcje dla aktów oskarżenia w zasadzie nie ma łódzian. Być może była to świadoma decyzja doboru kadr. Gdy jednak przyjrzeć się bliżej największym okrutnikom, to w połowie przypadków pojawia się jeden i ten sam wątek łódzki z lat 1945–47 – kursy i szkolenia przebyte w Centralnej Szkole Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, której szefem był Mieczysław Broniatowski, skierowany do tej pracy przez ministra Radkiewicza. Przeszli je m.in. funkcjonariusze osławionego Departamentu X: Jan Grzęda (kurs śledczy 1946), Eugeniusz Chimczak (1945), Jan Kieras (1947), Jerzy Kaskiewicz (1945), Józef Dusza (1945), Mieczysław Pietrucha (1947 kurs kierowniczy), Jerzy Kędziora (dwuletni kurs ukończony z wyróżnieniem), by wymienić tylko tych najbardziej sadystrycznych.

Nagromadzenie faktów, nieznanych dokumentów i ich interpretacji jest w książce Roberta Spałka imponujące. To lektura pouczająca i przygnębiająca zarazem.

*Małgorzata Bartyzel
dr nauk humanistycznych, publicystka*

Robert Spałek, *Komuniści przeciwko komunistom*, Warszawa 2014.

Przypominamy Gustawa Horaka

Muzyk, przedsiębiorca, społecznik

historia

Kultura muzyczna Łodzi przełomu XIX i XX wieku dalece odbiegała od poziomu artystycznego reprezentowanego przez inne miasta. Miejscowym muzykom nie brakowało jednak chęci. Zarówno profesjonalni muzycy, jak i grający dla przyjemności amatorzy angażowali się w liczne przedsięwzięcia mające na celu przybliżenie mieszkańcom polskiego Manchesteru sztuki muzycznej. Chęci nie zawsze szły jednak w parze z możliwościami finansowymi. Paradoksalnie dramatyczne, obfitujące w biedę i niepewność jutra czasy Wielkiej Wojny przyniosły ożywienie miejscowej kultury. Niemieccy okupanci, chcąc pozyskać przychylność miejscowej ludność, dawali znacznie większą swobodę na gruncie życia kulturalnego niż ta, która obowiązywała w czasach carskich.

Przełomowym momentem było utworzenie w 1915 roku przez znanego dyrygenta Tadeusza Mazurkiewicza¹ Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej (dalej: ŁOS). Ideą powołania do życia zespołu była pomoc dla pozostających bez pracy i dochodów łódzkich muzyków. Patronat nad zespołem objął znany łódzki przedsiębiorca Karol Scheibler. Była to inicjatywa o tyle interesująca, że obok starannie wykształconych muzyków w zespole grali też amatorzy.

Mimo wsparcia zarówno ze strony Scheiblera, jak i dotacji miejskich ŁOS borykała się też z licznymi problemami natury finansowej. W warunkach wojennych trudno było skompletować wszystkie niezbędne instrumenty, co w praktyce zmuszało kierownictwo zespołu do zastępowania np. harfy pianinem lub zwyczajnym wycinaniem poszczególnych partii utworów, do wykonania których brakowało instrumentów. W zespole występował m.in. kilkunastoletni Aleksander Tansman oraz Paweł Klecki. Ważną postacią w orkiestrze był też Gustaw Horak. Warto przybliżyć postać tego utalentowanego, choć dziś nieco zapomnianego muzyka.

Łódzcy baptyści

Gustaw Horak przyszedł na świat w Łodzi w 1883 roku w rodzinie czesko-niemieckich emigrantów. Jego rodzice Józef i Otylia Paulina z domu Forwerk byli właścicielami niewielkiej fabryki włókienniczej. Rodzina przeniosła się do Łodzi po upadku powstania styczniowego ze Zduńskiej Woli. W Łodzi przyszło też na świat rodzeństwo Gustawa:

Ida (ur. 1884), Lidia (ur.1881) oraz najbardziej znany członek tej rodziny, późniejszy przedsiębiorca, Adolf Gustaw (ur. 1880)². Około 1880 roku Horakowie wstąpili do Kościoła Chrześcijan Baptystów, co miało znaczny wpływ na ich dalsze losy.

Gustaw od dzieciństwa wykazywał zainteresowanie muzyką. Dobra sytuacja materialna rodziny pozwoliła na to, by mógł rozwijać swój talent. W Łodzi, niemal całkowicie pozbawionej szkolnictwa muzycznego, uczęszczał do uruchomionej w 1898 roku szkoły Tadeusza i Ignacego Hanickich, gdzie pobierał lekcje gry na wiolonczeli. Placówka ta dała też chłopcu możliwość pierwszych występów publicznych. Na jednym z nich, zorganizowanym w grudniu 1898 roku, Gustaw odegrał trio na fortepian, skrzypce i wiolonczelę J. Haydna wraz z dwojgiem innych uczniów.

W ówczesnej Łodzi brakowało jednak typowego konserwatorium muzycznego, dlatego na dalszą edukację muzyczną wyjechał do Lipska. Tam odebrał staranne wykształcenie w dwóch kierunkach – grze na wiolonczeli oraz dyrygenturze. Niewątpliwym wpływem na rozwój jego talentu mieli wybitni pedagodzy spotkani podczas studiów. Zgłębianie tajników gry na wiolonczeli zawdzięczał lekcjom u Juliusa Klengla, profesora Lipskiego Konserwatorium Muzycznego. Dyrygenturę Gustaw uczył się natomiast od równie znanego Artura Nikischa. Zdobyte w ten sposób umiejętności pozwoliły młodemu adeptowi muzyki na otrzymanie angażu w Carskiej Orkiestrze w Petersburgu. Współpraca ta nie trwała jednak długo, a Gustaw powrócił wkrótce do rodzinnego miasta, gdzie łączył odtąd aktywność muzyczną z prowadzeniem rodzinnego interesu, a także działalnością społeczną.



W 1908 roku Gustaw poślubił Bertę Otylię Wenske (ur. 1884)³, pochodzącą z rodziny znanej z zaangażowania w działalność Kościoła Baptystów. Małżeństwo doczekało się sześciorga dzieci: córek Leonie Giseli Adelheidy (ur. 1910), Hildegardy Marie (ur. 1914), Liselotty Johanny (ur. 1918), Juty Irene Sophie (ur. 1920), Rity Christy Hedwig (ur. 1920) oraz syna Heinza Gustawa Egon (ur. 1911). Berta aktywnie działała w baptystycznych organizacjach kobiecych⁴. Rodzina Horaków mieszkała w centrum Łodzi, w kamienicy przy ul. Orlej 9. Horakowie posiadali też niewielki majątek w podłódzkich Piaskowicach, gdzie chętnie spędzali miesiące letnie.

Wiolonczelista

Życie rodzinne, a także jego codzienność związana z działalnością gospodarczą sprawiły, że Gustaw nie miał możliwości rozwoju profesjonalnej kariery artystycznej. Odtąd angażował się głównie w życie muzyczne parafii Kościoła Chrześcijan Baptystów przy ul. Nawrot⁵. Tam w latach 1910–1926 prowadził ceniony w mieście chór męski Zionssaenger (Śpiewacy Syjonu). Gustaw grywał też na wiolonczeli podczas koncertów organizowanych przez parafię. W łódzkiej prasie często pojawiały się przychylnie recenzje tychże występów⁶. Okazyjnie muzyk grywał też z amatorskimi zespołami muzycznymi działającymi na terenie miasta, np. z Towarzystwem Muzycznym im. Chopina czy też z zespołem „Lutnia”⁷. Niekiedy Horak wcielał się też w rolę pedagoga podczas kursów dyrygentury organizowanych z myślą o osobach prowadzących chóry.

Dość istotnym czasem w karierze muzycznej Horaka były lata pierwszej wojny światowej. Tragiczne dla Łodzi w kwestiach gospodarczych czasy okupacji niemieckiej przyniosły bowiem pewną liberalizację życia społecznego i kulturalnego. Niewątpliwie ważnym wydarzeniem w życiu artystycznym muzyka było utworzenie wspomnianej na początku Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej (ŁOS). Do jego zadań należały zapewne oprócz kwestii czysto artystycznych także sprawy organizacyjne związane z kompletowaniem zespołu, wyposażeniem orkiestry czy też propagowaniu idei szerzenia kultury muzycznej wśród łódzian⁸. Podczas koncertów ŁOS sam grywał na wiolonczeli, a także sporadycznie dyrygował orkiestrą. W listopadzie 1915 roku Ignacy Weinstein, opiniotwórczy publicysta „Nowego Kuriera Łódzkiego”, tak scharakteryzował koncert ŁOS z udziałem Gustawa: „[...] Licznie zebrana publiczność nie szczędziła oklasków p. Al.[eksandrowi] Turnerowi i orkiestrze za świetne wywiązanie się z zadania oraz solistom, a w szczególności p. Horakowi, za przepiękne odegrane solowo wiolonczelowe w *Cavatine* serenady G-moll Reinckego [...]”⁹.

Zapewne jak część członków ŁOS posiadających inne źródła dochodów, Horak nie pobierał honorarium z tytułu tychże występów¹⁰. Niewątpliwie znacznie cenniejsze od ewentualnych tantiem były natomiast doświadczenia zdobyte w tym czasie, chociażby możliwość wspólnych występów z odwiedzającymi Łódź wirtuozami, takimi jak Egon Petri¹¹, Ebba Hjerstadt czy Michał Zadora. Możliwość występów ze wspomnianymi gwiazdami muzyki należy zaliczyć do największych osiągnięć w dorob-



ku artystycznym Horaka. Działalność muzyka w ŁOS, która dała początek Filharmonii Łódzkiej, była kontynuowana także po zakończeniu Wielkiej Wojny.

Jako ceniony w mieście muzyk Horak był zapraszany przez instytucje i lokale oferujące swoim gościom koncerty muzyczne. Latem 1915 roku miejscowa prasa donosiła o serii koncertów letnich organizowanych przez Grand Hotel w przyhotelowym ogrodzie, które przyciągały miejscowe elity. Horak wykonał tam *Serenadę D-moll* R. Volkmana¹².

Także w okresie dwudziestolecia międzywojennego ten muzyk wykazywał się aktywnością artystyczną, choć była ona ograniczona, zapewne przez innego rodzaju obowiązki. Grywał m.in. podczas wieczorów muzyki kameralnej organizowanych przez Towarzystwo Miłośników Muzyki. Jesienią 1923 roku Horak był członkiem komitetu działającego przy Orkiestrze Filharmonicznej, a ta, szukając źródeł wsparcia, urządziła loterię, której uczestnicy mogli wygrać abonamenty na „30 wielkich koncertów”¹³. Jego występy uświetniały ważne wydarzenia z życia miasta. W kwietniu 1924 roku wziął m.in. udział w koncercie zorganizowanym w kościele ewangelickim pw. św. Jana ku czci strażaków poległych podczas gaszenia poważnego pożaru w Łodzi¹⁴.

Producent tkanin

Omawiając biografię Gustawa Horaka, nie sposób pominąć jego wspomnianej wcześniej działalności na polu gospodarczym. Muzyk zaangażowany był w przedsięwzięcia związane głównie z przemysłem włókienniczym. Po śmierci ojca jako młody człowiek przez kilka lat zarządzał wspólnie z bratem Adolfem rodzinnym interesem, a mianowicie systematycznie rozwijaną fabryką włókienniczą przy ul. Borysza (ob. Piekarska) 9. Sprzyjająca

koniunktura sprawiła, że fabryka produkująca m.in. bieliznę pościelową oraz fartuchy uruchomiła filię w Warszawie. Około 1912 roku z trudnych do określenia przyczyn doszło do zerwania tejże współpracy, choć jeszcze w 1914 roku fabryka prowadzona już wyłącznie przez Adolfa nazywana była „fabryką braci Horak”. Gustaw wszedł za to w spółkę z bratem swojej żony Bertą Otylią, Herbertem Wenske¹⁵. Powstała w ten sposób firma Manufaktura G. Horak i H. Wenske, zajmująca się wyrobem tkanin bawełnianych. Fabryka ta mieściła się przy ul. Rajtera 3 (ob. Urzędnicza), a skład firmowy przy ul. Piotrkowskiej 71¹⁶. Przedsiębiorcy dzierżawili także hale fabryczne przy ul. Gdańskiej 130. Zakład posiadał też filię w pobliskim Zgierzu, przy ul. Dąbrowskiego 35. W latach 20. firma zatrudniała ok. 150 robotników. Pomyślność przedsiębiorstwa zakłócały różne zdarzenia losowe, np. kradzieże¹⁷ czy mający miejsce w 1922 roku poważny pożar, który strawił zabudowania fabryczne należące do spółki, usytuowane przy ul. Wólczańskiej 123¹⁸. O pewnych kłopotach, z jakimi borykało się przedsiębiorstwo, mógł świadczyć fakt, że Urząd Skarbowy w związku z zaleganiem przez przedsiębiorstwo z podatkami i opłatami skarbowymi nakazał w 1925 roku zlicytowanie 20 sztuk należącego do przedsiębiorstwa weluru na pałta¹⁹. Do podobnej licytacji doszło w tym samym roku w związku z zaległościami w opłacaniu składek w Kasie Chorych²⁰. Pod koniec 1925 roku w firmie „Horak i Wenske” zaczęły się też redukcje²¹. Pomimo wspomnianych problemów o ugruntowanej sytuacji przedsiębiorstwa na rynku produktów włókienniczych mógł świadczyć chociażby fakt, że na rynku pojawiały się podrabiane produkty firmy, co zmusiło jej właścicieli do zaopatrywania wszystkich sztuk materiałów w firmowe plomby.

Filantrop

Niewątpliwie Gustaw Horak nie ograniczał się jedynie do działalności artystycznej czy też prowadzenia własnego interesu. Równie ważne było jego zaangażowanie na niwie społecznej, które często związane było z życiem Kościoła, do którego należał. Był jednym z założycieli Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Baptistów. Często był delegowany na konferencje organizowane dla wyznawców tego Kościoła.

Istotnym elementem działalności społecznej Horaka była dobroczynność. Wraz z innymi łódzkimi muzykami, zwłaszcza w czasie trwania pierwszej wojny światowej, angażował się w występy na cele charytatywne. W marcu 1915 roku wraz z pianistą Tadeuszem Mazurkiewiczem oraz skrzypkiem Aleksandrem Czudnowskim wystąpili podczas koncertu na rzecz ubogich łódzkich sierot. Horak regularnie przekazywał też datki na tzw. tanie kuchnie, w których w czasie Wielkiej Wojny stołowali się najubożsi łodzianie²². Małżeństwo Horaków wspierało również finansowo rozmaite organizacje charytatywne np. Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności.

Gustaw Horak angażował się mocno w życie społeczne miasta. W 1925 roku jako powszechnie szanowany obywatel był kandydatem na członka sądu pokoju²³. Był też z nominacji członkiem działającej przy Izbie Skarbowej Komisji Szacunkowej określającej wymiar podatku dochodowego.

Emigracja

Pomimo tego zaangażowania w życie Łodzi na wielu polach w 1925 roku Gustaw Horak wraz ze szwagrem, a zarazem współnikiem zaczęli rozważać przeniesienie produkcji na tereny Rumunii, z czego jednak zrezygnowali. W 1926 roku na łamach łódzkiej prasy zaczęły pojawiać się informacje dotyczące planów przeniesienia fabryki „Horak i Wenske” do Lublinca w ówczesnej Jugosławii, gdzie rozpoczęto budowę fabryki. Niezbędne maszyny, tj. przędzalnicze, tkackie i apreturę, wysłano na miejsce 30 wagonami pociągu²⁴. Pod koniec lat 20. Horak odstąpił od spółki ze szwagrem i podjął współpracę z pabianickim przedsiębiorcą Pawłem Markgrafem²⁵. Wtedy zapadła też decyzja o przeniesieniu firmy na tereny ówczesnej Jugosławii, do Kranji, gdzie firma funkcjonowała do 1945 roku.

Gustaw opuścił rodzinne miasto wraz z żoną i dziećmi²⁶. Na obczyźnie nie angażował się już w życie artystyczne. W ślady ojca poszła natomiast jedna z jego córek, Hildegarda. W odróżnieniu od ojca poświęciła się jednak grze na fortepianie. Wśród jej muzycznych pedagogów znaleźli się m.in. Robert Teichmueller z Lipska czy Margit Varro z Budapesztu. Hilda oprócz rozwijania własnego warsztatu była też cenionym pedagogiem. Wykładała m.in. na Akademii Muzycznej w Lublanie²⁷.

W 1944 roku na świat przyszła córka Hildy, Marina. Jej ojcem był Macedończyk Konstatntin Domazetovic, zamordowany przez Gestapo zaledwie dwa tygodnie przed narodzinami córki. Marina Horak podobnie jak jej matka kontynuuje do dziś rodzinne tradycje. Jest obecnie jedną z najbardziej utytułowanych słoweńskich pianistek.

Gustaw Horak nigdy nie powrócił na stałe do rodzinnego miasta. Zmarł w 1949 roku w Bregencji. Jego żona Berta zmarła tam 10 lat później.

Gustaw Horak jest niewątpliwie jednym z najciekawszych spośród łódzkich muzyków początków XX wieku. Obecnie jednak w historii naszego miasta ten muzyk i przedsiębiorca jest postacią powszechnie zapomnianą. Wszelkie monografie dotyczące kultury muzycznej Łodzi jedynie marginalnie wspominają o jego zasługach i działalności. Warto też pokusić się o refleksję na temat nie w pełni wykorzystanego potencjału Horaka jako wirtuoza wiolonczeli. Wydaje się, że ten profesjonalnie wykształcony muzyk łączył zarówno cechy dobrze zapowiadającego się artysty, jak i typowego łódzkiego przedsiębiorcy z przełomu XIX i XX wieku. Połączenie to czyniło go postacią rozpoznawalną w rodzinnym mieście, ale zapewne ujemnie rzutowało na rozwój kariery artystycznej.

Aneta Stawiszyńska
historyk

fot. z archiwum autorki

Archiwalia (Archiwum Państwowe w Łodzi):

Akta miasta – Łódzki Wydział Statystyczny, Główny Komitet Obywatelski, Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności, Notariusz L. Kahl, Notariusz S. Jarzębski

Materiały niepublikowane:

Stammbuch der Familien Wenske, Stenzel u. Busse

Prasa codzienna:

„Deutsche Lodzer Zeitung”, „Gazeta Łódzka”, „Głos Polski”, „Głos Poranny”, „Ilustrowana Republika”, „Lodzer Freie Presse”, „Nowy Kurier Łódzki”, „Rozwój”, „Republika”

Czasopisma:

„Dziennik Zarządu miasta Łodzi”, „Scena i widownia warszawska”, „Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne”, „Przemysł i Handel”, „Studia z Historii Społeczno-Gospodarczej XIX i XX wieku”

Relacje:

Relacja Alexandra Tafernera i Mariny Horak

Literatura:

1. *35-lecie pracy T. Mazurkiewiczza*, „Scena i widownia warszawska” 1946/1947, nr 3.
2. *50 Jahre Baptistengemeinde Lodz Nawrotstr 1878–1928*, Łódź 1928.
3. Badziak K., Chylak K., Łapa M., *Łódź wielowyznaniowa. Dzieje wspólnot religijnych do 1914 r.*, Łódź 2014.
4. Błaszczyk L.T., *Dyrygenci polscy i obcy w Polsce działający w XIX i XX wieku*, Kraków 1964.
5. Cegieła J., *Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czasy*, Łódź 1996.
6. *Geschichte des Pabianicer Maenner-Gesang-Verein in der Zeit von 1888–1913*, Pabianice 1913.
7. *Encyklopedia muzyczna PWN. Część biograficzna*, Warszawa 2002.
8. Krajewska H., *Protestanci w Łodzi 1815–1914. Między edukacją a ewangelizacją*, Warszawa 2014.
9. Kunert A. K., *Rzeczpospolita walcząca. I–XII 1941. Kalendarium*, Warszawa 2002.
10. Kupsch E., *Geschichte des Baptisten in Polen von 1852–1932*, Łódź 1933.
11. *Na pamiątkę dwudziestolecia koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Pabianicach 1905–1925*, Pabianice 1926.
12. Pellowski A., *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*, Łódź 1994.
13. Stawiszyńska A., *Gospodarcza i społeczna działalność rodziny Horaków do 1945 roku*, „Studia z Historii Społeczno-Gospodarczej XIX i XX wieku” 2009, t. VI.
14. Tomaszewski H. roku, *Baptyści w Polsce w latach 1918–1958*, Warszawa 2008.

Przypisy:

1. Tadeusz Mazurkiewicz (1887–1968) – dyrygent; absolwent konserwatorium w Lipsku w klasie prof. A. Nikischa; w sezonie 1915/1916 był dyrektorem ŁOS; w 1916 roku otrzymał angaż w Teatrze Wielkim w Warszawie jako osobny dyrygent oper wagnerowskich; w latach 1923–1931 pełnił funkcję dyrektora artystycznego Opery Warszawskiej; w latach 1928–1930 poseł BBWR.
2. Adolf Gustaw Horak (ur. 1880, Łódź – zm. 1955, Bielefeld) – łódzki przedsiębiorca; w latach 20. przeniósł swoją fabrykę włókienniczą do podłódzkiej Rudy Pabianickiej; z żoną Elfiriede z d. Karin posiadał pięcioro dzieci: Adolfa jr, Jana Siegfrieda, Ruth, Ingeborgę oraz Katarzynę; oprócz działalności gospodarczej angażował się też w życie miejscowe społeczności Baptystów – był m.in. współwłaścicielem wydawnictwa religijnego „Kompas”; w 1945 roku wraz z rodziną opuścił miasto.
3. Berta Horak z d. Wenske (ur. 1884, Łódź – zm. 1959, Hratwil) – rodzicami jej byli August oraz Maria z d. Stenzel.
4. E. Kupsch, *Geschichte des Baptisten in Polen von 1852–1932*, Łódź 1932, s. 170.
5. Rodzina Horaków była aktywnie zaangażowana w sprawy tejże grupy wyznaniowej w Łodzi. Wspierała m.in. finansowo budowę obiektów kościelnych czy też włączała się w propagowanie wyznania wśród mieszkańców Łodzi.
6. W „Lodzer Freie Presse” czytamy : „Ciepło i prawdziwy wkład było czuć w występie chóru mieszanego pod kierownictwem p. Horaka [...] Pan Horak z typowym dla siebie mistrzostwem odegrał Adagio na wiolonczelę i organy z sonaty Davidoffa [...]”, „Lodzer Freie Presse”, 28 XII 1918, nr 30, s. 3.
7. A. Pellowski, *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*, Łódź 1994, s. 176; „Rozwój”, 3 IV 1913, nr 76, s. 4.
8. „Głos Poranny”, 29 V 1938, nr 146, s. 101.
9. „Nowy Kurier Łódzki”, 10 XI 1915, nr 308, s. 3.
10. Z około 60 muzyków związanych z orkiestrą wynagrodzenie otrzymywało 40 pozostających bez stałego zatrudnienia. Pozostali zrzekli się honorarium, J. Cegiełka, *Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czasy*, Łódź 1996, s. 39.
11. Egon Petri (ur. 1881, Hanower – zm. 1962, Berkley) – niemiecki pianista belgijskiego pochodzenia; od 1914 roku występował w Filharmonii warszawskiej; w latach późniejszych także w Łodzi, Poznaniu, Lwowie i Krakowie; w latach 1926–1939 na stałe osiadł w Zakopanem; w 1939 roku wyemigrował do USA; w maju 1941 roku wraz z J. Kiepurą reprezentował Polskę podczas Wiecu Wolności (Freedom Rally) w nowojorskim Madison Square Garden, podczas którego wykonał *Poloneza Chopina*; *Encyklopedia Muzyczna PWM. Część biograficzna*, Warszawa 2002, s. 74.
12. „Gazeta Łódzka”, 7 VI 1915, nr 141, s. 4.
13. „Rozwój”, 11 IX 1923, nr 247, s. 7.
14. „Republika”, 13 IV 1924, nr 103, s. 7.
15. Udziały posiadali też inni członkowie rodziny Wenske, APŁ, Notariusz L. Kahl 1925, nr rep. 2632.
16. „Przemysł i Handel”, 1920, nr 25, s. 13.
17. W 1921 roku w zgierskiej wykańczalni dwóch złodziei sterroryzowało dozorców, a następnie wyniosło kilkadziesiąt sztuk tkanin wełnianych i kamgarnu.
18. „Głos Poranny”, 14 XII 1922, nr 343, s. 3.
19. „Ilustrowana Republika”, 22 XI 1925, nr 320, s. 12.
20. „Głos Poranny”, 8 III 1925, nr 66, s. 19.

21. „Rozwój”, 30 XII 1925, nr 356, s. 9.
22. APŁ, Główny Komitet Obywatelski (dalej: GKO), sygn. 94, Wykaz tygodniowych składek na rzecz III Taniej Kuchni przy Komitecie Obywatelskim Niesienia Pomocy Biednym.
23. „Dziennik Zarządu miasta Łodzi”, 20 X 1925, nr 42, s. 4.
24. „Ilustrowana Republika”, 20 VII 1926, nr 199, s. 9.
25. Paul Markgraf – w Pabianicach przedsiębiorca zaangażowany był m.in. w działalność Pabianickiego Towarzystwa Gimnastycznego oraz Pabianicer Maenner-Gesang-Verein.
26. Rita, córka Gustawa, po kilku miesiącach powróciła jednak na pewien czas do Łodzi, by zamieszkać tu wraz z jego bratem Adolfem, gdyż brak znajomości języka uniemożliwił jej edukację w nowym miejscu zamieszkania. Relacja Mariny Horak.
27. Relacja Alexandra Tafernera z 2009 roku.

Łodzianie w Świętokrzyskich Zgrupowaniach Partyzanckich AK

Związki nie tylko symboliczne

Historia Polskiego Państwa Podziemnego połączyła Okręg Łódzki z Okręgiem Kielecko-Radomskim „Jodła” nie tylko wspólną granicą, ale także wspólną walką z okupantem niemieckim, szczególnie w okresie akcji „Burza”. Te dwa graniczące z sobą okręgi dzieliły jednak różnice położenia geograficznego i strategicznego. Okręg Łódź, którego $\frac{2}{3}$ obszaru leżało w granicach III Rzeszy, z natury rzeczy był obszarem bardzo niebezpiecznym i pełnym zagrożeń dla struktur Podziemnego Państwa Polskiego. Szczególnie dotyczyło to samej Łodzi i terenów wcielonych do Rzeszy. Natomiast położony w centrum Polski Okręg Kielecko-Radomski „Jodła” z racji swej lokalizacji oraz ukształtowania terenu (lasy i góry) był obszarem wymarzonej tak do działań dywersyjnych, jak i partyzanckich.

W tym opracowaniu, pragnę jednak zwrócić uwagę na to, co łączyło te dwa okręgi zorganizowanej konspiracji w walce o wolną Polskę, tak w okresie okupacji, jak i w ponurych czasach zniewolenia komunistycznego. Aktywny początek działalności partyzanckiej Okręgu „Jodła” to rok 1942, kiedy to Ziemia Kielecka otrząsnęła się ze straszliwego szoku, jakim było rozbięcie przez okupanta Oddziału Wydzielonego WP majora Henryka Dobrzańskiego – „Hubala”, a potem straszliwy odwet, jaki zgotowali Niemcy mieszkańcom północno-wschodnich terenów powiatu koneckiego. Okupant pokazał wtedy swoje zbrodnicze oblicze, paląc i mordując niewinnych mieszkańców wiosek, w których stacjonował oddział majora „Hubala”.

Trzej łodzianie

W tym czasie na Ziemi Świętokrzyskiej znalazła się trójka łodzian, których wpływ na powstanie Zgrupowań Partyzanckich i walkę z okupantem był decydujący. Na Ziemię Kielecką sprowadziły ich różne drogi. Ta bohaterska trójka to: por. Eugeniusz Gedymin Kaszyński – „Nurt”, cichociemny skierowany przez Komendę Główną AK na Kielecczyznę, por. Marian Janikowski – „Kmicic”, nauczyciel z Łodzi, którego wojenne losy

rzuciły w Góry Świętokrzyskie, oraz kapral Tadeusz Jencz – „Allan”, harcerz i uczeń I LO im. Kopernika w Łodzi, który z niemieckiego Litzmannstadt uciekł i zamieszkał u krewnych w Końskich. Por. „Nurt”, specjalistycznie przygotowany do taktyk dywersyjnych i partyzanckich, organizował, szkolił i prowadził w bój żołnierzy Zgrupowań jako komendant Zgrupowania nr 1. Potem zaś, po przeniesieniu na Wileńszczyznę, jako komendant tamtejszych Zgrupowań AK. Podczas Akcji „Burza” w 1944 roku pełnił obowiązki dowódcy I batalionu 2 pp Legionów, a wreszcie – aż do chwili rozwiązania pułku – dowódcy 2 pp Legionów AK.

Por. Marian Janikowski, spokojny, rozsądny oficer rezerwy, dał się poznać z najlepszej strony jako zastępca komendanta 2-go Zgrupowania „Jakuba” – „Robota” w najcięższych dla oddziału chwilach, a w szczególności po śmierci por. „Robota”.

Trzecim łodzianinem w Świętokrzyskich Zgrupowaniach był kapral Tadeusz Jencz – „Allan”, dowódca Dywersji Obwodowej, a następnie dowódca 3-go plutonu koneckiego w drugim Zgrupowaniu. Zginął śmiercią żołnierza w walce z okupantem w Rogowie pod Końskimi.

Ta trójka łodzian to wybitni żołnierze Polski Podziemnej, bez których historia działań Świętokrzyskich Zgrupowań byłaby o wiele skromniejsza.

Kiedy po rozwiązaniu Armii Krajowej w styczniu 1945 roku Polska znalazła się niespodziewanie pod twardą hegemonią wschodniego sąsiada, a właściwie następną okupacją, rozpoczęło się swoiste polowanie na AK-owców. Zaludniły się cele i kazamaty więzień tymi, którzy całą okupację walczyli z wrogiem, a których jedyną winą w oczach komunistów, było to że walczyli o Wolną Polskę.

Łódź – azyl dla AK-owców

Nowa władza pokazała wtedy swoje najgorsze oblicze. Aresztowania, tortury, wywózki, skrytobójcze i sądowe mordy na żołnierzach AK to była codzienność w tych ponurych czasach. Wtedy ja i wielu moich przyjaciół, szukając schronienia przed siepaczkami UB i NKWD, zmuszonych zostało do ucieczki. Uciekaliśmy do większych miast oraz na tzw. Ziemię Zachodnie.

Wielu z nas znalazło wtedy bezpieczny azyl w Łodzi. W tamtej szarej, siermiężnej, robotniczej Łodzi. I to biedne, zaniedbane miasto przyjęło nas, rozbitków ze Świętokrzyskich Zgrupowań AK, pod swój skromny dach. To tu tacy jak ja znaleźli schronienie, dach nad głową, możliwość studiów i miejsce dla swoich rodzin, dzieci i wnuków.

W tej już od lat „mojej Łodzi” znaleźli swój azyl żołnierze wyklęci i młodzi partyzanci Świętokrzyskich Zgrupowań, ścigani w swoich rodzinnych stronach niczym łowna zwierzyna przez komunistycznych siepaczy.

Jako jeden z ostatnich żyjących uczestników, a zarazem świadków tamtej historii pragnę w tym opracowaniu wymienić tych, których znałem z konspiracji

i służby w Świętokrzyskich Oddziałach AK. To żołnierze 3-ego plutonu (koneckiego) znajdującego się w 2-gim Zgrupowaniu „Robota”:

1. Tadeusz Barański – „Tatar”.
2. Tadeusz Błaszczak – „Lech”.
3. Tadeusz Chmielowski – „Bartek”.
4. Ryszard Korzeniowski – „Sewer” (Hubalczyk).
5. Ludmiła Stefanowska – „Poranek”.
6. Leokadia Wieczorek – „Loda”.
7. Zbigniew Wroniszewski – „Znicz” – ostatnio zamieszkały w Olsztynie.
8. Kazimierz Wroniszewski – „Konrad” – ostatnio zamieszkały w Warszawie.

Wymieniam także znanych mi osobiście żołnierzy innych Zgrupowań i Oddziałów AK:

1. Genowefa Barańska – „Wierna”.
2. Władysław Barański – „Zych”.
3. Włodzimierz Chrzęszcz – „Ryś”.
4. Barbara Ślifierz – „Baśka”.
5. Tadeusz Szczerbic „Leliwa” – NOW.
6. Zdzisław Prochowski – „Krzemień” – NOW.
7. Bolesław Wielgosiński – „Grabowski”.
8. Ryszard Wierzbowski „Kret” – Oddział NSZ „Starego”, w czasie „Burzy” 25 pułk pp AK.
9. Witold Stejskau „Azja” – także Oddział NSZ „Starego”, w czasie „Burzy” 25 pułk pp AK.

Niemal wszyscy żołnierze „Jodły”, których wymieniłem, odeszli już na „wieczną wartę”. Tylko Ludmiła Stefanowska ps. „Poranek” i autor tego niedoskonałego z natury opracowania, żyjemy jeszcze, maszerując wytrwale na „ostatni już szaniec”.

Pamięć powinna trwać

Kiedy skończyły się wreszcie czasy PRL-u, świętokrzyscy żołnierze pierwsi w Łodzi skrzyknęli się, organizując struktury Światowego Związku Żołnierzy AK Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Nasze starania sprawiły, że Rada Miejska Łodzi nadała ulicom nazwy czcące pamięć majora Jana Piwnika „Ponurego” i Eugeniusza Gedymina Kaszyńskiego „Nurta”. Jednocześnie II LO im. Gabriela Narutowicza uczciła swojego absolwenta majora Kaszyńskiego „Nurta” piękną tablicą pamiątkową umieszczoną w gmachu szkoły, a w listopadzie 2014 roku na wniosek autora tego opracowania Rada Miejska nadała Domowi Pomocy Społecznej „Dom Kombatanta” imię tego sławnego łodzianina.

Pamięć o majorze Kaszyńskim „Nurcie” ma więc oparcie w materialnych symbolach.

Przy Zarządzie Okręgu Łódź działa bardzo prężnie Środowisko „Jodła” skupiając obecnie około 30 kombatantów AK wywodzących swój żołnierski życiorys ze sławnego Okręgu „Jodła”.

Co roku wiosną (maj, czerwiec) na trasy walk Świętokrzyskich Zgrupowań udają się grupy uczniów szkół średnich, którzy wraz z nauczycielami historii zwiedzają miejsca i szlaki walk tych Zgrupowań. Warto też zauważyć, że w Łódzkim Okręgu ŚZZAK Środowisko „Jodła” wyróżnia się prężną działalnością nad utrwalaniem pamięci młodych pokoleń łodzian – żołnierzy Świętokrzyskich Zgrupowań. Przemierzając szlaki tamtych walk, młodzież łódzka spotyka się z rówieśnikami z tamtejszych szkół, dzieląc się refleksjami na temat ważnej, choć odległej dla ich pokolenia historii.

Jak tę historyczną pamięć pielęgnować? Nie do przecenienia jest tu działalność dyrektora Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 w Bodzentynie – Pana Janusza Szczygieskiego. To z jego inicjatywy odbywają się w tej zasłużonej szkole spotkania i dyskusje młodzieży łódzkiej z młodzieżą miejscową oraz dorosłymi mieszkańcami Bodzentyna. Znamienna jest otwartość i spontaniczność tych spotkań.

Wspólne losy

Kończąc to krótkie opracowanie, pragnę zwrócić uwagę na jeden, ale jakże symboliczny fakt. Otóż na naszym „Świętym Wykusie” w Górach Świętokrzyskich spoczęły sprowadzone z Anglii prochy łodzianina majora „Nurta”, a na cmentarzu łódzkim przy ul. Ogrodowej spoczął major Jerzy Stefanowski „Habdank”, syn Ziemi Kieleckiej, wybitny dowódca jednego z Oddziałów w Świętokrzyskich Zgrupowaniach.

Na Ziemi Kieleckiej na cmentarzach i żołnierskich kwaterach spoczywają żołnierze Oddziału NOW. „Lucjana” z Okręgu Łódzkiego, poległ wiosną 1944 roku w Starzechowicach, a także żołnierze sławnego 25 pp AK Ziemi Piotrkowskiej, poległ w bitwie w Białym Ługu jesienią 1944 roku.

Te mogiły łodzian na Ziemi Świętokrzyskiej i żołnierzy Okręgu „Jodła” na cmentarzach łódzkich stanowią swoisty symbol wspólnej walki żołnierzy obydwu Okręgów AK.

Wspólne akcje i walki Oddziałów partyzanckich w okresie Akcji „Burza” pułków Kieleckiego Korpusu „Jodła” i sławnego 25 pp AK Ziemi Piotrkowskiej, a także wspólne trudne losy żołnierzy Okręgu „Jodła” i Okręgu Łódź w latach komunistycznego zniewolenia to piękna, choć dramatyczna karta historii Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej.

Tadeusz Barański „Tatar”

pułk WP, Świętokrzyskie Zgrupowania Partyzanckie AK „Ponury-Nurt”

nauka

Jerzy Wasiak (1924–2012)

Więcej niż pedagog

Marek Wasiak

str. 141

Jerzy Wasiak (1924–2012)

Więcej niż pedagog



Warto przypomnieć postać Jerzego Wasiaka – łódzkiego nauczyciela, przez dziesięciolecia związanego z naszym miastem. W dziejach oświaty zapisał się jako wybitny pedagog oddany trudnej służbie osobom niesłyszącym, a także organizator i kierownik placówek kształcenia specjalnego. Z ogromnym zaangażowaniem pracował na rzecz dzieci i młodzieży głuchej, będąc ich nauczycielem, wychowawcą i powiernikiem. Przytoczone w artykule fakty i wydarzenia dotyczą spraw sprzed kilkadziesiąt lat, niektóre sprzed półwiecza. Należy jednak podkreślić, że pozostają one żywe w pamięci ich uczestników – głuchych wychowanków, dziś starszych już osób, z silnymi emocjami wspominających tamte lata. Jerzy Wasiak w ich świadomości pozostał niezapomnianym pedagogiem, przyjacielem i niekwestionowany autorytetem.

nauka

Jerzy Januariusz Wasiak urodził się 11 marca 1924 roku w Skórzewie w powiecie kutnowskim. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Kutnie. Jego edukację przerwał wybuch drugiej wojny; w czasie okupacji hitlerowskiej pracował przymusowo w niemieckim gospodarstwie rolnym. Po wojnie był uczniem gimnazjum i Liceum Pedagogicznego w Kutnie, które ukończył 1949 roku. Wówczas przeniósł się do Łodzi, zamierzał bowiem podjąć studia w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego, lecz uczelnię przeniesiono z Łodzi do Olsztyna-Kortowa.

Od 1949 roku związany był z łódzką oświatą; w tym czasie, 22 marca 1949 roku, rozpoczął pracę dydaktyczną w Szkole Podstawowej dla Dorosłych nr 5 przy ul. Wierzbowej 37/39, którą kierowała Alicja Napiórkowska (1894–1982). Współpraca z tą wybitną nauczycielką, przedwojenną łódzką radną i działaczką oświatową wywarła ogromny wpływ na osobowość i działalność młodego pedagoga. To ona – jak sam wspominał – była wzorem poświęcenia dla dzieci, zaangażowania w sprawy wychowania młodzieży oraz aktywności społecznej.

Nauczyciel dzieci głuchych

W latach 1951–52 Jerzy Wasiak studiował w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej (PIPS) w Warszawie – w dziale kształcenia nauczycieli dzieci głuchych, pod kierunkiem prof. dr Marii Grzegorzewskiej. Po ukończeniu PIPS od 1952 roku pracował w łódzkim szkolnictwie specjalnym: w Zakładzie Dzieci Głuchych w Łodzi oraz wchodzącej w jego skład Szkole Podstawowej Specjalnej nr 97. Mieściła się wówczas przy ul. Sienkiewicza 35, a następnie od 1959 roku – przy ul. Mostowej 47 (obecnie Zelwerowicza 47/57). Aktualnie placówka nosi nazwę: Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 4 w Łodzi i funkcjonuje od półwiecza w tym samym budynku, choć pod adresem – ul. Krzywickiego 20.

Dzieje łódzkiej szkoły dla dzieci głuchych sięgają korzeniami 100 lat, gdy z inicjatywy Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Głuchoniemych – w ramach działalności charytatywnej – Komitet Obywatelski Niesienia Pomocy Biednym wyasygnował w 1915 roku środki finansowe na zorganizowanie placówki. Pierwszym kierownikiem szkoły mieszczącej się w dwóch wynajętych izbach domu przy ul. Placowej 5 (obecnie ul. ks. Skorupki) był ks. Kajetan Nasierowski (1889–1937), a pierwszymi nauczycielkami: Stefania Bergel-Ulassowa (1897–1976) – żona dyrygenta chóru katedralnego w Łodzi i Maria Zimowska – siostra Aleksego Zimowskiego, właściciela gimnazjum męskiego w Łodzi.

Z dniem 1 września 1922 roku szkołę zaliczono do rzędu publicznych szkół powszechnych miasta Łodzi i nadano kolejny numer 97; podkreślenia wymaga fakt, że numer ten – symbol ciągłości historycznej – pozostaje oznaczeniem placówki do chwili obecnej. Początkowo – w 1915 roku – liczba uczących się dzieci wynosiła 24, a w latach 30. XX w. osiągnęła ponad 80 uczniów. Zmieniały się kolejne siedziby placówki, jej następne adresy to: ul. Boczna 5, Czerwona 6 i Pabianicka 34. Warunki kształcenia uległy pewnej poprawie dopiero w 1936 roku, po przeniesieniu szkoły do kamienicy przy ul. Sienkiewicza 35. Powiększała się kadra pedagogiczna i jej kwalifikacje, a spośród wieloletnich najbardziej zasłużonych nauczycieli z tego okresu – oprócz wymienionych wcześniej – warto przypomnieć Jana Gucę, Marię Rydzową, Alinę Starczewską.

Już w latach 20. XX wieku przy szkole uruchomiono internat dla piętnaściorga dzieci spoza Łodzi, by w następnych latach w umieścić w nim 35 uczniów. Po wojnie, w 1945 roku, do szkoły uczęszczało 53 dzieci, już po dwóch latach liczba ta podwoiła się, w latach 60. natomiast – po przeniesieniu do nowej siedziby przy ul. Mostowej – w szkole kształciło się nawet 250 uczniów. W latach 60. i 70. XX wieku większość wychowanków przebywała w internacie, do szkoły trafiały bowiem prawie wszystkie dzieci niesłyszące z centralnej Polski, tj. ówczesnych województw łódzkiego i kieleckiego. Podkreślenia wymaga, że do placówki kierowano uczniów bez względu na stopień utraty słuchu i poziom rozwoju umysłowego, nie było specjalnej oferty kształcenia dla głuchych z towarzyszącym upośledzeniem umysłowym. W latach

50. XX wieku średnia wieku wstępujących do I klasy szkoły wynosiła 10 lat, nierzadko przyjmowano dzieci nawet z pięcioletnim opóźnieniem. W latach 60. do szkoły najczęściej trafiali ośmiolatki. W większości, ok. 60 procent, były to dzieci ogłuchłe w niemowlęctwie w wyniku przebytych chorób, ponad 30 procent z głuchotą wrodzoną, sporadycznie dzieci obojga głuchych rodziców.

Autor, wychowawca, publicysta

Należy dodać, że Jerzy Wasiak żywo interesował się historią łódzkiego szkolnictwa dla głuchych. W 1964 roku z inicjatywy Zarządu Głównego Polskiego Związku Głuchych napisał *Monografię Zakładu Dzieci Głuchych w Łodzi* – cenne opracowanie dziejów tej placówki, przygotowane w oparciu o dokumenty archiwalne, kroniki szkolne, relacje przedwojennych nauczycieli oraz zapiski i wspomnienia Stefani Ulassowej. Do pracy tej wielokrotnie sięgali i cytowali ją pedagodzy i historycy oświaty; korzystali z niej m.in. redaktorzy książki pt. *90 lat Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Łodzi 1915–2005*, zamieszczając fragmenty monografii. Również niniejszy artykuł zawiera informacje i opisy pochodzące z tego opracowania.

Jako nauczyciel, wychowawca głuchych, a następnie dyrektor szkoły popularyzował przy każdej okazji znaczenie kształcenia dzieci niesłyszących: „Przychodzące do nas dzieci w większości wypadków nie znają swego imienia i nazwiska, nie kojarzą tych faktów. Uczymy ich tego. Uczymy mowy, artykulacji, które rozwijają osobowość dziecka, intelekt, zakres pojęć i wzajemnych między nimi relacji.



Naszym wielkim sprzymierzeńcem w tych działaniach jest sama natura. Brak słuchu kompensuje wyostreniem innych zmysłów – ogromną wrażliwością plastyczną, wizualną, sprawnością manualną, pamięcią wzrokową¹⁷.

Trzeba podkreślić, że jeszcze w latach 50. XX wieku głuchota stanowiła ogromną barierę w socjalizacji dzieci do społeczeństwa, szczególnie w środowiskach wiejskich. Do internatu łódzkiej szkoły trafiały sieroty porzucone przez matki i rodziny, czasem także ofiary drugiej wojny światowej, funkcjonujące jako NN (skrót od: „nazwisko nieznane”). Wspominana wielokrotnie przez Jerzego Wasiaka około 10-letnia dziewczynka „NN zwana Andzia”, przyjęta do szkoły w Łodzi, dopiero staraniem pedagogów otrzymała imię i nazwisko w drodze postanowienia sądowego; ukończywszy szkołę podstawową z przygotowaniem zawodowym, zdobyła kwalifikacje krawcowej, a tym samym możliwość zatrudnienia i życiowego usamodzielnienia.

Przychodzą na pamięć także inne – niestety niespisane – relacje Jerzego Wasiaka o trudnych losach wielu głuchych wychowanków, już z lat 60. XX wieku, dające obraz sytuacji dzieci niepełnosprawnych słuchowo.

Na pytanie o rok urodzenia głuchego dziecka zadane matce podczas wywiadu środowiskowego przed skierowaniem go do nauki, dopiero po dłuższym namyśle padła odpowiedź: „A, to wtedy, gdy się ta czarna krowa ociełiła”. Z kolei dotknięty głuchotą, zaniedbany chłopiec, wychowujący się wraz ze zwierzętami gospodarskimi, choć sprawny fizycznie i umysłowo, przywieziony został z odległej wsi do Łodzi i zamieszkał 1 września w internacie szkolnym. Gdy matka odwiedziła go przed Bożym Narodzeniem, zobaczywszy dziecko, zdziwiona widoczną zmianą w wyglądzie i zachowaniu syna, zareagowała z niedowierzaniem: „O jej, jaki on ładny, jaki on czysty”...

Przytoczone przykłady mogą stanowić ilustrację ogromnej roli, jaką odgrywała szkoła dla dzieci głuchych, zwłaszcza w zakresie socjalizacji i wychowania, oraz pełniona przez nauczycieli rola opiekuńcza i kompensacyjna.

Innowacje pedagogiczne

Wobec ograniczeń myślenia abstrakcyjnego dzieci głuchych Jerzy Wasiak w swej pracy nauczycielskiej szczególnie naciskał na przedmioty odwołujące się do obserwacji, praktyki i doświadczenia. Przez wiele lat uczył przyrody, a w starszych klasach biologii. Wykorzystując swą bogatą praktykę dydaktyczną nauczyciela przedmiotów przyrodniczych, w latach 60. XX wieku brał udział w pracach Ministerstwa Oświaty nad programem nauczania tych przedmiotów w szkołach dla dzieci głuchych. Podzielił się wówczas gorzką refleksją: „I wreszcie sprawa podręczników. W zasadzie ich nie używamy, bo ich nie mamy [...] czekamy na jakiegokolwiek podręczniki wydane z myślą o głuchych, uboższe w treść, a bogatsze w ilustracje”.

Przez wiele lat – stosując w praktyce zasadę pogłębliwości – systematycznie organizował wycieczki krajoznawcze mające na celu pogłębienie i uzupełnienie wiadomości uczniów z geografii i historii. Co roku klasy IV wyjeżdżały

do Warszawy; klasy V – do Krakowa, Wieliczki, Ojcowa, Zakopanego, klasy VI – do Poznania, Gniezna, Biskupina, Kruszwicy, klasy VII i VIII – do Torunia, Malborka i na Wybrzeże. W ten sposób każdy wychowanek miał możliwość poznania różnych regionów Polski. Wielokrotnie prowadził wycieczki osobiście, pełniąc rolę pilota, opiekuna, przewodnika, tłumacza, a czasem kilka z tych ról równocześnie.

Warto wspomnieć też o innowacji pedagogicznej, zaplanowanej i zrealizowanej w 1961 roku przez tego wybitnego pedagoga. Pisał o tym: „Z zespolenia elementów nauki szkolnej i pogładowej roli wycieczek zrodził się pomysł ośrodka kolonijno-szkolnego, który został zrealizowany od 18 maja do 13 czerwca 1961 roku w Poroninie. [...] Do Poronina wyjechało 82 dzieci z klas IV–VII pod opieką swoich nauczycieli. Młodzież zakwaterowana była w domkach góralskich. Lekcje odbywały się w miejscowej szkole i były ugruntowaniem wiadomości zdobytych w czasie licznych wycieczek, w czasie których uczniowie poznawali gruntownie polskie Tatry”².

Zajęć z dziećmi głuchymi nie ograniczał do pracy na lekcjach, zwracał ogromną uwagę na ich wszechstronny rozwój. W szkole, w ramach lekcji WF-u, zorganizowano dla uczniów naukę pływania na basenie Młodzieżowego Domu Kultury (obecnie YMCA), gimnastykę korekcyjną i częste zajęcia na stadionie w parku im. 3 Maja oraz spartakiady lekkoatletyczne i międzyszkolne zawody sportowe. Nauczycielem WF-u i entuzjastą wychowania fizycznego dzieci głuchych był w latach 60. i 70. XX wieku Tadeusz Maszczak, późniejszy profesor i prorektor AWF w Warszawie, autor prac naukowych i poradników poświęconych m.in. rozwojowi fizycznemu osób niepełnosprawnych.

Wobec faktu, że uczniowie wywodzili się bardzo często z rodzin niewydolnych wychowawczo, o niskich zasobach materialnych, Jerzy Wasiak podejmował wobec nich różnorodne działania kompensacyjne. Zapewniał przez cały ich okres szkolny realizację funkcji opiekuńczej, wychowawczej, poznawczej i rekreacyjnej. Ilustruje to jego wypowiedź o koloniach, które sam organizował, sprawując funkcję wychowawcy i opiekuna:

„[...] w celu umożliwienia młodzieży zorganizowanego wypoczynku, urządzone są w czasie wakacji kolonie letnie. Biorąc pod uwagę środowisko wielkomiejskie dzieci łódzkich, stopień zadymienia miasta i trudne warunki materialne dużej części młodzieży, sprawa kolonii letnich jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. [...] Zmieniają się miejscowości – Olcza koło Zakopanego, Wejherowo, Kołobrzeg, Białogard, Poronin, Słupsk, Mielno – to ośrodki, w których młodzież z różnych klas przebywała dłużej. Przemierzając pieszko drogi i ścieżki, miała możliwość uzupełnić wiadomości z biologii dotyczące roślin uprawnych, lasu czy roślin chronionych. Miała również możliwość praktycznego wypróbowania swoich wiadomości z geografii w czasie licznych wycieczek, tym bardziej że w większości ośrodków wychowawcami dzieci głuchych byli ich nauczyciele. Niektóre z wymienionych placówek przeznaczone były wyłącznie dla dzieci głuchych, na



innych zaś grupy głuchych łączone były z dziećmi słyszącymi. [Integracja] ma tę dobrą stronę, że umożliwia im bezpośredni kontakt i zmusza głuchych do porozumiewania się przy pomocy mowy ustnej z otoczeniem nie znającym migów. Kontakty nawiązane w czasie kolonii trwają w wielu wypadkach znacznie dłużej.

Sięgał po wszystkie istniejące możliwości sprzyjające rozwojowi uczniów, stosował w wychowaniu również metodę harcerską: już w 1952 roku – u progu swej pracy nauczycielskiej – był opiekunem organizacji harcerskiej w Szkole Podstawowej nr 97 dla dzieci głuchych. Przez następne dziesięciolecia, będąc kierownikiem i dyrektorem szkoły, współpracował z Referatem Nieprzetartego Szlaku Chorągwi Łódzkiej ZHP, zwłaszcza z legendarną „druhną Władką” – hm Władysławą Matuszewską oraz z hm Krystyną Tułaczową i hm Bolesławem Majewskim w organizowaniu dla podopiecznych rajdów, biwaków, zlotów i obozów. Wykorzystywał każdą sposobność, by niesłyszący podnosili swą sprawność fizyczną, umieli radzić sobie w trudnych sytuacjach, uczyli się współdziałania w rozwiązywaniu problemów. Drużyny harcerskie chłopców i dziewcząt uczestnicząc w imprezach, zawodach i konkursach, zdobywały liczne nagrody.

Awans zawodowy niesłyszących

Wielu z wychowanków zdobyło wysokie kwalifikacje zawodowe i życiową stabilizację w czasach niełatwych dla niepełnosprawnych. Początkowo założonym celem kształcenia w szkole dla głuchych było przygotowanie uczniów do dalszej nauki w zasadniczej szkole zawodowej. W starszych klasach prowadzono lekcje zawodu: w zakresie krawiectwa –

dla dziewcząt, a stolarstwa i obuwnictwa – dla chłopców. Z czasem model absolwenta uległ pewnej zmianie; jak podkreślał Jerzy Wasiak:

Typowe zawody głuchych, jak: stolarstwo, ślusarstwo, krawiectwo dawno przestały być jedynymi. W chwili obecnej [tj. w 1974 roku] nasi wychowankowie pracują jako kreślarze, artyści tkacze, fotograficy, elektrotechnicy, zecerzy – jednym słowem znacznie poszerzyła się gama zawodów długo uważanych za właściwe i możliwe tylko dla ludzi zdrowych i pełnosprawnych. Naturalnie, nasi wychowankowie pracują w zakładach pracy chronionej, głównie spółdzielczości inwalidzkiej. Ale prawdą jest również to, że o naszych wychowanków spółdzielczość ta szczególnie zabiega, jako znanych i dobrych fachowców³.

Dla przykładu warto wspomnieć kilku najstarszych głuchych wychowankach Jerzego Wasiaka. Stanisław Mizerski (uroku 1936) przez wiele był mistrzem i kierownikiem działu lakierni w Spółdzielni Inwalidów w Łodzi; uprawiając tenis stołowy, prezesował równocześnie Łódzkiemu Klubowi Sportowemu Głuchych. Od ponad 30 lat sprawuje nieprzerwanie funkcję prezesa Oddziału Polskiego Związku Głuchych w Łodzi; jest laureatem m.in. Odznaki za Zasługi dla Miasta Łodzi. Znanymi sportowcami byli także: Zdzisław Żardzin, który zasłynął jako medalista i rekordzista kraju, uznawany za najlepszego sportowca Łódzkiego Klubu Sportowego Głuchych, czy Witold Poszepczyński – lekkoatleta, medalista igrzysk niepełnosprawnych w 1968 roku. Natomiast Jerzy Orczykowski (uroku 1936) w środowisku głuchych zdobył sławę poety, autora wierszy publikowanych na łamach czasopism, m.in. „Świat Ciszy” oraz wydanych tomików *Dźwięki nagle ustały* (Łódź, 2002) i *Wiersze* (Łódź, 2010).

Od 1 grudnia 1958 roku do 31 sierpnia 1965 roku Jerzy Wasiak kierował Szkołą Podstawową nr 97 przy Państwowym Zakładzie Wychowawczym dla Dzieci Głuchych w Łodzi. Trzeba przypomnieć ważną jego inicjatywę: w 1963 roku, będąc kierownikiem szkoły dla głuchych, wraz z doc. Dr. hab. med. Stanisławem Kmitą (1909–1966) z Oddziału Otolaryngologii Dziecięcej ówczesnej Akademii Medycznej w Łodzi – był pomysłodawcą utworzenia oddzielnej klasy dla niedosłyszących, która stała się potem załącznikiem specjalistycznej placówki kształcącej dzieci słabo słyszące. Pisał J. Wasiak pół wieku temu:

W rekrutacji dzieci z resztkami słuchu przyszedł szkole z pomocą Oddział Laryngologii Dziecięcej przy Akademii Medycznej w Łodzi, zbierając ze szkół podstawowych dzieci z wadami słuchu. W szkołach normalnych ukończyły one pięć klas, ale wobec narastającej liczby przedmiotów, materiału nauczania i liczebności klas zaczęły powstawać poważne trudności w opanowaniu przez nie wiadomości przewidzianych programem. [...] klasa ta korzysta z lokalu Szkoły Podstawowej nr 89 przy ul. Czerwonej 8, a administracyjnie wchodzi w skład Zakładu Głuchych. Decyzja ta została podjęta w trosce o to, aby dzieci

tych nie łączyć z dziećmi głuchymi i nie dopuścić do nauczania się migów. [...] współpraca między obu szkołami układa się bardzo dobrze i z wielką korzyścią dla dzieci niedosłyszących⁴.

We wrześniu 1972 roku został dyrektorem Państwowego Zakładu Wychowawczego dla Dzieci Głuchych w Łodzi, równocześnie sprawując obowiązki kierownika Szkoły Podstawowej nr 97, wchodzącej w skład Zakładu. W tym czasie rozwijał swe zainteresowania pedagogiczne i pogłębiał wiedzę zawodową; w 1973 zapoznał się z pracą Instytutu Defektologii w Moskwie i stosowanymi tam metodami pracy dydaktycznej. W 1977 roku wobec nieuznawania przez władze oświatowe dyplomu Instytutu Pedagogiki Specjalnej jako dokumentu potwierdzającego ukończenie studiów wyższych, Wasiak złożył Egzamin Kwalifikacyjny Równoważny Wyższym Studiom Zawodowym w zakresie pedagogiki opiekuńczej i uzyskał dyplom Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie. W 1977 roku przeszedł do pracy w Państwowym Zakładzie Wychowawczym dla Dzieci Niedowidzących w Łodzi, przy ul. Dziewanny 24, a w latach 1979–1985 pracował w Zakładzie dla Dzieci Niedosłyszących i wchodzącej w jego skład Szkole Podstawowej nr 180 w Łodzi, przy ul. Wólczańskiej 121.

Społecznik

Obok pracy zawodowej działał społecznie: z zachowanych legitymacji wynika, że od 1 marca 1953 roku był członkiem Polskiego Związku Głuchoniemych i ich Przyjaciół, a od 1955 roku – po zmianach statutowych organizacji – Polskiego Związku Głuchych. Dzięki jego zaangażowaniu rozwijała się współpraca szkoły z władzami Związku; nie bez znaczenia były bezpośrednie, koleżeńskie relacje Jerzego Wasiaka z kolejnymi prezesami łódzkiego Oddziału: Henrykiem Królikowskim, Kazimierzem Diehlem i Marią Graczyk. Współpraca ta rozwijała się zwłaszcza w zakresie przygotowania przez Poradnię Rehabilitacyjną PZG przedszkolnych dzieci niesłyszących do nauki w szkole dla głuchych, a także w razem podejmowanych działaniach środowiskowych na rzecz głuchych.

Działalność dydaktyczna, wychowawcza i organizacyjna Jerzego Wasiaka zyskała formalne uznanie, czego dowodem są liczne odznaczenia państwowe i resortowe: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1983), Złoty Krzyż Zasługi (1974), Srebrny Krzyż Zasługi (1971), Medal 40-lecia Polski Ludowej (1984); był także laureatem Nagrody Ministra Oświaty i Wychowania I stopnia (1973) oraz II stopnia (1979). Jednak szczególnie ważne pozostają wyróżnienia przyznane przez organizacje społeczne: Złota Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego (1969), Honorowa Odznaka Ruchu Przyjaciół Harcerstwa (1971), Złota Odznaka Honorowa Polskiego Związku Głuchych (1973, Odznaka Przyjaciela Dziecka, nadana w 1976 roku przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

W 1985 roku Jerzy Wasiak przeszedł na emeryturę, utrzymywał jednak kontakty ze środowiskiem szkolnictwa specjalnego. Uczestniczył w zjazdach

i spotkaniach wychowanków, a jego obecność wywoływała zawsze spontaniczne i niesłychanie serdeczne reakcje dorosłych już absolwentów. Brał udział w jubileuszach 90-lecia łódzkiej szkoły dla głuchych i 40-lecia szkoły dla niedosłyszących, przypadających w 2005 roku, a w dniu 12 września 2009 roku – mimo poważnej choroby – w obchodach 100-lecia ruchu społecznego głuchych na Ziemi Łódzkiej.

Zmarł 12 listopada 2012 roku, przeżywszy 88 lat. Pochowany został na cmentarzu w Łodzi – Łagiewnikach, gdzie spoczywa jego żona, Izabela Wasiak z Przanowskich (1927–1990), żołnierz Powstania Warszawskiego, wieloletnia, wybitna nauczycielka łódzkich szkół, działaczka oświatowa, wydawca książek drugiego obiegu.

Marek Wasiak
socjolog, autor artykułów biograficznych

Zdjęcia z archiwum autora artykułu.

Bibliografia:

1. J. Wasiak, *Monografia Zakładu Dzieci Głuchych w Łodzi*. Łódź 1964 (maszynopis powielony).
2. *90 lat Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Łodzi 1915–2005*. Łódź 2005.
3. *100 lat ruchu społecznego głuchych na Ziemi Łódzkiej*. Łódź 2009.
4. Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 4 w Łodzi: akta osobowe Jerzego Wasiaka.

Przypisy:

1. J. Wasiak, *Służba społeczna*. „Za i Przeciw” 1974 nr 28 (903), s. 21.
2. J. Wasiak, *Monografia Zakładu Dzieci Głuchych w Łodzi*, Łódź 1964, s. 75.
3. J. Wasiak, *Służba społeczna...*, dz. cyt., s. 21.
4. *Monografia...*, dz. cyt. s. 48–49.

czarne dziury, białe plamy

Jak Ślepy Maks z komunistów żartował

Gustaw Romanowski, Józef Śreniowski

str. 153

Jak Ślepy Maks z komunistów żartował

czarne dziury, białe plamy

Postać Menachema Bornsztajna należy do szczególnej legendy Łodzi. Legendy knajacko-rozbójniczej, bałuckiej i żydowskiej. I choć takiej Łodzi już dawno nie ma i już nigdy nie będzie, mit Ślepego Maksa wciąż żyje, a w ostatnich latach powraca nawet dość natarczywie. Pojawiły się liczne publikacje prasowe przypominające człowieka, który w międzywojennej Łodzi trząsał nie tylko miejscowym półświatkiem, ale był także rozjemcą i wyrocznią w sporach majątkowych, godził zwaśnionych i karał nieposłusznych. Legenda szefa łódzkiej dintojry zafascynowała Arnolda Mostowicza, który w latach 90. opublikował zbeletryzowaną *Balladę o Ślepym Maksie*, i Remigiusza Piotrowskiego, autora wydanej w 2014 roku książki *Ślepy Maks. Historia łódzkiego Al Capone*. Fascynację jego osobą przeżył też Teatr Nowy, wystawiając w 2012 roku napisaną przez Roberta Urbańskiego sceniczną układankę osnutą na dziejach „łódzkiego Robin Hooda”. A od kilku miesięcy działa w Łodzi restauracja Ślepy Maks, co dopełnia miary popularnej użyteczności osnutej na legendzie tego przedwojennego łódzkiego gangstera.

Wiemy, że Bornsztajn, inaczej niż 200 tysięcy łódzkich Żydów, nie został ofiarą Holokaustu, bo wiedziony instynktem samozachowawczym lub dobrą analizą zwiastunów zbliżającej się wojny i hitlerowskich planów, uciekł na wschód. Czas wojny przeżył prawdopodobnie w Kazachstanie, choć tak naprawdę dowodów na to, gdzie mieszkał i co robił od 1939 do końca 1945 roku, kiedy ponownie znalazł się w Łodzi, nie ma.

Łódź 1945 roku nie była już miastem jego dawnej chwały i sławy. Pozbawiona żydowskich mieszkańców i zaludniona nowymi przybyszami, którzy zajęli ich mieszkania, domy i warsztaty, nie stwarzała już jakiegokolwiek szansy na odbudowę przedwojennej pozycji Ślepego Maksa. Bornsztajn musiał więc znaleźć swoje miejsce w nowej rzeczywistości. Kupił kilka krosien tkackich i został drobnym przedsiębiorcą, co nie przeszkodziło mu jednocześnie w złożeniu deklaracji wstąpienia do PPR. Być może sprytny i niezłe kalkulujący dawny „król” łódzkiej dintojry robił to z cynizmu, ale prawdopodobnie raczej na próbę, aby sprawdzić, jak dalece partia komunistyczna jest gotowa asymilować w swoich szeregach ludzi takich jak on.

Do partii go jednak nie przyjęto, więc rozpowszechniane do dziś pogłoski, że Ślepy Maks był w PPR są z całą pewnością nieprawdziwe. Zachowały się bowiem trzy partyjne dokumenty z 1948 roku, które rzucają ciekawe światło na to,

jak Menachem Borsztein postanowił zabawić się kosztem „władzy ludowej”. Dwa z nich to pisma sygnowane przez Feliksa Berskiego – przewodniczącego i Zdzisława Krasławskiego – członka Miejskiej Komisji Kontroli Partyjnej PPR w Łodzi, skierowane do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej PPR w Warszawie. Trzecie, najkrótsze i najbardziej zabawne, to donos tegoż Berskiego skierowany do Dworakowskiego, I sekretarza Komitetu Łódzkiego PPR.

W pismach partyjnych funkcjonariuszy nazwisko Ślepego Maksy pisane jest nieprawidłowo jako „Bornsztajn”, „Borsztajn” lub „Borsztain”. Nie ma jednak wątpliwości, że chodzi zawsze o tę samą osobę. Przytaczając te dokumenty, zachowujemy w pełni ich oryginalną pisownię. Pisma pochodzą z zespołu archiwalnego dawnej PZPR, znajdującego się w zasobach Archiwum Państwowego w Łodzi.

Oto pierwsze z tych pism, najwcześniej datowane:

28 stycznia 1948 roku

Polska Partia Robotnicza Miejska Komisja Kontroli Partyjnej w Łodzi
L.dz. 16/1/48

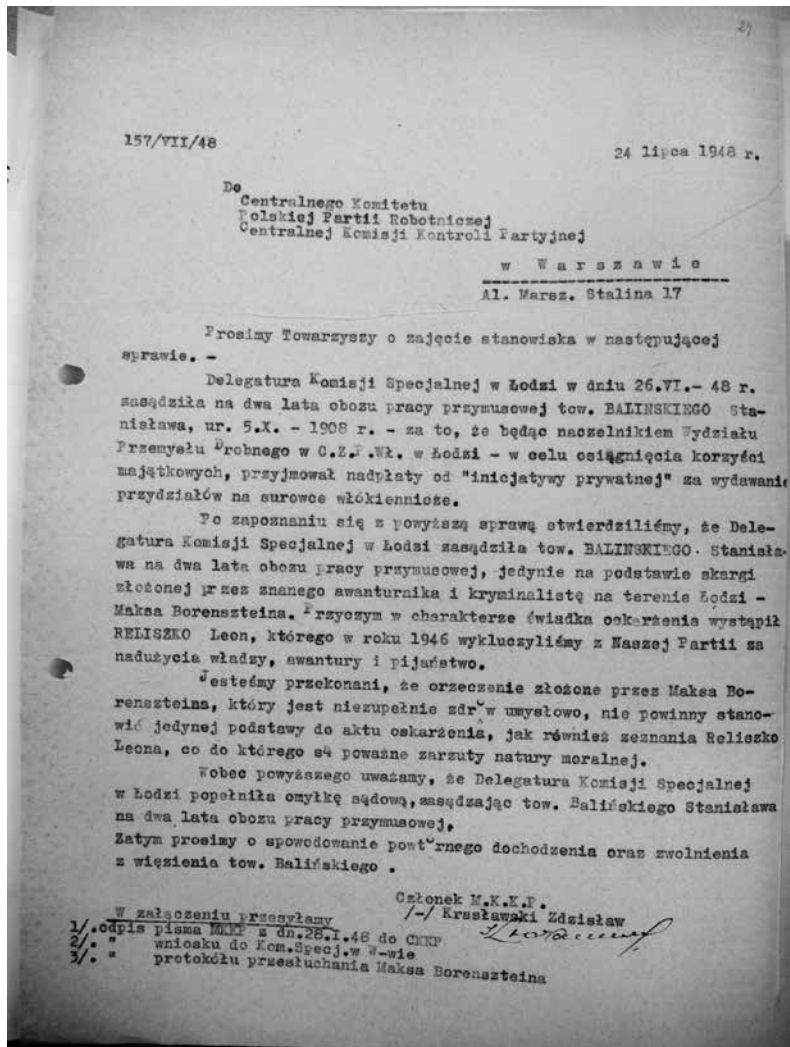
Do
Centralnego Komitetu
Polskiej Partii Robotniczej
Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej
w Warszawie
Al. Marsz. Stalina 17

W odpowiedzi na pismo z dnia 21.I. 48 za L.dz.162/48 w sprawie Borszsteina Maksy komunikuję co następuje.

Zgodnie z zaleceniem Waszym przeprowadziłem rozmowę z Borszsteinem na okoliczność jego pism skierowanych do wielu instancji. Z wyniku rozmowy wynioskowałem, iż Borszstein jest umyślowo niezupełnie zdrowy, a szczególnie jeśli chodzi o jego historię z przeszłości z czasów okupacji. Między innymi opowiadał wiele fantastycznych rzeczy, a nawet, że się wybiera zabić Mikołajczyka. Jeśli chodzi o jego historię do 1939 roku, to była dość bujna, był postrachem wśród bogatszej ludności żydowskiej, często szantażował i wyłudzał pieniądze, godził w różnych sporach i konfliktach wśród Żydów itd. Obecnie pędzi małą fabryczkę składającą się z 6-ciu krosien, pieniądze przeznacza na różne cele społeczne itd. Nie uważam, by był niebezpieczny dla społeczeństwa ze swoją wybujałą fantazją, a z uwagi na przeszłość nie należy go przyjmować w szeregi Naszej Partii. Za pisma, które pisał – stwierdza, iż przyjmuje całkowitą odpowiedzialność, pisano mu w „biurze próśb” – pod jego dyktando.

Uważam, że nie należy do tej sprawy, poza fragmentami odpowiadającymi prawdzie, przywiązywać większą wagę.

Przewodniczący M.K.K.P.
-/ Feliks Berski



czarne dziury, białe plamy

Nie znamy niestety treści pisma Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, na które odpowiadał Berski. Prawdopodobnie była to jakaś skarga Borsztajna na władze partyjne w Łodzi, adresowana do Komitetu Centralnego PPR. Związana była najpewniej z odmową przyjęcia go w szeregi tej partii. Berski pisze jednak o pismach „skierowanych do wielu instancji”, co wskazywałoby także na inne sprawy poruszone przez Borsztajna, a mianowicie nadużycia i korupcja w różnych organach „władzy ludowej” w Łodzi.

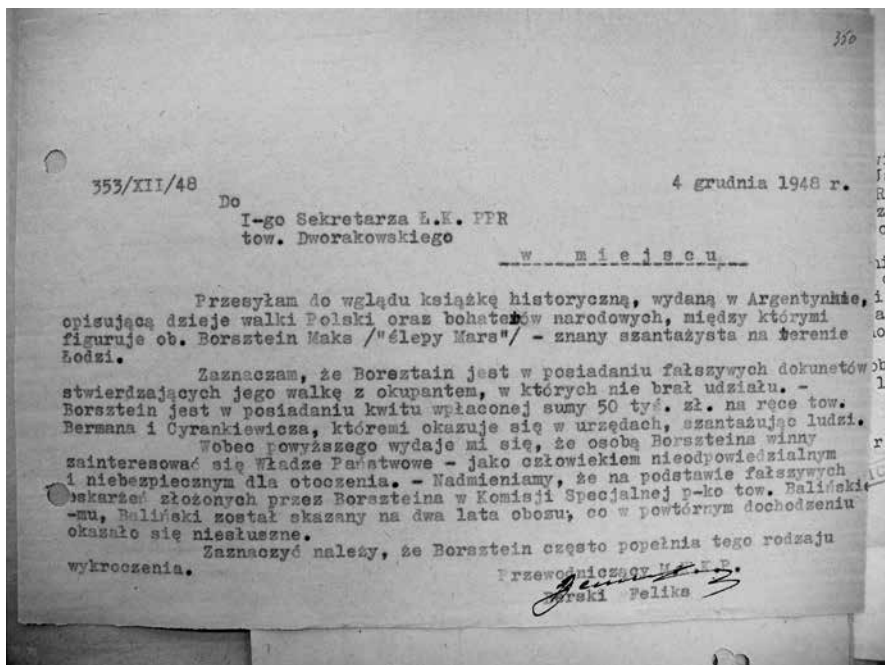
Rzuca na to ciekawe światło kolejne zachowane pismo Miejskiej Komisji Kontroli Partyjnej.

157/VII/48

24 lipca 1948 roku

Do
Centralnego Komitetu
Polskiej Partii Robotniczej
Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej
w Warszawie
Al. Marsz. Stalina 17

Prosimy Towarzyszy o zajęcie stanowiska w następującej sprawie.– Delegatura Komisji Specjalnej w Łodzi w dniu 26.VI.48 roku zasądziła na dwa lata obozu pracy przymusowej tow. BALIŃSKIEGO Stanisława, urodz 5.X. 1908 roku – za to, że będąc naczelnikiem Wydziału Przemysłu Drobego w C.Z.P.Wł. W Łodzi – w celu osiągnięcia korzyści majątkowych, przyjmował nadpłaty od „inicjatywy prywatnej” za wydawanie materiałów na surowce włókiennicze. Po zapoznaniu się z powyższą sprawą stwierdziliśmy, że Delegatura Komisji Specjalnej w Łodzi zasądziła tow. BALIŃSKIEGO Stanisława na dwa lata obozu pracy przymusowej, jedynie na podstawie skargi złożonej przez znanego awanturnika i kryminalistę na terenie Łodzi – Maksą Borenszteina. Przyczym w charakterze świadka oskarżenia wystąpił RELISZKO Leon, którego w roku 1946 wykluczaliśmy z Naszej Partii za nadużycia władzy, awantury i pijaństwo. Jesteśmy przekonani, że orzeczenie złożone przez Maksą Borenszteina, który jest niezupełnie zdrowy umysłowo, nie powinny stanowić jedynej podstawy do aktu oskarżenia, jak również zeznania Reliszko Leona, co do którego są poważne zarzuty natury moralnej. Wobec powyższego uważamy, że Delegatura Komisji Specjalnej w Łodzi popełniła omyłkę sądową, zasądzając tow. Balińskiego



Stanisława na dwa lata pracy przymusowej. Zatem prosimy o spowodowanie powtórnego dochodzenia oraz zwolnienia z więzienia tow. Balińskiego.

Członek M.K.K.P.
/–/ Krasławski Zdzisław

Cytowane pismo możemy odczytywać jako swoisty dowód na niekonformistyczną i obywatelską postawę Borsztajna, którego działanie doprowadziło do skazania przez Komisję Specjalną na dwa lata obozu pracy przymusowej prominentnego urzędnika Centralnego Zarządu Przemysłu Włókienniczego i członka PPR oskarżonego o łapówkarstwo. Dwa lata obozu pracy to najwyższy wymiar kary, jaki mógł wymierzyć ten quasi-sądowy organ. Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, niezależny od powszechnego wymiaru sprawiedliwości sąd specjalny, powołany na wzór podobnej instytucji w ZSRR, działała w Polsce komunistycznej od 1945 do 1954 roku. Jej ostrze wymierzone było głównie przeciwko prywatnej gospodarce – rzemiosłu i handlowi, a także niektórym swobodom obywatelskim, jak np. prawu do tajemnicy korespondencji itp. Ale – jak widać z zachowanego dokumentu sprzed 67 lat – Komisja Specjalna mogła być równie surowa wobec przedstawicieli nowej formacji ustrojowej.

Wymieniony w tym dokumencie urzędnik i działacz partyjny znalazł się w obozie pracy, ale skazujące go orzeczenie zostało później uchylone. Wynika to pośrednio z kolejnego odnalezionego archiwalnego dokumentu. To pismo wspomnianego wyżej Feliksa Berskiego, sporządzone tuż przed grudniowym Zjazdem Zjednoczeniowym PPR i PPS, w wyniku którego powstała PZPR.

Oto zabawna treść listu tego partyjnego aparatczyka:

353/XII/48
Do
I-go Sekretarza Ł.K. PPR
tow. Dworakowskiego

4 grudnia 1948 roku

w miejscu

Przesyłam do wglądu książkę historyczną, wydaną w Argentynie, opisującą dzieje walki Polski oraz bohaterów narodowych, między którymi figuruje ob. Borsztein Maks /„ślepy Maks”/ – znany szantażysta na terenie Łodzi. Zaznaczam, że Borsztein jest w posiadaniu fałszywych dokumentów stwierdzających jego walkę z okupantem, w których nie brał udziału. Borsztein jest w posiadaniu kwitu wpłaconej sumy 50 tys. zł na rzecz tow. Bermana i Cyrankiewicza, którymi okazuje się w urzędach, szantażując ludzi. Wobec powyższego wydaje mi się, że osobą Borszsteina winny zainteresować się Władze Państwowe – jako człowiekiem nieodpowiedzialnym i niebezpiecznym dla otoczenia. – Nadmieniamy, że na podstawie fałszywych oskarżeń złożonych przez Borszsteina w Komisji Specjalnej p-ko tow. Balińskiemu, Baliński został

skazany na dwa lata obozu, co w powtórnym dochodzeniu okazało się niesłuszne. Zaznaczyć należy, że Borsztein często popełnia tego rodzaju wykroczenia.

Przewodniczący Ł.K.K.P.
Berski Feliks

Ten klasyczny donos adresowany do Władysława Dworakowskiego, najwyższego partyjnego zwierzchnika rządzącego ówczesną Łodzią, w sprawie mitomańskich poczynań drobnego bądź co bądź rzemieślnika świadczyć może tylko o pozycji Menachema Borsztajna, którą ten próbował sobie wywalczyć w nowej komunistycznej rzeczywistości. Być może Berski, który w swoim pierwszym cytowanym wcześniej piśmie potraktował Ślepego Maksa w dobrotliwą pobłażliwością, prawdopodobnie poczuł się czymś bardzo zagrożony, skoro teraz postanowił zebrać wszystkie „zarzuty” mające pogrzyźć Borsztajna w oczach I sekretarza PPR. Prośba, aby zajęły się Borsztajnem „Władze Państwowe”, więc pewnie te najwyższego stopnia, wydaje się zabawna, biorąc po uwagę nikły ciężar owych „przewinień”. Miały nimi być: wzmianka o Borsztajnie w jakiejś historycznej książce, jakieś dokumenty – być może fałszywe – z których miał wynikać jego udział w walce z okupantem, dowód wpłaty pieniężnej darowizny, najpewniej z przeznaczeniem na jakiś cel społeczny, adresowanej do Jakuba Bermana i Józefa Cyrankiewicza – najważniejszych osób w ówczesnych władzach – i wreszcie oskarżenie o łapówkarstwo partyjnego urzędnika, którego towarzysze postanowili ratować przed obozem pracy przymusowej.

Nie wiadomo, o jakiej książce wydanej w Argentynie, której treścią miał chwalić się Borsztajn, pisze w swoim donosie Berski. Być może była to opublikowana w Buenos Aires w 1946 roku w języku jidysz książka *Walka i cierpienie*. Ale po co w takim razie Berski by ją przesyłał „do wglądu” sekretarzowi Dworakowskiemu, który w języku jidysz nie przeczytałby na pewno jednego słowa, bo nie był Żydem. Tym bardziej zresztą, że – jak wspominał inny komunistyczny działacz Władysław Bieńkowski – pisana polszczyzna również nie była mocną stroną tego partyjnego samouka, z zawodu ślusarza, któremu Bierut lubił powierzać różne wysokie stanowiska w aparacie władzy.

Gustaw Romanowski, Józef Śreniowski

wspomnienia

Leszek Rózga (1924–2015)

Artysta wielu talentów

Gustaw Romanowski

str. 161

Halina Szpigiel (1929–2015)

Nie znosiła konformizmu

Magdalena Starzycka

str. 166

Mirosław Laskowski (1949–2015)

Sportowiec i opozycjonista

Henryk Marczak

str. 168

Leszek Rózga (1924–2015)

Artysta wielu talentów

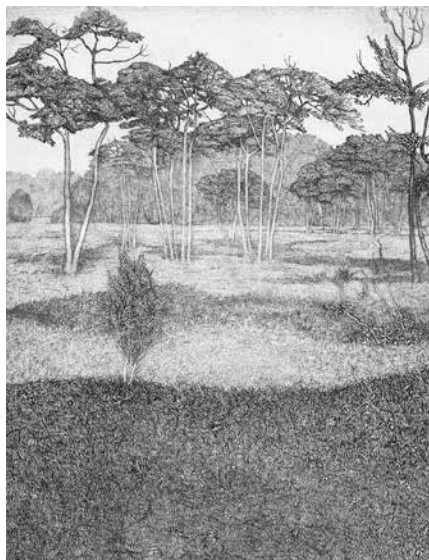
W połowie tegorocznego gorącego lata, 15 lipca 2015 roku, odszedł Leszek Rózga. Mimo że dożył sędziwego wieku, śmierć artysty tak aktywnego twórczo jak on to dotkliwa strata dla polskiej kultury. Był bowiem nosicielem takiej energii twórczej, która wydaje się nigdy nie wyczerpywać. Odkąd go poznałem na początku lat 70., aż do końca swoich dni sprawiał zawsze wrażenie człowieka patrzącego z odwagą w przyszłość i kipiącego nieustającym optymizmem. To wynikało z jego charakteru; był przede wszystkim ogromnie szczęśliwy, że jest artystą i może dzielić się ze światem swoimi talentami.



A talentów miał rzeczywiście wiele. Grafika, w której wypowiedział się w sposób najbardziej pełny i niewątpliwie finezyjny, bo przyniosła mu szerokie uznanie i europejską pozycję, nie była jedynym polem jego twórczej kreacji. Sięgał także czasem za pędzel i kiedy coraz większy krąg admiratorów chwalił jego grafiki, lubił zachęcać do obejrzenia obrazów, które malował od czasu do czasu, raczej okazjonalnie. Nie wiem, ile tych obrazów na płótnie, płycie, tekturze czy akwarel powstało, zapewne pół tysiąca. Niektóre można było zobaczyć w pracowni artysty i nie były to bynajmniej ćwiczenia warsztatowe dla wytchnienia, ale prawdziwe malarskie prace, które komuś innemu wystarczyłyby pewnie za całą życiową twórczość.



Pejzaż wiosenny z przecuciem Madonny, 1976-1977, akwaforta kolor, fot. Mariusz Łukawski



Pejzaż wiosenny, 1976, akwaforta kolor

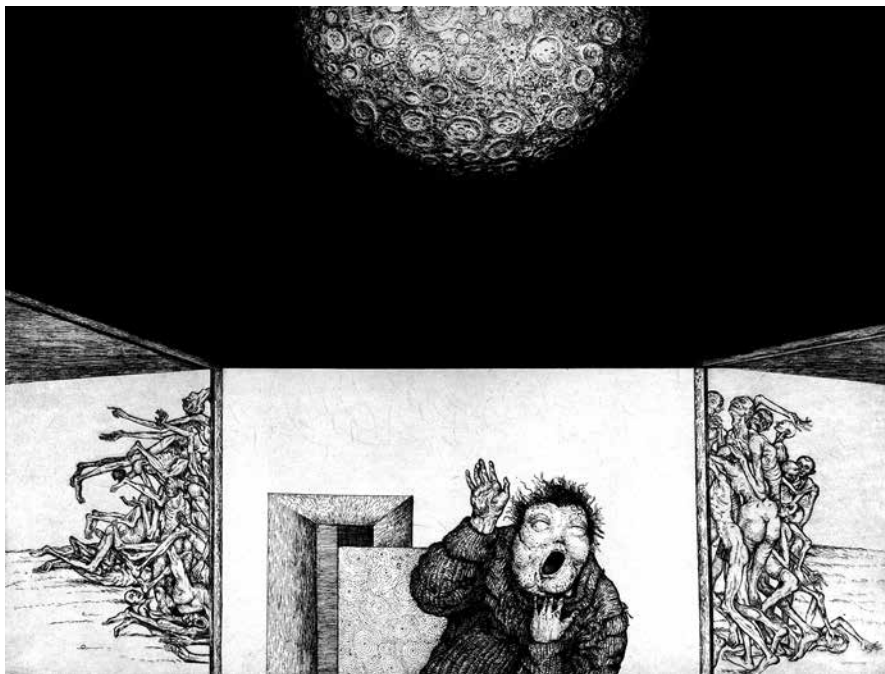
Ale to nie wszystko, bo Leszek Różga także z talentem pisał. Bywał wrażliwym poetą, choć niewielu o tym wiedziało. Dwa tomy jego lirycznych miniatur ukazały się, kiedy artysta miał już ponad 80 lat. To piękne, proste wiersze, będące zapisami snów i egzystencjalnych zamyśleń starego artysty nad życiem – czasem nawiązujące wprost do jego wizji plastycznych, czasem skierowane ku zupełnie innym strumieniom wyobraźni. Niespodziewanie też trzy lata temu okazał się Różga profesjonalnym prozaikiem. Jego wydane w 2012 roku *Wspomnienia z lat 1924–1946* nie mają w sobie nic z nudnych memuarów, które zwykli pisać na starość ludzie na użytek swojej rodziny i znajomych. A tu powstał błyskotliwy dokument czasu, bogaty w prawie fotograficzne opisy różnych miejsc, przejawów przyrody, wnętrz, mieszkańców, a także szeroka parada uchwyconych piórem autora ludzkich fizjonomii i charakterów. I bogaty w fakty zapis zdarzeń obserwowanych przez świadka skomplikowanych czasów, w których przyszło mu żyć. Te wspomnienia – ze względu na fenomenalną precyzję opisów – mogłyby posłużyć jako prawie gotowy scenopis filmowy.

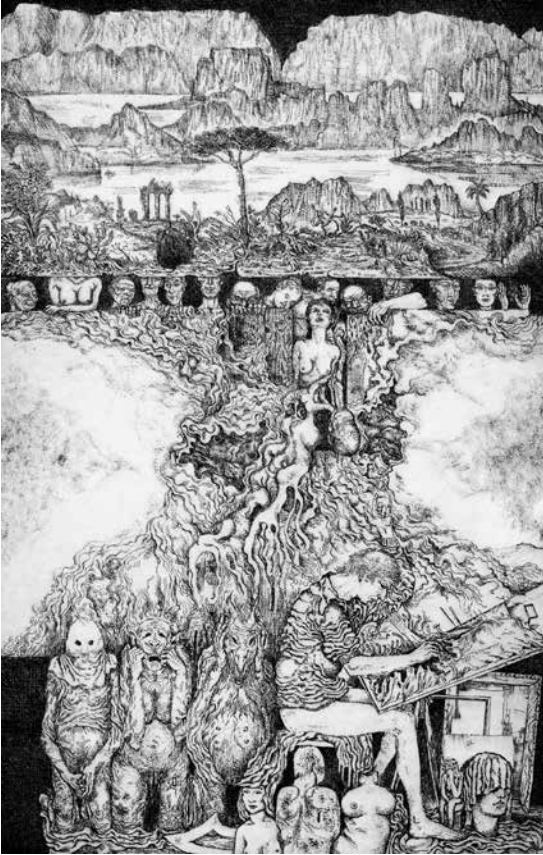
W swoim długim życiu Leszek Różga był świadkiem kilku epok. Miał w skromnym rodzinnym domu dobre i bezpieczne dzieciństwo, które przerwała wojna. Jej traumę przeżył jako robotnik przymusowy, zmuszony daleko od domu do niewolniczej pracy. To był jego czas dojrzewania. I choć był człowiekiem pogodnym, ze wspomnień wojennych tak naprawdę nigdy się nie wyzwolił. Wracał do nich w symbolice niektórych grafik i nie było prawie dłuższej rozmowy z Leszkiem, w której nie napomknąłby o jakimś incydencie z tamtych trudnych dla niego lat. Potem przyszedł

„czas siewów i czas żniw” – jak mawiał – i budowana latami pozycja oryginalnego twórcy, laureata artystycznych nagród, pedagoga i profesora wyższej uczelni, człowieka sukcesu.

Urodził się 18 marca 1924 roku w Zgierzu w skromnej rodzinie podoficera WP. Jak wspominał wrażliwość na barwy, kształty, świat muzyki i sztuki zawdzięczał matce i jej zainteresowaniom. Wcześniej też zrozumiał, że zostanie artystą. We *Wspomnieniach z lat 1924–1946* jest taki fragment zapamiętany z dzieciństwa: „Kiedyś idąc samotnie miedzami na pastwisko, przyglądałem się otaczającej mnie przyrodzie. W górze śpiewały skowronki, w zbożu bzykały koniki polne. Cieszyły oczy łany zbóż ozdobione chabrami, makami, kąkolami. Od czasu do czasu wybiegał zając lub kuropatwa czy przepiórka. Było gorąco, pachnąco, cudownie. Wzruszony pamiętam, ukląknęłam i płacząc dziękowałam Bogu za ten cudowny świat. Sadzę, że właśnie wtedy urodził się we mnie artysta. Od tego czasu świadomie słyszę, widzę, czuję. Od tego czasu jestem trochę poza sobą, jestem świadkiem”.

To było bardzo charakterystyczne wyznanie. Postawie świadka pozostał Różga wierny chyba w całej swojej twórczości graficznej. Od 1961 roku, kiedy jego drogę artystyczną zaczynają odmierzać tylko prace ułożone w kolejne cykle, wydaje się, że odtąd artysta obiera sobie za cel porządkowanie obrazu świata. Cykle *Rudery*, *Relikty*, *Przenikania*, *Śmietniki*, *Kartki z albumu*, *Pejzaże* to takie stopniowe metaforyczne osvajanie przeżytego czasu. Także tego marnego, w którym artysta





znajduje miejsce na rozliczenie z brzydotą i podłością świata, ale także – a w późniejszej twórczości przede wszystkim – przestrzeni ponadczasowej, której sens istnienia nadają niezmiennie motywy czerpane z przyrody. Liczne podróże artysty owocują jednocześnie cyklami grafik. Odwiedza Fryzję, Hiszpanię, Turcję, wyspy greckie, włoską Toskanię, Izrael, Sycylię. Te pejzażowe inspiracje wyzwalały w Różdże potrzebę kondensowania wrażeń w poszukiwaniu najbardziej lapidarnych form wyrażających aluzyjnie istotę odwiedzanych miejsc. Tak powstają cykle: *Nad Morzem Północnym*, *Donkiszoteria*, *Dulcinejada*, *Egea*, *Hybrydy*, *Toskania*, *Monumenty i kaniony*, *Z Ziemi Świętej – Izrael*, *Sycyliana*, *Z wyspy Sylt*. W każdym z tych cykli wyczuwalna jest odmienna poetyka, inny kontekst estetyczny, można powiedzieć – zupełnie inna anegdota. Każda z tych grafik to jakby inna opowiadka napisana w odmiennym języku. Języku znaczeń nie do końca nazwanych, ale jakby bliskich znaczeniom literackim, choć zapisanych bez słów.

Artysta bardzo lubił tę bliskość obrazu i anegdoty. Powiedział kiedyś: „Jestem trochę moralizatorem i wszystkie moje prace są historyjką z morałem. Nie są to ilustracje, choć czasami zarzucają mi ilustracyjność i literackość. I chociaż

może przez narracyjność bliższe są literaturze niż plastyce, bo czuję się bardziej poetą niż plastykiem, jestem plastykiem”.

Większość zagranicznych podróży będących inspiracją tych „geograficznych” cykli odbywał już w podeszłym już wieku, z wielkim bagażem doświadczeń, z ugruntowaną historyczną wiedzą, którą mógł spożytkować w znaku plastycznym, drobnym symbolu, kodzie kreski ułożonej na graficznej płycie. Jednocześnie świadomość ponadczasowej wartości odwiedzanych miejsc dawała Leszkowi nową motywację twórczą.

W związku z ukończeniem cyklu *Toskania* powiedział kiedyś: „Wracam do źródeł. W pewnym wieku człowiek skłonny jest z perspektywy lat przebytych spojrzeć wstecz krytycznie. Szuka prawdy poza sobą. Wszystko przemija, a to, co jest inspiracją dla tego, co widzi, słyszy, czuje, istnieje poza czasem. W przyrodzie jest wszystko. Gdy oglądam obrazy mistrzów renesansu, poza ich treścią i formą istnieje notacja pejzażu. Treści i formy przemijają, a pejzaż, w tym wypadku pejzaż Toskanii, pozostaje ten sam, niezmienny, niezmienny. Budzi się refleksja, ja przemienię, a te wzgórza, ten zapach, to niebo, cyprysy pozostaną, pozostanie też duch miejsca. Pozostaną również »ja« w »mojej« Toskanii”.

Pozostał nie tylko w Toskanii, którą się zachwycił. Pozostał w każdym innym miejscu, które potrafił przełożyć na sztukę, zatrzymując w swojej sztuce jego niepowtarzalność.

Gustaw Romanowski

Zdjęcia do artykułu: dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi.

Halina Szpigiel (1929–2015)

Nie znosiła konformizmu



W pełni tegorocznego lata 18 lipca odeszła Halina Szpigiel – niezwykle człowiek. Pozostawiła rodzinę i pokażne grono przyjaciół w wielkim smutku. Teraz, chcąc ją krótko scharakteryzować, powiedziałabym, że była to kobieta niezłomna, choć ona pewnie by zaprotestowała, bo nie lubiła patosu. Ale to określenie wydaje mi się najbardziej trafne.

Życie doświadczyło ją ciężko. Należała do pokolenia, które 1 września 1939 roku nie poszło do szkoły. Miała wtedy 10 lat, tak

więc następne pięć lat dorastania przypadły na straszny czas, szczególnie gdy aresztowano jej ojca działającego w patriotycznej konspiracji. Niemcy osadzili go w więzieniu na Radogoszczu. Jak kiedyś wspominała, uniknął spalenia jedynie dlatego, że niemal w przededniu przewieziono go do innego więzienia na śledztwo. Niedługo po wojnie zmarł, została tylko z matką.

Zaraz po maturze poszła do pracy. Nie znosiła urzędniczego konformizmu, małych układów, lekceważenia ludzi. Zmagiała się z biurokracją, niesprawiedliwością i była zwykle nieustępliwa. Pracowała najpierw w biurze Związku Filmowców Polskich, a potem wiele, wiele lat w administracji Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Los tak zdarzył, że wychowała sama, bez niczyjej pomocy, dwójkę dzieci. Kiedy przyszedł rok 1980 i czas „Solidarności”, dzieci już dorosły i uważała, że teraz może poświęcić się bez reszty pracy społecznej.

Działała aktywnie w pierwszych strukturach „Solidarności” na Uniwersytecie. Najpierw w organizacji Wydziałowej, a potem Zakładowej. Brała udział we wszelkich protestach społecznych w latach 1980–1981. Nie ustała, gdy po ogłoszeniu stanu wojennego trzeba było przejść do działalności niejawniej. Była członkiem podziemnej Uczelnianej Komisji Koordynacyjnej, a także jedną z współorganizatorek

pomocy socjalnej dla rodzin osób internowanych w stanie wojennym. Jednocześnie zaangażowała się w podziemną działalność wydawniczą, między innymi wspierała swoją energią ukazywanie się „Biuletynu Uniwersytetu Łódzkiego”.

W jej małym mieszkaniu drukowano nielegalne pisma. Przewoziła je potem w zatłoczonych tramwajach, dostarczając do umówionych lokali, skąd wędrowały kolportowane dalej. Trzeba było wtedy mocno wierzyć, że ta praca ma sens, że przyjdzie kiedyś zwycięstwo. I przyszło. Po 1989 roku pracowała jeszcze długo w Uczelnianej Komisji Zakładowej NZZ „Solidarność” Uniwersytetu Łódzkiego. To było jej ostatnie, najbardziej ulubione stanowisko pracy.

Można powiedzieć bez przesady, że jej dzielność i prawość zostały docenione: w 2002 roku odznaczona została medalem O Niepodległość Polski i Prawa Człowieka 13 XII 1981– 4 VI 1989, w roku 2005 Złotym Krzyżem Zasługi, a w roku 2014 prezydent RP Bronisław Komorowski przyznał jej Krzyż Wolności i Solidarności.

Hala – jak ją nazywali przyjaciele – była osobą autoironiczną. Często też uciekała się do ironii w stosunku do innych, była jednak to ironia dobrotliwa, pokazująca rozmówcom, jakby inny, szerszy wymiar rzeczywistości. W konfliktach chętnie pomagała – szukała dróg porozumienia i mądrego kompromisu.

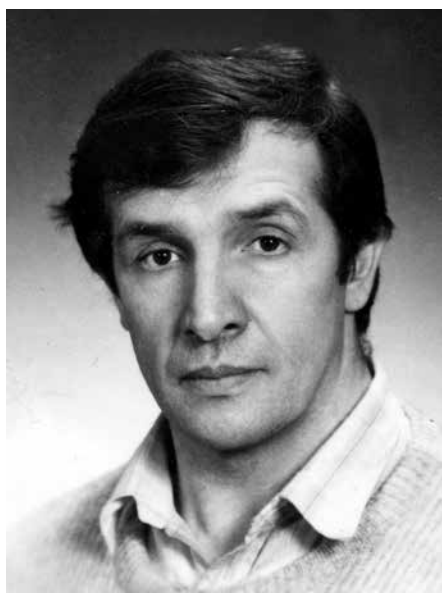
Niezłomna także w życiu osobistym, odrzucała oferowaną pomoc nawet wtedy, gdy jej potrzebowała. Nie chciała innym, nawet rodzinie, sprawiać kłopotu.

Jej silna osobowość będzie ciągle żywa w pamięci ogromnego kręgu przyjaciół, z którymi współpracowała w czasie pokoju i niepokoju.

Magdalena Starzycka
publicystka, tłumaczka, pisarka

Mirośław Laskowski (1949–2015)

Sportowiec i opozycjonista



26 sierpnia 2015 roku zmarł Mirośław Laskowski. 31 sierpnia pożegnaliśmy go na cmentarzu św. Franciszka w Łodzi. Odszedł od nas nauczyciel, trener i sportowiec, a przede wszystkim wielce zasłużony działacz niepodległościowej opozycji antykomunistycznej.

Mirośław Laskowski urodził się 23 grudnia 1949 roku w Łodzi. W latach 1968–1971 pracował w łódzkiej Fabryce Maszyn Jedwabniczych Majed, a w latach 1972–1979 w Spółdzielni Pracy Elektromet w Łodzi. Po ukończeniu w 1979 roku studiów na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie podjął pracę nauczyciela wychowania fizycznego w szkole Podstawowej nr 1 w Pabianicach. Jednocześnie od 1979 roku prowadził

działalność sportową – uprawiał wyczynowo podnoszenie ciężarów oraz był trenerem tej dyscypliny w Łódzkim Zrzeszeniu Ludowych Zespołów Sportowych i w Łódzkim Klubie Sportowym.

W grudniu 1980 roku zaangażował się w działalność NSZZ „Solidarność”, był członkiem Komisji Zakładowej w Szkole Podstawowej nr 1 w Pabianicach, a w 1981 roku członkiem Międzyzakładowej Komisji Oświaty „Solidarności” w tym mieście.

Po wprowadzeniu stanu wojennego włączył się w prace podziemnych struktur „Solidarności” i Konfederacji Polski Niepodległej. Od roku 1983 został współpracownikiem, od roku 1984 uczestnikiem, a od roku 1986 kandydatem Konfederacji Polski Niepodległej Obszaru Łódź. Ściśle współpracował wówczas

z Markiem Michalikiem, Wiesławem Żyźniewskim, Piotrem i Jolantą Kluszczyńskimi oraz Andrzejem Smulikem. W latach 1984–1988 prowadził w swoim mieszkaniu punkt dystrybucyjny wydawnictw podziemnych. Kolportował publikacje podziemne (książki Wydawnictwa Polskiego KPN, czasopisma „Droga”, „Tygodnik Mazowsze”, „Biuletyn Łódzki” i in.), organizował lokale konspiracyjne, uczestniczył w akcjach ulotkowych.

W 1985 roku, zwolniony z pracy w pabianickiej „podstawówce”, znalazł zatrudnienie – także jako nauczyciel wychowania fizycznego – w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 29 w Łodzi, gdzie pracował do 2003 roku. W 1987 roku ukończył studium podyplomowe z zakresu turystyki na Uniwersytecie Łódzkim.

Jego niepodległościowa działalność była obserwowana przez Służbę Bezpieczeństwa w ramach Sprawy Operacyjnego Rozpracowania krypt. „Ekipa”. W latach 1984–1986 Laskowski był kilkakrotnie przesłuchiwany przez SB.

Po ponownym zarejestrowaniu „Solidarności” w 1989 roku kontynuował działalność związkową. Od roku 2000 aż do śmierci był członkiem Międzyzakładowej Komisji NSZZ „Solidarność” Oświaty Łódź-Bałuty. Po 1989 roku aktywnie działał także w strukturach KPN. W 2007 roku został członkiem Ligi Polskich Rodzin, a w 2010 roku Prawa i Sprawiedliwości.

W roku 2008 został współzałożycielem Związku Weteranów Trzeciej Konspiracji 1956–1989 i do roku 2011 pełnił funkcję członka Komisji Rewizyjnej.

Działał także w Polskim Związku Podnoszenia Ciężarów. W latach 2003–2007 był trenerem w Centrum Zajęć Sportowych. Był także wielkim miłośnikiem astronomii, uchodził za najlepszego łódzkiego obserwatora gwiazd zmiennych, od 1985 roku należał do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii.

Za swoje dokonania na tak wielu polach był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. W 2013 został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, w 2001 otrzymał z rąk ministra kultury i dziedzictwa narodowego odznakę Zasłużony Działacz Kultury, w 2003 został uhonorowany medalem „O Niepodległość Polski i Prawa Człowieka 13 XII 1981 – 4 VI 1989”. Jako sportowiec zdobył 17 tytułów mistrza Polski w podnoszeniu ciężarów w kategorii weteranów, siedem medali, w tym jeden złoty, na mistrzostwach Europy, cztery medale na mistrzostwach świata. W roku 1988 otrzymał odznakę Zasłużony Działacz Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów. W roku 1997 został odznaczony Srebrną Odznaką Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii.

*Henryk Marczak
publicysta, związkowiec*

recenzje

Encyklopedia łódzkiego getta

Uratowany dokument

Wojciech Żródlak

str. 173

Ostatni Lodzermansch. Robert Geyer, 1888–1939

Powrót łodzianina

Gustaw Romanowski

str. 181

Kobro. Skok w przestrzeń

Skok w popkulturę?

Błażej Filanowski

str. 185

Godzina papugi

Wątki łódzkie w książce Ołeksandra Zinczenki

Józef Śreniowski

str. 189

Encyklopedia łódzkiego getta

Uratowany dokument

recenzje

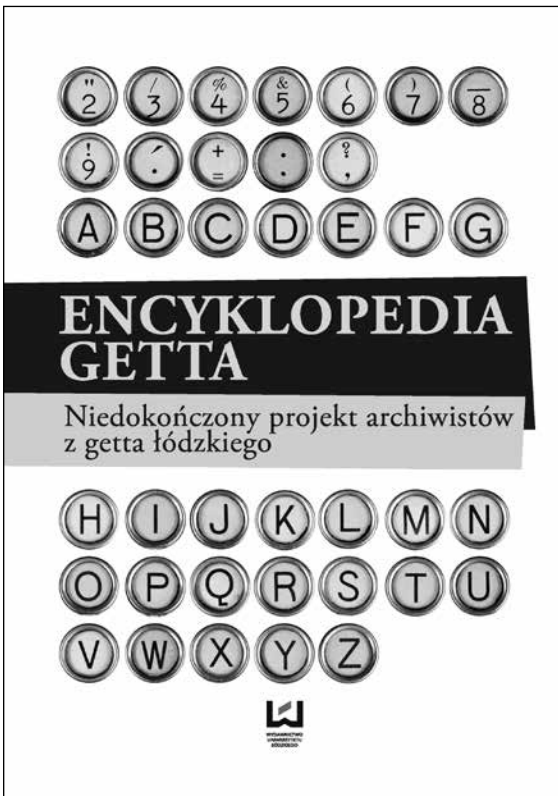
W sierpniu 2015 roku minęła kolejna, 71. rocznica likwidacji łódzkiego getta. Niewątpliwie jednym z najważniejszych elementów jej obchodów była prezentacja (na spotkaniu w Archiwum Państwowym w Łodzi 27 sierpnia) zapowiadanego od dłuższego czasu wydawnictwa źródłowego z pełnym tekstem *Encyklopedii getta* (*Encyklopedia* to po *Kronice getta łódzkiego* – wydanej w 2009 roku – najważniejsze, obok oczywiście całego zespołu archiwalnego łódzkiego getta, źródło informacji o życiu codziennym i funkcjonowaniu getta w Litzmannstadt).

Oba wydawnictwa uzupełniają się, chociaż różnią się istotnie w ogólnej koncepcji i przeznaczeniu. *Kronika*, była zapisem codziennych wydarzeń w getcie, dokumentem prawie oficjalnym – chociaż faktu jej prowadzenia nie kolportowano szeroko – i z tego powodu podlegała kontroli Przełożonego Starszeństwa Żydów w Łodzi Mordechaja Chaima Rumkowskiego poprzez gettowską Komisję Cenzorską. Z tej przyczyny jej autorzy o wielu sprawach nie mogli pisać wprost. Poza tym jej forma, rodzaj diariusza, z natury rzeczy nie przewidywała umieszczania w niej materiałów o treści bardziej ogólnej, sumującej określony zakres wiedzy i informacji.

„Encyklopedia getta” od razu została przeznaczona „dla potomnych”. Paweł Śpiewak, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, napisał w przedmowie do jej wydania: „redaktorzy [Encyklopedii] z łódzkiego getta podjęli tę samą, co zespół dr. Emanuela Ringelbluma – Oneg Szabat – misję tworzenia pamięci, przygotowania materiałów źródłowych dla historyków”. Tu przedmiotem opracowania było łódzkie getto zamknięte z ostatnim dniem kwietnia 1940 roku; jego formalne istnienie zakończył ostatni transport kolejowy, który odszedł ze stacji Radegast w kierunku obozu zagłady Auschwitz-Birkenau 29 sierpnia 1944 roku.

Idea podsumowania dotychczasowych dziejów getta w postaci haseł encyklopedycznych zrodziła się w zespole redakcyjnym *Kroniki* w ostatnich miesiącach 1943 roku. Zapisał ją jeden z jej redaktorów – Oskar Rosenfeld, pisząc m.in.:

Życie ludzi pod przymusem narzuconym im z zewnątrz, bez możliwości świadomego tworzenia wspólnoty z czasem przybrała formy, które były możliwe tylko w getcie. Codzienna egzystencja zbiorowości wymagała wypracowania



pewnych norm współżycia polegających na stworzeniu własnej struktury, języka i terminologii. Nigdzie na świecie nie było takiej wspólnoty ludzi, którą można by porównać z tą z getta. [...] Ogólnie należy stwierdzić, że rozszerzyła się skarbnica językowa w zakresie tematyki getta. Wszędzie spotykamy określenia nieznane przed utworzeniem getta lub poza jego granicami. Atmosfera panująca w getcie określa w pewnej mierze zakres języka i słownictwa, który mają do dyspozycji jego mieszkańcy. Zbiór tego słownictwa tworzy część historii kultury getta. W późniejszej epoce, kiedy będą prowadzone badania nad gettem, taki zbiór, taka encyklopedia, będzie mogła dostarczyć informacji tam, gdzie nie wystarczy sam opis warunków. Słowo, język w historii ludzkości jest bardziej wiarygodnym świadkiem i źródłem prawdy niż inne materialne pomniki.

Klasycznym przykładem jest tu słowo „klepsydra”. Obok swojego „normalnego” znaczenia w getcie określano nim człowieka, który na twarzy i w sylwetce miał niejako wypisane najbliższe przeznaczenie, czyli bardzo często śmierć z głodu. Sugestywnie ilustruje to hasło (s. 110) zdjęcie więźnia getta w łóżku szpitalnym, kiedy te jeszcze jako tako funkcjonowały.

Jednak nie tylko na słowach i pojęciach skoncentrowała się uwaga redaktorów *Encyklopedii*. Plan zawierał również hasła dotyczące ludzi, którzy mieli największy wpływ na jego funkcjonowanie, oraz opis najważniejszych jego instytucji i zakładów pracy.

Wstępny plan obejmował napisanie 1347 haseł. Prace nad nimi rozpoczęto już w styczniu 1944 roku. Jednak, jak pisze w haśle „Archiwum” Oskar Singer, „brak odpowiedniego sztabu współpracowników utrudniał całe przedsięwzięcie”. Ostatecznie przerwała je rozpoczęta przez Niemców w czerwcu akcja likwidacji getta. Dlatego ile haseł udało się napisać, tego prawdopodobnie nigdy się już nie dowiemy. W trakcie przygotowania tej publikacji odnaleziono 378, z tym że w tej liczbie zawiera się też kilka haseł podwójnych lub nawet potrójnych, dotyczących przede wszystkim tych samych osób (np. „Rumkowska Helena”), odnalezionych w różnych zespołach. Wielka szkoda, bo w projekcie można odnaleźć wiele interesujących haseł problemowych, które niewątpliwie znacząco poszerzyłyby naszą współczesną wiedzę o tragicznych dziejach getta.

Dlatego ciekawym zabiegiem, godnym uznania za pomysł, jest dopisanie 45 haseł przez zespół edytorski, które „wystąpiły w odnośnikach w *Encyklopedii* (vide), a nie pojawiły się w źródle”. Był do tego jak najbardziej uprawniony na bazie swojej ogromnej wiedzy o dziejach getta, uzyskanej między innymi podczas pracy nad wydaniem *Kroniki*. Tak więc w sumie w publikacji mamy 418 haseł.

Większość odnalezionych i opublikowanych haseł (200), chociaż w różnej objętości, dotyczy osób, ponieważ najłatwiej zapewne było zebrać do nich materiał, jako że redakcja *Kroniki* sąsiadowała z Wydziałem Meldunkowym i Wydziałem Statystycznym w kamienicy przy pl. Kościelnym 4. Dlatego autorzy tych haseł mogli stamtąd łatwo pozyskać podstawowe informacje, jak daty urodzenia, objęcia stanowiska w getcie itp. Poza tym Wydział Archiwum, którego elementem organizacyjnym była redakcja *Kroniki*, zbierał na bieżąco informacje o zasłużonych i znaczących więźniach getta, a to zaowocowało obszernością ich haseł.

Jak już wspominałem, *Encyklopedia getta* od początku nie była przeznaczona do szerszego rozpowszechnienia. Była „wewnętrznym projektem” zespołu Archiwum, stąd autorzy niektórych haseł osobowych mogli sobie pozwolić na zawarcie w nich elementów oceniających. Tak np. w odniesieniu do Dawida Warszawskiego: „jest w getcie typem przedsiębiorcy, który swe zakłady [był kierownikiem wszystkich zakładów krawieckich] trzyma twardą ręką. O ile jego działania na rzecz getta należy ocenić wysoko, nie można nie wspomnieć, że był nielubiany przez robotników jako zatwardziały, bezwzględny szef. Był wręcz znienawidzony. [...] Warszawski był jedną z najbardziej wpływowych osób w getcie” (s. 227).

Encyklopedia była pisana w kilku egzemplarzach przez kalkę (każde hasło na osobnej kartce o wymiarach 167 x 140 mm), które zostały rozproszone po wojnie. Dlatego oczywistym początkiem pracy zespołu edytorskiego było scalenie

ich w jedną całość. Podstawowy zasób haseł znajduje się dziś w zbiorach Archiwum Państwowym w Łodzi. Drugi w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, a trzeci (131 haseł) w Archiwum kibucu im. Bohaterów Getta w Izraelu. Ten ostatni zestaw został opublikowany w tłumaczeniu na język hebrajski już w latach 1955–1956 w Izraelu, co przez lata czyniło go nieczytelnym dla badaczy spoza kręgu tego języka, a osobiste dotarcie do oryginału nie było możliwe¹. Kilka kart *Encyklopedii* oraz tekst o idei *Encyklopedii* pióra Oskara Rosenfelda znajdują się w Archiwum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie oraz w Archiwum YIVO w Nowym Jorku. Już samo to scalenie i ustalenie jednolitego tekstu w jednym wydawnictwie jest wielką i trudną do przecenienia zasługą zespołu edytorskiego, ogromnie ułatwiającym pracę obecnym i przyszłym historykom dziejów łódzkiego getta. Równie istotne było przetłumaczenie fragmentów pisanych po niemiecku (Krystyna Radziszewska) i z jidysz na język polski (Monika Polit), które przeważają i tym samym, szczególnie w odniesieniu do jidysz, czyniły ją zamkniętą dla szerszego grona badaczy i czytelników.



Zdjęcie wykonane na terenie byłego obozu przejściowego w fabryce Michała Glazera przy obecnej ul. Liściastej 17 w latach 1946-1949. W tym czasie funkcjonował tu warsztat naprawczy samochodów Spółdzielni Spożywców „Społem”. Zdjęcie publikowane po raz pierwszy. Zbiory Wojciecha Żródlaka

Forma wydawnictwa (graficzna i merytoryczna) została bardzo starannie przemyślana. Tekst podstawowy poprzedzają dwa artykuły dające tło merytoryczne *Encyklopedii*: Krystyny Radziszewskiej *Przyczynek do historii kultury getta. O encyklopedii getta* oraz Moniki Polit *Encyklopedie żydowskie (zarys)*. Oczywiście istotna i nie mniej interesująca jest *Nota edytorska* autorstwa Ewy Wiatr, Jacka Walińskiego i Adama Sitarka.

Kolejny wstępny materiał to współczesne, oparte na aktualnym stanie wiedzy noty biograficzne autorów i współpracowników *Encyklopedii*: Jerachmila Brymana, Henryka Neftalina, Michała Nowaka, Bernarda Ostrowskiego, Oskara Rosenfelda, Oskara Singera, Jeszajahu Szpigiel, Józefa Urysona, Petera Wertheimera i Józefa Zerkowicza. Godny uznania jest trud wydawców, aby odnaleźć zdjęcia autorów, co udało się w siedmiu przypadkach, chociaż akurat, nie wiadomo czemu, w dwóch przypadkach (H. Naftalin i O. Rosenfeld), zdjęcia znajdują się przy ich hasłach osobowych.

Za tekstem *Encyklopedii* pomieszczono w aneksach uzupełniające materiały źródłowe, jak *Lista planowanych haseł do Encyklopedii getta*, *Lista inteligencji żydowskiej zwolnionej z deportacji w lipcu 1944* (zawiera 41 nazwisk, która ze swoimi podstawowymi informacjami o danej osobie, jej ogólnym znaczeniu dla społeczności żydowskiej i działalności w getcie, doskonale wpisuje się w formułę *Encyklopedii* – ponownie wielkie uznanie na pomysł!) i relacja Bernarda Ostrowskiego złożona przed Centralną Żydowską Komisją Historyczną w 1947 roku w Łodzi.

Wydawnictwo kończy *Indeks haseł*, *Wykaz haseł według autorów* oraz *Wykaz ulic występujących w Encyklopedii* (choć tu brakuje mi ich oznaczeń literowo-cyfrowych, które formalnie zostały wprowadzone od października 1941 roku i znajdują się na planach Litzmannstadt/Łodzi). W nawiązaniu do tego spisu ulic ideałem byłoby dołączenie w większym formacie do tej publikacji wykadrowanego z ogólnego planu Litzmannstadt fragmentu obszaru getta.

Kolejne elementy znakomicie sumujące informacje zawarte w *Encyklopedii* to *Spis wydziałów administracji żydowskiej występujących w Encyklopedii* (w układzie niemiecko-polskim i polsko-niemieckim), *Źródła ilustracji*, *Indeks osobowy* i wreszcie obszerna *Bibliografia*.

W tekście głównym znajduje się wiele informacji odredakcyjnych, które wyjaśniają i uzupełniają zapisy *Encyklopedii*. Doskonałym zabiegiem edytorskim jest pomieszczenie ich nie w postaci typowych przypisów, ale tuż pod danym hasłem, na szarej apli. Ogromnie ułatwia to czytanie, bez odrywania oczu od tekstu głównego. Ważne jest to przy hasłach osobowych, gdy po oryginalnym tekście otrzymujemy współczesną encyklopedyczną wiedzę o danym człowieku. Trzeba wyrazić uznanie za pomysł edytorski, który z wydawnictwa *stricte* naukowego czyni treść główną przyjazną czytelnikowi spoza „branży historycznej”.

Całość uzupełnia bardzo bogaty materiał ilustracyjny, choć brakuje podpisów, przede wszystkim przydatnych tym czytelnikom, którzy po raz pierwszy

spotykają się z tematyką łódzkiego getta, jakkolwiek zdjęcia dokładnie ilustrują dane hasło. Moim zdaniem pewnym uchybieniem edytorskim jest nierozdzielenie, np. delikatną czarną kreską, poszczególnych fotografii, które zostały opublikowane „na styk”. Szczególnie razi to przy zdjęciach mniej więcej w tej samej tonacji kolorystycznej.

Na zakończenie kilka moich drobnych uwag i uzupełnień z dwóch obszarów bliskich moim zajęciom zawodowym.

Hasło „Radogoszcz” (s. 169): od wielu lat pracuję nad korektą powszechnego w Łodzi łączenia pod tą nazwą dwóch różnych miejsc i trzech różnych funkcji. Swego czasu wykorzystałem nawet do tego celu Wikipedię, gdzie umieściłem trzy hasła: „Radogoszcz (obóz przejściowy)”, „Radogoszcz (obóz przesiedleńczy)” i „Radogoszcz (więzienie)”; mam je w stałym nadzorze i ciągle je uzupełniam. W *Encyklopedii* hasło „Radogoszcz” w całości dotyczy obozu przejściowego w fabryce i cegielni Michała Glazera przy obecnej ul. Liściastej. Po jego likwidacji w tym miejscu na przełomie lat 1939/1940 pozostałych więźniów tego obozu, w tym żydowskich, umieszczono w położonej w pobliżu, u zbiegu obecnych ulic Zgierskiej i gen. J. Sowińskiego, dużej fabryce włókienniczej Samuela Abbego, którą 1 lipca 1940 roku przekształcono w Rozszerzone Więzienie Policyjne. W tym czasie w fabryce funkcjonował też obóz przesiedleńczy dla Polaków.

Zilustrowanie tego hasła zdjęciem ze stycznia–lutego 1945 roku spalonego więzienia radogoskiego jest niestety błędem (jakkolwiek zdjęcie jest ciekawe, ponieważ ukazuje elewację frontową byłego więzienia niedługo przed jej zawaleniem się do formy, jaką dziś znamy). Jeżeli już, to należałoby je umieścić przy hasle „Fabryka Abbego w Radogoszczu”.

Znane są tylko trzy fotokopie (oryginały niestety zaginęły). Zginęło także ich źródło, czyli jednostkowy maszynopis opracowania historycznego z roku 1971 o dziejach tego miejsca, zamówionego przez ówczesną Fabrykę Pierścieni Tłokowych „Prima”. Prawdopodobnie przekazano go na makulaturę, kiedy likwidowano tamtejszą bibliotekę zakładową. Zdjęcia z terenu byłego obozu przejściowego w fabryce M. Glazera, wykonane w latach 1946–1949, gdy znajdowały się tu warsztaty naprawcze samochodów Spółdzielni „Społem”, dołączam do tego materiału.

Druga uwaga dotyczy hasła „Elektrische Strassenbahn Getto”. Zostało ono odredakcyjnie przetłumaczone, w sumie pozornie poprawnie: „tramwaj elektryczny w getcie”. Problem jednak w tym, że jest to OFICJALNA nazwa gettowego przedsiębiorstwa tramwajowego. Zresztą widać ją na zdjęciu oryginalnej tablicy „firmowej” tej firmy (s. 63), która znajduje się w zbiorach Muzeum Żydowskiego Instytutu Historycznego (sygn. B-131).

Nie wiadomo, czemu w *Spisie wydziałów administracji żydowskiej występujących w Encyklopedii* nie ma Wydziału Transportowego (jednego z ważniejszych w strukturze administracyjno-produkcyjnej getta), którego jakiś czas ES-G było elementem organizacyjnym; chociaż jest w *Encyklopedii* hasło „Transportabteilung”

(s. 216–217). Od lutego 1944 ES-G stało się ponownie osobnym przedsiębiorstwem i z tego powodu warto było je umieścić w dyskutowanym *Spisie*.

Szkoda też, że jednego ze zdjęć ilustrujące to hasło (s. 63), wagonu silnikowego sprowadzonego z Koblencji specjalnie dla ES-G, wykonane na obszarze „stacji Radegast”, nie opublikowano w kolorze; jest to jeden ze slajdów „fotoamatora”² Waltera Geneweina. W ogóle brakuje mi w tym wydawnictwie oryginalnych reprodukcji z tego zestawu, chociaż zauważyłem tu kilka ich czarno-białych reprodukcji.

Kolejna uwaga „tramwajowa”: na str. 62 jako ilustracja hasła „Elektrische Strassenbahn Getto” znajduje się reprodukcja dwóch tramwajowych biletów, które z gettem nie mają nic wspólnego. Były to bilety używane TYLKO na przejazd eksterytorialnymi w stosunku do obszaru getta odcinkami ulic Zgierskiej i B. Limanowskiego dwoma tramwajowymi tzw. „liniami pomocniczymi” (*Pendenlinie*), przeznaczonymi TYLKO dla mieszkańców okupowanej Łodzi. Bilety sprzedawano w automatach na początkach tych linii i miały specjalną cenę – 5 fenigów, przy 10 fenigach opłaty za przejazd jednej strefy taryfowej. Były to bilety typu kolejowego, kartonowe, koloru żółtego. W zbiorach tworzącego się Muzeum Komunikacji Miejskiej w Łodzi zachowało się kolorowe przeźrocze Geneweina jednego z takich automatów na ul. Nowomiejskiej. Stąd lepiej byłoby zdjęcie tych biletów umieścić jako ilustrację hasła „Ulice przejazdowe”.

I już ostatnie niezbędne wyjaśnienie związane z tramwajem gettowym: w hasle „ES-G” mowa o „lorach”. W przypisie jest wytłumaczenie, że chodzi o „wagon bez bocznych ścian, przeznaczony głównie do transportu pojazdów”. Jest to jedno z znaczeń tego słowa. Drugie, popularne, chyba używane do dzisiaj, to po prostu odkryty wagon towarowy. Akurat w tym przypadku Autorowi oryginalnego hasła na pewno chodziło o to znaczenie, bo istotą funkcjonowania ES-G był transport towarowy, głównie na trasie centrum getta – stacja Radegast. Na stronie obok (s. 62) jest reprodukcowane zdjęcie zestawu ES-G składającego się z wagonu silnikowego i trzech takich towarowych doczepek, ale nie lor... Nie jest mi znany fakt przewożenia na terenie getta lorami jakichkolwiek pojazdów, jak czytamy w przypisie. W getcie przede wszystkim były potrzebne wspomniane odkryte wagony towarowe do przewożenia ładunków masowych, jak np. węgiel, ziemniaki, warzywa. Zresztą widać to w niemałej ikonografii łączącej się z tym tematem³.

Mimo tych drobnych uchybień trzeba bezwzględnie podkreślić, że otrzymaliśmy cenne i praktycznie fachowe wydawnictwo źródłowe, ułatwiające bardzo pracę zawodowym historykom, jednocześnie wprowadzające w szeroki obieg społeczny wiele nieznanych w nim informacji i zdjęć.

Instytucjami sprawczymi są Uniwersytet Łódzki, Centrum Badań Żydowskich w Katedrze Literatury i Kultury Niemiec, Austrii i Szwajcarii, Archiwum Państwowe w Łodzi oraz Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie.

Publikacja została sfinansowana w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pn. Narodowy Program Rozwoju Humanistyki w latach 2012–2017.

Wojciech Źródłak
historyk, st. kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych

Encyklopedia getta. Niedokończony projekt archiwistów z getta łódzkiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2015. Przygotował zespół: Monika Polit (Uniwersytet Warszawski), Krystyna Radziszewska (UŁ), Adam Sitarek (UŁ), Jacek Walicki (UŁ), Ewa Wiatr (UŁ), przy współpracy Piotra Zawilskiego (Arch. Państw. w Łodzi).

Przypisy:

1. Z osobistych kontaktów z edytorami wiem, że kilka haseł jest tylko w tym wydaniu, choć nie ma ich oryginałów i nie wiadomo w jakich okolicznościach ich treść została do niego włączona. Pomimo tego zespół edytorski, na pewno słusznie, włączył je do swojej publikacji, podając jako źródło to wydanie.
2. Tak brzmi tytuł znanego filmu dokumentalnego Dariusza Jabłońskiego z roku 1998. Reżyser zderzył te zdjęcia z komentarzem Arnolda Mostowicza, lekarza, więźnia łódzkiego getta.
3. W końcu trzeba będzie dokończyć wspólne pisanie monografii historycznej poświęconej dziejom ES–G, unikalnego tego rodzaju przedsięwzięcia w dziejach gett żydowskich w okresie II wojny światowej, między innymi dla wyjaśnienia wszystkich niuansów taborowych.

Ostatni Lodzermensch. Robert Geyer, 1888–1939

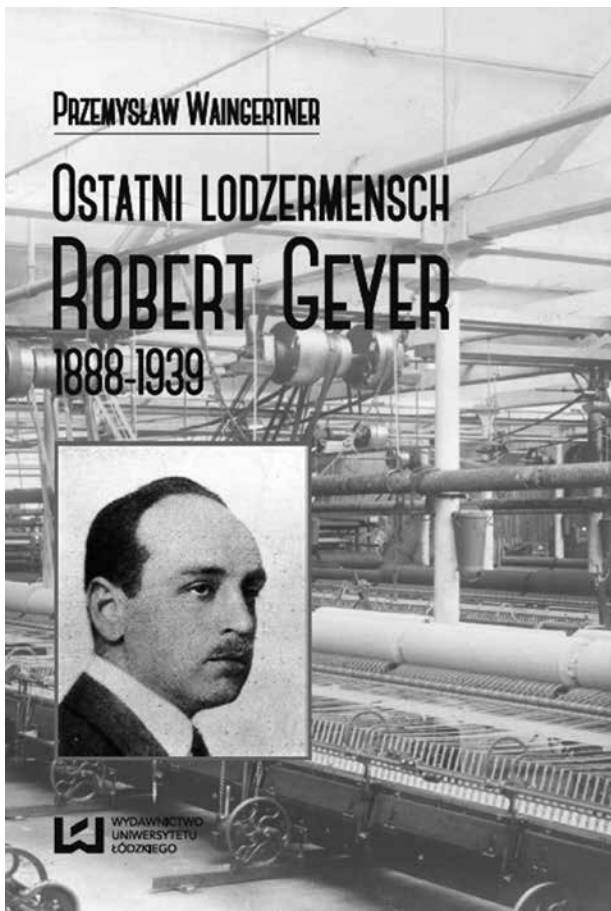
Powrót łodzianina

recenzje

Spóźnione o całe dekady zainteresowanie historią gigantów Łodzi przemysłowej: Scheiblera, Grohmana Poznańskiego, Geyera, owocuje w ostatnich latach coraz to nowymi opracowaniami, z czego na pewno warto się cieszyć, nawet jeśli ukazują się teksty niepełne i przyczynkarskie. Poznawanie prawdziwej przeszłości miasta – dziedziny przez wiele lat zaniedbanej, ale także zakłamywanej – jest dzisiaj pasją wielu ludzi, nie tylko zresztą młodego pokolenia, poszukujących pogłębionej wiedzy o wszystkim, co dotyczy Łodzi.

Dlatego trzeba odnotować z zadowoleniem ukazanie się książki profesora Przemysława Waingertnera *Ostatni Lodzermensch. Robert Geyer, 1888–1939*, poświęconej ostatniemu tragicznemu przedstawicielowi rodu Geyerów. To obok wydanej przed półwieczem *Legendy Geyerowskiej* Andrzeja Berkowicza druga pozycja książkowa przywracająca pamięć o tej zasłużonej dla Łodzi rodzinie.

Robert Geyer to postać bardzo ważna dla wielonarodowej tożsamości naszego miasta. Ten wnuk Ludwika Geyera – twórcy Białej Fabryki i pierwszego w Łodzi przemysłowca, który wprowadził do produkcji wielką maszynę parową – świetnie wykształcony za granicą nowoczesny menedżer, był także otwartym na różne dziedziny życia społecznikiem. I niewątpliwie polskim patriotą. Autor nazywa go wprawdzie „ostatnim Lodzermenschem”, ale to określenie najmniej chyba przystaje do umiarkowanego działacza Stronnictwa Prawicy Narodowej, z sympatii politycznych – piłsudczyka, twórcy łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz pierwszego prezesa powstałego w 1936 roku Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, wreszcie polskiego działacza sportowego. Dziewiętnastowieczni „Lodzermensche” to byli kosmopolici, świetnie dogadujący się z carską władzą, obojętni na polskie aspiracje niepodległościowe. Natomiast w przypadku Roberta Geyera można sądzić – opierając się na wielu faktach z jego życia – że od młodości czuł się Polakiem, skoro podczas pierwszej wojny światowej działał w Głównym Komitecie Obywatelskim i już wtedy został nawet przez ówczesne okupacyjne niemieckie władze aresztowany. Na niewątpliwą polskość Roberta wskazuje zresztą sam autor książki, przypominając jego decyzję z sierpnia 1939 roku, kiedy na żądanie polskich robotników zwolnił z pracy w swojej



fabryce kilkunastu łódzkich Niemców, pracowników nadzoru, aktywnie manifestujących swoje prohitlerowskie sympatie.

Czy śmierć Roberta Geyera w grudniu 1939 roku, zastrzelonego we własnym domu przez gestapowców, była ostatecznym dowodem na jego nieugiętą propolską postawę? Na ten temat trwają od kilkadziesiąt lat dywagacje historyków i Przemysław Waingertner, idąc ich śladem, szczegółowo przedstawia różne hipotezy, które mogły stać u przyczyn tego morderstwa. Zresztą podwójnego, bo jednocześnie ci sami oprawcy zastrzelili Guido Johna, siostrzeńca Roberta. Żadna z tych hipotez jednak, jak podkreśla autor, nie jest poparta wystarczającymi dowodami i na zebranie ich jest już pewnie za późno, o czym świadczy nieudane śledztwo w tej sprawie Instytutu Pamięci Narodowej.

Nad dotarciem do prawdy, dlaczego zginął Robert Geyer, mści się pewnie wieloletnia polityka historyczna PRL i ideologiczne zapory niepozwalające

uznawać wartości człowieka, jeśli miał nieszczęście być kapitalistą. O okolicznościach śmierci Roberta podczas narastającego w Łodzi hitlerowskiego terroru skierowanego przeciwko elitom miasta wiedzieli pracownicy przedsiębiorstwa Geyerów, którzy wbrew grożącym im represjom zjawili się tłumnie na cmentarzu podczas skromnego pogrzebu zamordowanego właściciela fabryki. Po wojnie o tym zdarzeniu mówiła Łódź, ale tylko nieoficjalnie, bo nie do pomyślenia było wszczęcie w tej sprawie śledztwa i poszukiwanie winnych tego zabójstwa np. na terenie RFN, którą propaganda Polski Ludowej wylansowała na ojczyznę „odwetowców”, „rewizjonistów” i największych wrogów pokoju. Być może gdyby w latach 50. takie śledztwo wszczęto, udałooby się rozwikłać tajemnicę śmierci tych dwóch członków rodziny Geyerów, a może nawet ustalić i ukarać gestapowskich sprawców tej zbrodni. Jeśli nawet mieszkali oni po wojnie w RFN, to dziś na pewno już nie żyją.

Dobrze, że autor postanowił przypomnieć pełnioną od 1927 roku przez Roberta Geyera funkcję konsula honorowego Finlandii. To ważny fakt dla historii międzywojennej Łodzi, której gospodarczą aktywność znaczyły konsulaty zarówno zawodowe, jak i honorowe. W okresie międzywojennym było ich tu więcej niż obecnie, co potwierdza szerokość kontaktów zagranicznych krzyżujących się wówczas w naszym mieście. Przemysław Waingertner uznał za potrzebne dokładne omówienie uprawnień i obowiązków konsula honorowego, którym Geyer musiał podołać – niezależnie od kierowania wielkim rodzinnym przedsiębiorstwem i piastowania różnych funkcji społecznych. Może rozdział ten niektórym czytelnikom wyda się zbędny albo za długi, ale warto zwrócić uwagę, że ta sfera „małej dyplomacji” istniejącej na poziomie konsulatów honorowych jest w świadomości łodzian bardzo mało spopularyzowana. Kiedy w 2007 roku „Kronika miasta Łodzi” wydała „Łódź konsularną” – specjalny numer kwartalnika poświęcony konsulatom honorowym – temat niespodziewanie wzbudził wielkie zainteresowanie czytelników, a nawet impuls dla kilku naukowców, którzy dostrzegli w tej problematyce nowy obszar badawczy.

Książka profesora Waingertnera, pomyślana jako popularnonaukowa, adresowana jest do szerokiego kręgu czytelników. Wbrew tytułowi nie jest to tylko monografia Roberta Geyera, ale przede wszystkim popularne omówienie dziejów rodziny Geyerów, tworzenia ich fortuny i wrastania w Łódź równoległe z przemysłowym, społecznym i kulturalnym rozwojem miasta. Popularyzatorskiemu celowi sprzyja z pewnością przyjęty przez autora gawędziarski styl, który czasem może jednak wydawać się przesadny. Np. Ludwik Geyer, współtwórca przemysłowej Łodzi i założyciel rodzinnej fortuny, na kartach książki pojawia się jako „Sęp z Piotrkowskiej”, „król perkalików”, „Czarny”, „Saksończyk”, „niemiecki czarnoksiężnik”, a Łódź jest zamiennie nazywana „polskim Manchesterem”, „miastem nad Łódką”, „włókienniczym Klondike”, „kominogrodem” itp. Niewątpliwym walorem książki jest to, że autor poświęcił w niej sporo miejsca sprawom gospodarczym, sytuując na ich tle życie trzech pokoleń Geyerów. Analizując kryzysy ekonomiczne, które rzutowały na kondycję łódzkiego przemysłu

w XIX i XX wieku, trafnie znajduje Geyerów jako zdolnych ludzi biznesu, umiejących znaleźć rozwiązanie prawie w każdej trudnej sytuacji.

Interesujące w tej książce są cytaty, których treść nawet po latach budzi szacunek, m.in. ze wspomnień Heleny Geyerowej, matki Roberta. Była ozorkowianką, a cytowane fragmenty jej pamiętników są dobrym świadectwem czulej dobroci tej kobiety, która z ośmiorgiem dzieci wcześniej została wdową. Robert, najmłodszy z rodzeństwa, miał wówczas ledwie pięć lat.

Szkoda tylko, że dzieje rodziny Geyerów kończą się w książce wraz ze śmiercią Roberta. Choć on sam był człowiekiem samotnym, to przecież pozostało liczne jego rodzeństwo i ich dzieci. Pozostali także inni kuzyni. Część wyjechała za granicę, ale większość pozostała w Polsce. Wiadomo, że Gustaw Geyer, brat Roberta, odmówił opuszczenia Polski po wojnie i mieszkał do końca życia w Gliwicach. Kuzyn Karol Geyer jeszcze w latach 60. przyjeżdżał do Łodzi, gdzie procesował się z jakąś kobietą o zwrot zabytkowego kredensu. Jego syn mieszka w Kanadzie. W niedawnej uroczystości otwarcia Konsulatu Honorowego Finlandii uczestniczył potomek Geyerów, Dominik Szczęsny-Kostanecki. To tylko niektórzy.

Warto byłoby więc historię tej rodziny kontynuować.

Gustaw Romanowski

Przemysław Waingertner, *Ostatni Lodzermensch. Robert Geyer 1888–1939*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2014.

Kobro. Skok w przestrzeń

Skok w popkulturę?

recenzje

Katarzyna Kobro ma swoje miejsce w panteonie najbarwniejszych i najwybitniejszych osobowości awangardowego środowiska artystycznego, ale wciąż nie jest postacią powszechnie znaną. Małgorzata Czyńska w książce *Kobro. Skok w przestrzeń* proponuje szerokiemu gronu czytelników przystępną opowieść o tej nietuzinkowej postaci. Książka będąca łatwym do przyswojenia „podręcznikiem” przedstawiającym najważniejsze wątki z życia artystki wydaje się dobrym źródłem inspiracji dla wszystkich zainteresowanych pogłębieniem swojej wiedzy o niej i interpretowaniem jej dokonań. „Żeby spopularyzować biografię Katarzyny Kobro, trzeba by kogoś jak Andrzej Wajda” – podpowiada Czyńska, tym samym wyrażając oczekiwanie, że życie i osiągnięcia wybitnej rzeźbiarki to temat kulturotwórczy i wciąż oczekujący na wybitnego interpretatora. Kogoś, kto wprowadzi Kobro do zbiorowej wyobraźni. Takie próby były już podejmowane wielokrotnie, choćby ostatnio przez Małgorzatę Sikorską-Miszczuk, autorkę dramatu *Kobro*, wystawionego po raz pierwszy przez Teatr Nowy w Łodzi w 2014 roku. Wydaje się jednak, że Czyńska podsycza myśl o czymś spektakularnym i masowym. Sama jednak wyważa opinie, opiera się przede wszystkim na wnioskach i badaniach wybitnych znawców sztuki awangardowej, dokumentach i relacjach, wydobywając w swojej pracy jaskrawe wątki z życia Kobro. Nie chce nadinterpretować ani narzucać własnych imaginacji, szczególnie że mamy badaczy jej twórczości, pracę córki na jej temat oraz propagujące jej dorobek Muzeum Sztuki – to sprawia, że do Kobro trzeba podejść poważnie.

Andrzej Wajda tymczasem zajmuje się filmem na temat jej męża Władysława Strzemińskiego – życiowej miłości, partnera intelektualnego i artystycznego, wreszcie oprawcy i przeciwnika szukającego satysfakcji na sądowych salach. Ile miejsca poświęci Katarzynie Kobro? Czy o Strzemińskim można mówić bez Kobro i *vice versa*? Czyńska poświęca postaci Strzemińskiego bardzo dużo miejsca. Artystyczne pary na uczuciowej i twórczej drodze to fenomen awangardy – sztuka była dla nich silnym spoiwem dodającym obojgu energii i inspiracji, ale też wywołującym napięcia. Strzemińscy, marząc o nowej sztuce, na swojej długiej drodze ze Związku Radzieckiego do (nieosiągniętego) Paryża zatrzymali się na dłużej w Łodzi. Dziś ich dziedzictwo jest dla środowiska artystycznego miasta kluczowe. To w dużej mierze oni przyczynili się do stworzenia w Łodzi wyjątkowego ośrodka sztuki okresu międzywojennego i generalnego rozwoju awangardy w Polsce. Tworząc, nauczając, deponując kolekcje darów



światowej awangardowy w Muzeum Sztuki oraz promując i broniąc sztukę najnowszą, byli niezwykle pracowici i zdeterminowani.

Gdy Strzemiński otrzymał nagrodę Miasta Łodzi, Katarzyna Kobro towarzyszyła mu na gali. Przyznanie tak radykalnemu, tworzącego bezprzedmiotową sztukę, lewicującemu artyście prestiżowej nagrody było wyróżnieniem dla całego środowiska awangardy. Decyzja ta wzbudziła wiele kontrowersji, w takim stopniu, że osoby ze środowiska narodowo-konserwatywnego zakłóciły ceremonię, wywiązała się też polemika w prasie. Wtedy Kobro i Strzemiński byli po jednej stronie barykady. Kto mógłby się spodziewać, że za kilka lat będą toczyć ze sobą permanentny spór? Jedyna córka Władysława i Katarzyny Kobro – Nika Strzemińska po wielu latach milczenia zrelacjonuje piekło w jej rodzinnym domu. Nieustający konflikt o różnorodnym podłożu, który wywołały być może dramatyczne wybory czasów okupacji i zadeklarowanie przez oboje narodowości rosyjskiej (z czym Strzemiński nie mógł się pogodzić), doprowadził

do powstania patologicznej relacji. Strzeмиński bił żonę i szkalował ją wśród znajomych i sąsiadów. Po wojnie bez powodzenia walczył o córkę przed sądem, ale podobno blokował jej karierę. Żyjąca w skrajnej biedzie Kobro wyniszczona umiera na raka w 1951 roku. Na jej pogrzeb w mroźny zimowy dzień na prawosławnym cmentarzu na Dołach przychodzi kilka osób. Nie ma wśród nich Strzeмиńskiego. On sam, zwolniony z angażu profesora w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi, dla której był szczególnie zasłużoną postacią, rok później umrze na gruźlicę. Ten inspirowany, a potem niszczący związek to ważny element życia obojga. Czyńska nie tylko nie rozdziela ich życiorysów, ale też poświęca sporo miejsca córce artystów, której zapiski z „szarego zeszytu” matki posłużyły do napisania książki o swoich wybitnych i tragicznie skonfliktowanych rodzicach. Wydana w 1991 roku *Miłość, sztuka i nienawiść* Niki Strzeмиńskiej staje się jednym z istotniejszych źródeł opowieści Czyńskiej. *Skok w przestrzeń* referuje jej najważniejszą wątki, uzupełnia o kwestie związane ze sztuką, których córka wybitnej pary nie poruszała, oraz osadza ich losy w szerokim kontekście burzliwego okresu historycznego.

Obok córki i męża wokół Kobro pojawia się cała plejada postaci. Horyzont jest na tyle rozległy, że niekiedy wydaje się to aż zaskakujące i zastanawiające. Autorka cały rozdział poświęca Witkacemu i jego firmie portretowej, a przyczynkiem do tego jest portret Kobro, który narysował. Przez to książka nie jest jedynie biografią, a raczej wielowątkową opowieścią o czasach, sztuce i artystach, choć oczywiście w centrum pozostaje sama Katarzyna Kobro.

„Katia von Kobro już jako dziecko »miała diabła za skórą« i bunt we krwi. Dzieciństwo spędziła w dostatnim mieszczańskim domu, przyszło jej jednak dojrzewać i kształtować się zawodowo w okresie rewolucji, która zmiotła ten dom z powierzchni ziemi. Katarzyna dała się uwieść nowym ideałom, chociaż później nie bardzo wiedziała, jak je realizować w życiu. Jej życiowym celem i powołaniem okazała się sztuka rodząca się w nowym bolszewickim państwie” – czytamy w notatce prasowej wydawnictwa Czarne. Opis ten, choć chwytliwy, nie przedstawia do końca sprzeczności, jakie znajdziemy w samej biografii Kobro. Fascynację nowoczesnością łączyła ona z głęboką religijnością w prawosławnym obrządku. Tworzenie przestrzennych kompozycji na pograniczu architektury i sprzeciw wobec tradycyjnego postrzegania tej ostatniej jako uformowanego kawałka materiału nie przeszkadzały jej tworzyć oryginalnych, figuratywnych aktów-autoportretów. Jej poczucie tożsamości narodowej i przynależności klasowej także wydaje się nieoczywiste. Co tak naprawdę myślała Kobro, emigrantka, która w drodze z Rygi przez Moskwę zatrzymała się na polskiej prowincji, aby wreszcie związać swoje życie nie z wymarzonym Paryżem, ale z przemysłową Łodzią?

Kobro wypowiadała się o sztuce i ludziach, wypowiadano się też o niej. Dyrektor Muzeum Marian Minich z lekką złośliwością pisał o niej w *Szalonej Galerii*: „Poza tymi słabościami, hodowlą białych myszy, zwyczajem mówienia ludziom impertynencji i prowokowania awantur – posiadała przecież wiele cech miłych, co przy

dużej indywidualności spojrzenia na wiele zjawisk życia artystycznego i codziennego oraz trafności sądów o ludziach czyniło z niej, przy bliższym i głębszym poznaniu interesującą postać”. Kobro pisała o sztuce na łamach prasy, ale częściej robił to Strzemiński. Czy zawsze się z nim zgadzała? Wątki te proszą się o postawienie jakiejś hipotezy, ale nawet jeśli takie padają w książce Czyńskiej, to dość nieśmiało i wśród wielowątkowej narracji nie zapadają w pamięć. W głowie pozostają wyraziste obrazy, a pogląd na ich temat czytelnik musi wyrobić sobie sam. Czyńska wiele rozdziałów zaczyna lub kończy od opisywania fotografii, na których widać Kobro. Są to rzeczywiście zdjęcia o dużej sile wyrazu. Portret młodej, zbuntowanej nastolatki w marynarskim stroju, która patrzy na obserwatora krytycznym wzrokiem (1910–12), wspólne zdjęcie ze Strzemińskim i Przybosiem będące fotograficzną deklaracją ideową grupy „a.r.” (1930–31) czy zdjęcie „kobiety ducha” z 1950 roku. Zdjęcia te, analizowane przez Czyńską w poetyce *Światła obrazu* Rolanda Barthesa, otwierają dalszą narrację na temat opisywanych faktów.

Książka Czyńskiej jest pewnego rodzaju zbiorem opisanych obrazów. Kolażową strukturą, niczym album z kliszami z różnych miejsc i chwil. Pojawiają się historie z czasów rewolucji październikowej, okresu wchodzenia w świat awangardy, spojrzenie na rodzinę von Kobro, okres wytężonej pracy w Łodzi i wojenny kryzys małżeński, wreszcie wyobcowanie, bieda i choroba. Autorka opiera się na zdjęciach, dokumentach i bogatej bibliografii, w której znajdziemy prace m.in. Janusza Zagrodzkiego, szereg publikacji wydanych przez Muzeum Sztuki, cytaty z *Szalonej galerii* Mariana Minicha i wspomnienia Niki Strzemińskiej.

Książka Czyńskiej pozwala połączyć całkiem strawną pigułkę na bazie tych źródeł i przetrawić ją dosłownie w jeden lub dwa wieczory. Jeśli taki był cel tej publikacji, to z pewnością został osiągnięty. Być może awangardowa artystka zyskała dzięki wydawnictwu Czarne grupę kolejnych oddanych fanów, którzy przyjadą do Łodzi kontemplować jej *Kompozycje przestrzenne*. Wśród nich znajdzie się być może oczekiwany przez autorkę wybitny interpretator, który zapewni jej skok w zbiorową świadomość.

Błażej Filanowski

Godzina papugi

*Wątki łódzkie w książce
Ołeksandra Zinczenki*

recenzje

W roku 2008 i ponownie w 2011 ekipa ukraińskiej telewizji z realizatorem Aleksandrem Zinczenką kręciła w Łodzi i innych okolicach Polski film o sprawie katyńskiej zatytułowany *Listy z raju*. Po 70 latach filmowcy potrafili odszukać w kręgu Rodzin Katyńskich wiele ważnych relacji i wspomnień, sporo śladów, dokumentów i pamiątek, wydobywając z zapomnienia dla ukraińskiego widza lata 1939–1940. Wtedy też profesor Ola Hnatiuk¹ namówiła realizatora filmu, by napisał książkę o swych poszukiwaniach, i kiedy ta pod tytułem *Godzina papugi* powstała, przetłumaczyła ją dla polskiego czytelnika.

Interesująca to książka, o niespotykanej raczej konstrukcji, złożona z kilkuset krótkich zapisków rozmów, obserwacji, wspomnień odtworzonych z pamięci i wraz z innymi odnalezionymi śladami zmontowanymi przez dr. Zinczenkę w dobrze skomponowaną całość.

Prolog książki zaczyna się i kończy w Łodzi, blisko 70 lat po zniknięciu porucznika rezerwy Zygmunta Bartnickiego w obozie w Starobielsku w kwietniu 1940 roku, kiedy to napisał swój ostatni list do żony Zofii. Poznali się w Łodzi, choć on pochodził z zachodniej Ukrainy i był z zawodu agronomek. We wrześniu 1939 liczył niespełna 38 lat. „Nie, zazwyczaj nie był przesadnie czuły i sentymentalny. Chociaż. Pewnego razu przyszedł do mnie, siedzimy, rozmawiamy. Raptem zapadła chwila absolutnej ciszy, a on: chciałbym pani coś powiedzieć. Wspominając to – pani Zofia cichutko zachichotała... a on, buch na kolana przede mną i mówi: Kocham panią, proszę panią o rękę! Na kolanach!... To nie była taka miłość jak w kinie: och i ach!... Dobrze było, byłam bardzo szczęśliwa w tym małżeństwie... Ale ta wojna wszystko zburzyła”.

Autor wykazuje niezwykłą pieczołowitość wobec szczegółu, wobec etnografii codzienności tamtego września 1939, rozłączonych wojną rodzin i świata sowieckich obozów, do których oficerowie WP trafili. Penetruje dalej szczegóły rodzinnych historii swych bohaterów, nieżyjących już od wiosny 1940 roku. Nie rozróżnia ich wedle pochodzenia, zwłaszcza nie zatrzymuje się nad Ukraińcami. Wszyscy bowiem, znani i nieznan, są w tej książce oficerami polskimi w mundurach wojska II Rzeczypospolitej. Rysuje natomiast losy wszystkich odszukanych postaci, nim trafili jako jeńcy w ręce Armii Czerwonej i NKWD. Wiemy zatem, że Stanisław Swianiewicz, profesor ekonomii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, walczył z początkiem września 1939 roku



pod dowództwem płk dypl. Konstantego Druckiego-Lubeckiego w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego. Inni z odnalezionych bohaterów bronili Modlina, bili się w Karpatach, bronili Lwowa pod dowództwem gen. Władysława Langnera. Nieraz przeszli w swej wojennej drodze cały kraj, nim trafili w ręce Sowieców, często – już w drodze na Węgry.

Ta badawcza dociekliwość szczegółów prowadzi autora do odkrycia ukutego w obozie starobielskim terminu: „godzina papugi”. To taka godzina, o której oficer-politruk przybywał wyczytywać głosem komunikatu ze szkieletki imienną listę do transportu, uchodzącą wśród internowanych oficerów WP za spis osób do zwolnienia z obozu jenieckiego do domu. Tak to wspominał Józef Czapski, osadzony w monasterze w Starobielsku: „W jednym byliśmy zgodni wszyscy, każdy z nas czekał gorączkowo tej godziny, kiedy ogłoszą nowy spis wyjeżdżających (może będzie wreszcie na liście); nazywaliśmy to »godzina papugi«, bo wypadkowość spisu przypominała nam te kartki wyciągane przez papugi wędrownych kataryniarzy w Polsce [...] Wrzask obozowej papugi stawał się głosem zarządzenia losu”.

Zinzhenko zauważa, że 78 osób ze Starobielska przeżyło (wcześniej przewiezionych na Łubiankę i do innych więzień) i stąd ich wspomnienia oświetliły szczegóły, których gros jeńców nie mógł już zaświadczyć.

W swej książce autor skupia się na losach polskich oficerów, bliżej poznanych w czasie dokumentacji filmowej, ale wymienia również dziesiątki innych nazwisk. Pytanie, czy chodzi wśród tych postaci o Łódzian czy o mężczyzn z innych ośrodków Polski, wydaje mi się niestosowne. Wybuchła wojna, wojsko i cywile przemieszczają się nieoczekiwanie, często na dłużej zatrzymują z dala od domu. Bronią przecież kraju, nie pojedynczego miasta. Ich przynależność do Łódzian, warszawiaków, Ślązaków czy lwowiaków traci na dłużej pierwszorzędne znaczenie. W Kozielsku, Ostasz-kowie czy Starobielsku tworzą się nowe społeczności jenieckie, zwykle bez związku z przedwojennym światem. Nazwiska, jakie padają na kartach książki, odnalezione zostały przez jej autora w dokumentach, wspomnieniach, zarejestrowanych narracjach, czasem zresztą w pisanych cyrylicą raportach NKWD są to nazwiska przeinaczone. Nawet więc indeks (którego książka nie zawiera) nie pozwalałaby na dokładną statystykę Łódzian zamkniętych w obozach w wojennym tyglu historii.

Uderza w tej pracy, napisanej dla nieznanącego przecież sprawy katyńskiej ukraińskiego czytelnika, oświetlenie z wielu perspektyw losów ludzi skazanych na bezwzględną zagładę. Przedstawienie ich zbiorowych i zwłaszcza osobistych reakcji, przeżyć, prób samorealizacji. Wydaje się, że czytelnika polskiego narracja autorska równie dobrze może wprowadzać w głąb sprawy, którą miał dotąd za podręcznikowo czy filmowo znaną, nieopisaną jednak dotąd od takiej strony, do jakiej dotarł Zinczenko.

W Starobielsku czy Kozielsku „wychowawcza politgramota” polegała na stałym wyświetlaniu jeńcom filmów propagandowych. Jednym z kinomanów obozowych był por. Józef Zięcina, któremu – dzięki poszukiwaniom autora książki – zawdzięczamy notatki recenzujące oglądane w obozie jenieckim filmy, zapisujące, jak zostały odebrane przez widzów, i wzbogacone o proste liczby. Jeśli więc pojawia się adnotacja np. „342”, albo inna trzycyfrową, to pod nią zawarta jest liczba osób wywiezionych z klasztoru-obozu danego dnia. Jest też inna historia, Bronisława Młynarskiego, syna kompozytora Emila Młynarskiego. Wiąże się ona z udziałem pianistów rosyjskich w pierwszym konkursie chopinowskim w Warszawie, kiedy to Dymitr Szostakowicz i inni młodzi mistrzowie fortepianu koncertowali u Młynarskich w domu. Być może te muzyczne wspomnienia w śledztwie uratowały życie Młynarskiego-juniora.

Scenariuszowi filmowego dokumentu zawdzięczamy zapewne teatralizację scen odtwarzanych z najkrótszych wypowiedzi, strzępów listów i notatników z roku 1940, fotografii w sepia znanych z nazwiska oficerów rezerwy z lat 30. oraz bezimiennych łągierników, kiedy ci trafiają do Buzułuku czy Kujbyszewa, „rezerwowej stolicy ZSRR”, gdzie powstawała Armia Polska gen. Andersa, też zresztą ledwo żywego po latach spędzonych w więzieniu na Łubiance. Koronny świadek zbrodni katyńskiej, prof. Stanisław Swianiewicz, również przypadkowo przeżył straszny czas, kiedy okazało się, że może być władzom sowieckim potrzebny jako ekspert od gospodarki III Rzeszy. Pakt Sikorski-Majski uratował mu życie w ostatniej chwili i zdołał resztką sił dotrzeć do formowanej armii. A przecież nierozpoznany przez Sowietów zginąłby, gdyby jeden

z polskich jeńców nieopatrznie nie zeznał, że Swianiewicz to jeden z profesorów, a nie urzędnik przedwojenny, jak się sam przedstawił naczalstwu obozu. Dzięki doniesieniu kolegi-jeńca usłyszał o nim sam Ławrientij Beria i polecił odłączyć tego skazańca na stacji Kozie Góry na parę chwil przed załadunkiem, skąd zawieziono wszystkich na egzekucję.

Idąc tropami bliżej poznanych postaci autor książki czyta także z dokumentów i wspomnień losy ich rodzin od września 1939 roku do wiosny 1940 roku, kiedy bliskich jeńców NKWD odszukało i deportowało na azjatycki step. A potem śledzi ich powojenną wędrówkę: repatriację i starania w urzędzeniu sobie życia bez ojców, braci, narzeczonych.

Obserwacja losów całych rodzin jest kolejnym mocnym punktem kronikarskiej opowieści Zinczenki. Zdecydowanie jednak takie kronikarstwo czy historyczny reportaż różni książkę od tradycyjnej chronologii wydarzeń. Przeważają relacje ustne, które autor sam zbiera, czerpie z archiwaliów i stara się sprawdzić i rozszerzyć w oparciu o inne rozproszone ślady i świadectwa. Wśród łodzian już na pierwszych stronach wymienia Janusza i Kazimierę Lange z Federacji Rodzin Katyńskich, których narracji i pomocy w poszukiwaniach najwięcej zawdzięcza. Im i innym członkom rodziny katyńskiej zawdzięcza także żywe kontakty na Ukrainie, dokąd stale przybywali, idąc po śladach swych bliskich. Z badaczy ukraińskich wymienia Andrija Amonsa z Kijowa, Ihora Szujskiego z Charkowa oraz badaczy rosyjskich z Moskwy i Smoleńska, którzy prowadzili autora filmu i książki po trudnych, zatartych śladach.

Warte wspomnienia są ostatnie inicjatywy poszukiwawcze Ołeksandra Zinczenki. Po wszystkim, co zgromadził, doszedł do wniosku, że można zacząć kwerendę raz jeszcze, skoro i w tej części świata rozpanoszył się Facebook. I rzeczywiście – poprzez apele na FB udało się zdobyć nowe wiadomości i dotrzeć do dokumentów rodzinnych mjr. Ludwika Domonia, uważanych dotąd za bezpowrotnie stracone. Istotnych wobec zagadki, w jaki sposób można było znaleźć się na tzw. „liście Mierkułowa”, dzięki czemu mjr Ludwik Domoń, jeden z inicjatorów obozowej komisji kulturalno-oświatowej, przeżył.

Książka ukraińskiego historyka jest cennym uzupełnieniem naszej wiedzy o zbrodni katyńskiej.

Józef Śreniowski
socjolog, historyk, pracownik IPN O/Łódź

Ołeksandr Zinczenko, *Katyń. Śladami polskich oficerów*, Wydawnictwo BOSZ 2015.

Przypisy:

1. Ola Hnatiuk, właśc. Aleksandra Hnatiuk (ur. 1961) – ukraïnistka, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, doktor habilitowany nauk humanistycznych. Profesor nadzwyczajny w Instytucie Sławistyki PAN. W latach 2006–2010 radca Ambasady RP w Kijowie.

listy, polemiki, kontrowersje

Tajemniczy nagrobek z ulicy Nowej

Kto go przywiózł do Łodzi?

Bartłomiej Czyżewski

str. 195

Tajemniczy nagrobek z ulicy Nowej

Kto go przywiózł do Łodzi?

Po publikacji mojego artykułu pod tytułem *Tajemniczy nagrobek przy ulicy Nowej* (KMŁ nr 4 [68] 2014) dotyczącego płyty nagrobnej z okresu pierwszej wojny światowej, znajdującej się na terenie posesji przy ul. Nowej 5 w Łodzi, umieściłem tę wiadomość w najbardziej popularnym w Polsce serwisie społecznościowym. Liczyłem, że dzięki temu nie tylko przybliżę historię Boya Petersena i ciekawego miejsca na mapie Łodzi, lecz również odnajdą się osoby, które będą mogły pomóc uzupełnić białe plamy tej opowieści.

Dzięki temu udało się nawiązać kontakt z p. Rafałem Bętkowskim, historykiem-pasjonatem, znawcą dziejów Olsztyna, pisarzem i społecznikiem. Z jego pomocą została odnaleziona informacja, która jednoznacznie wskazuje na czas i miejsce śmierci Boya Petersena. Zapis dokumentujący ten fakt znajduje się w niezmiernie trudno dostępnej na terenie Polski monografii 150 Pułku Piechoty, wydanej w 1935 roku.

Jak wynika z zapisu znajdującego się w II tomie tej publikacji, Boy Petersen zginął 2 sierpnia 1915 roku pod wsią Kamionka¹ (obecnie Kamianka) koło Ostródy. W okresie 25 lipca – 3 sierpnia 1915 roku trwały tam krwawe walki między wojskami niemieckimi i rosyjskimi o przyczółek nad Narwią. Po bitwie, która się tam rozegrała, pozostał we wsi cmentarz, na terenie którego pochowano około tysiąca żołnierzy niemieckich i rosyjskich. To właśnie tam najprawdopodobniej pierwotnie znajdował się nagrobek Boya Petersena. Wprawdzie również w kilku okolicznych wsiach, m.in. w Cisku, Gierwatach, Grabowie, powstały miejsca pamięci związane z tamtymi bojami, jednak ich odległość od Kamionki praktycznie wyklucza je z kręgu możliwych miejsc pierwotnej lokalizacji tablicy nagrobnej.

W odniesieniu do cmentarza w Kamiance k. Ostródy w publikacji *Der Durchbuch am Narew* z 1919 roku możemy znaleźć taki jego opis: „Wszyscy, którzy tu trwali na posterunku i oddali swe życie za ojczyznę, spoczywają na dużym, przepięknie pielęgnowanym cmentarzu wojennym położonym blisko Narwi, pod cienistymi sosnami, w ciszy i z dala od huku świata, w indywidualnych grobach z wymienionymi nazwiskami i numerami kompanii spoczęli w pokoju żołnierze z pułków nr 4, 33, 44, 147, 150, 151, a także pułków rezerwowych nr 27 i 157”². Nekropolia ta w okresie międzywojennym była stawiana za wzór i chwalona z uwagi na położenie

listy, polemiki, kontrowersje

oraz utrzymanie. O cmentarz dbano do czasu drugiej wojny światowej. We wrześniu 1944 roku front wschodni zatrzymał się na linii rzeki Narew i pozostawał tam aż do stycznia 1945 roku. To wtedy najprawdopodobniej doszło do pierwszych dewastacji grobów w Kamiance i na innych okolicznych mogiłach z czasów pierwszej wojny. Po wojnie nikt już nie starał się przywrócić im wcześniejszego stanu, przestano o nie dbać i szybko zostały zapomniane. Zniszczeń dopełniły działania pseudoposzukiwaczy z wykrywaczami metalu, którzy rozkopywali groby oraz okoliczne tereny. Dopiero w 2010 roku cmentarz został uprzątnięty i uporządkowany, a 20 sierpnia 2010 roku postawiono na nim krzyż i pamiątkową tablicę³.

Boy Petersen nie był więc jedną z licznych ofiar ciężkich walk mających miejsce na terenach okalających Łódź i nie zmarł w tutejszym lazarecie. Zginął w trakcie walk o przyczółek nad Narwią, prawie 225 km od miejsca, gdzie obecnie znajduje się jego nagrobek. Okazuje się również, że *Lista poległych i zaginionych w wojnie 1914–1918 z parafii w Keitum* nie zawiera błędu w dacie śmierci Boya Petersena. Dokładna analiza nagrobka, kroju liter, dat oraz wykruszeń wskazuje, że przed „2•8•1915” nie znajduje się cyfra „1”, a symbol „†”, który z powodu uszkodzenia w górnej części był błędnie odczytywany jako fragment daty dziennej. Potwierdza to porównanie z podobnymi nagrobkami z okresu pierwszej wojny światowej, gdyż na wielu z nich przed datą śmierci można dostrzec symbol krzyża.

Zagadką pozostaje jednak kiedy, kto i po co przewiózł tablicę nagrobną poległego Boya Petersena do Łodzi i umieścił później na podwórku posesji przy ul. Nowej 5. Nowe informacje oraz źródła wskazują, że nagrobek trafił do Łodzi w okresie po 1944 roku, tj. w czasie, kiedy cmentarz w Kamiance był już zdewastowany i nikt o niego nie dbał. Być może ktoś, mieszkając bądź będąc w okolicach Ostródy, trafił na zapomnianą nekropolię w Kamiance i zabrał stamtąd do Łodzi jako specyficzną pamiątkę albo prezent jedną z zachowanych tablic nagrobnych? Prawdopodobnie na to, jak i wcześniejsze pytania nie uda się już uzyskać odpowiedzi, jeżeli jednak ktoś z czytelników wie coś więcej na temat nagrobka Boya Petersena, to bardzo proszę o kontakt.

Bartłomiej Czyżewski
prawnik, Społeczny Opiekun Zabytków

Przypisy:

1. *Geschichte des 1. Ermländischen Infanterie-Regiments Nr. 150 – Teil 2*, Zeulenroda 1935, Sporn Verlag.
2. Gustav Meyer, *Der grosse Krieg in Einzeldarstellungen im Auftrage des Generalstabes des Feldheeres. Heft 27/28: Der Durchbruch am Narew (Juli/August 1915)*, Oldenburg 1919, Verlag des Deutschen Offizierblattes, s. 129 (tłum. Bartłomiej Czyżewski).
3. <http://www.eostroleka.pl/trzeba-pamietac-o-innych-by-inni-pamietali-o-nas-upamietninie-cmentarza-z-i-wojny-swiatowej-wideo,art20078.html> [dostęp: 12.05.2015 roku].

osiedla, domy, ulice

Ulica kamienic, pałacików i rzeźni

Radwańska

Dariusz Kędzierski

str. 199

Ulica kamienic, pałacików i rzeźni

Radwańska

osiedla, domy, ulice

Przyjmuje się, że nazwa tej ulicy pochodzi od nazwiska Michała Radwańskiego, który w latach 1835–46 był komisarzem obwodu łęczyckiego, do którego należała Łódź. To w czasie jego urzędowania w 1841 roku Łódź stała się miastem gubernialnym, w 1843 roku natomiast dzięki jego poparciu rozpoczęła się budowa szkoły powiatowej realnej przy Nowym Rynku.

Trochę jednak to zastanawia – skoro Radwański jest patronem tej ulicy, to dlaczego nosi ona nazwę Radwańska, a nie Radwańskiego, tak jak jest to w wypadku innych ulic: Piłsudskiego, Dąbrowskiego, Kamińskiego itd. Ale tak myślimy dzisiaj; w XIX wieku taki sposób uhonorowania zasług pana Radwańskiego mógł być bardziej oczywisty w potocznym języku.

Ulica ta pojawia się na planie już w 1825 roku, ale wtedy nazywała się Boczna i biegła od Sienkiewicza (ówcześnie Dzikiej) do Gdańskiej (ówcześnie Długiej). W 1863 roku dzieli się już ona na Boczną i Radwańską. Boczna była jeszcze nazywana: Obrzeźną, Tylną, Radwańską, aby w 1918 roku stać się wreszcie ulicą Brzeźną. W latach 1947–1990 Radwańska nosiła imię Karola Świerczewskiego, komunisty, generała, który zginął w 1947 roku podczas inspekcji wojskowych placówek w Bieszczadach.

Idźmy więc od Sienkiewicza w kierunku Piotrkowskiej, zostawiając za plecami Pasaż Abramowskiego, czyli dawny ogród Barcińskich ze słynnymi 400-metrowymi katakumbami powstałymi w latach 50.

Ważna data – 10 lutego

Po prawej stronie ulicy Brzeźnej stoi kilka modernistycznych kamienic wybudowanych w latach 30. ubiegłego wieku, przedziela je krótka uliczka, 10 Lutego, wytyczona w 1936 roku. Nazwa uliczki upamiętnia datę symbolicznych zaślubin z morzem, dokonanych przez generała Józefa Hallera 10 lutego 1920 roku w Pucku. Polska na mocy traktatu wersalskiego z 1919 roku odzyskała 147 kilometrów bałtyckiego wybrzeża. O tym historycznym fakcie przypomina pamiątkowa tablica umieszczona na pierwszej po lewej stronie okazałej kamienicy tej uliczki. Tu, na 10 Lutego, mieszkał Kazimierz Dejmek,

wiem to na pewno, bo gdy w czasach studenckich dorabiałem, roznosząc telegramy, z jednym z nich trafiłem do mistrza.

Po przeciwnej stronie ulicy Brzeźnej ciągną się mury fabryki włókienniczej Augusta Haertiga. W 1937 roku miasto wykupiło tę nieruchomość i urządziło w jej murach Miejski Dom Pracy. Po wojnie w byłych zakładach Haertiga urządzono koszary wojskowe. Natomiast po przeciwnej stronie Brzeźnej, gdzie obecnie stoi wieżowiec, był kiedyś staw, który zasypano i urządzono plac ćwiczeń dla żołnierzy. Na samym końcu Brzeźnej, tuż przy Piotrkowskiej, w latach 50. ubiegłego wieku stanął przeciętny modernistyczny budynek, w którym swoją siedzibę miał Związek Zawodowy Pracowników Budowlanych, tutaj przez lata kupowało się wczasami w ramach Funduszu Wczasów Pracowniczych. Po przeciwnej stronie Brzeźnej stoją dwa połączone ze sobą budynki należące do towarzystwa ubezpieczeniowego Warta TUIR. Jeden nowoczesny, drugi to powstały w latach 1894–1896 pałac Augusta Haertiga. Twórcą tego eklektycznego pałacu był Franciszek Chelmiński, który stworzył budynek spełniający funkcje mieszkalne, biurowe i handlowe. Architekt umieścił na parterze kantor fabryczny, na piętrach natomiast zaprojektował salony. Budynek ten przez lata miał wielu właścicieli, w 1924 roku dzierżawcą pałacu został Polski Czerwony Krzyż. W czasie okupacji mieścił się tu Niemiecki Czerwony Krzyż, a po wojnie swoją siedzibę znowu miał tu łódzki oddział PCK. Obiekt był w kiepskim stanie technicznym i dopiero nowy właściciel, Warta TUIR, pałac wyremontował i przywrócił mu dawną świetność. Wysiłki Warty zostały docenione i na odnowiony budynek spłynęło kilka nagród, w tym m.in. nagroda w konkursie „Zabytek zadbane” i „Najlepsze wnętrze roku 2005” w kategorii „Rekonstrukcji historycznej”.



Zamiast „Borowieckiego”

Po przeciwnej stronie Piotrkowskiej swój początek bierze obecna Radwańska. Obydwa jej narożniki przyciągają uwagę. Po prawej stronie stoi trzypiętrowa kamienica z charakterystyczną elewacją z czerwonej cegły, przypominająca podobne budynki stawiane w Moskwie w drugiej połowie XIX wieku. Budowa kamienicy rozpoczęła się w roku 1881, a ukończona została w 1893. Powstał budynek w stylu eklektycznym, z elementami renesansu i neobaroku. Ozdobą są również kute balkony, a także narożny wykusz. Autorem projektu był znany architekt Edward Kreutzburg. Kamienica powstała na zamówienie małżeństwa Juliusza i Emilii Schmidt. Na parterze umieszczone zostały lokale handlowe: powstała tam między innymi apteka (istniejąca do dziś) i sklep kolonialny. Na piętrach znalazły się lokale mieszkalne. Obecnie budynek należy do prywatnych właścicieli i od pewnego czasu przechodzi remont, w którym również partycypuje miasto.

Na drugim narożniku stoi hotel sieci Holiday Inn. Oddany został do użytku w 2012 roku, przed Euro 2012. Budowa hotelu w tym miejscu rozpoczęła się w 1995 roku. Niestety, budynek zaprojektowany w stylu postmodernistycznego eklektyzmu nie miał szczęścia do inwestorów. Obiekt kilkakrotnie zmieniał właściciela, kiedyś nawet już ogłoszono konkurs wśród Łodzian na jego nazwę. Wygrała wprawdzie nazwa „Borowiecki”, inspirowana Reymontowską legendą *Ziemi Obiecanej*, ale to nie spowodowało dokończenia inwestycji. Zrobił to dopiero obecny właściciel, który przejął inwestycję w 2010 roku. Hotel liczy 127 pokoi, ma też osiem sal konferencyjnych, a także ogromny taras na szóstym piętrze. Tak więc inwestycję udało się ukończyć po 17 latach od jej rozpoczęcia.

Idziemy dalej, mijamy kolejne modernistyczne kamienice i zbliżamy się do Al. Kościuszki. Obecnie w tym miejscu dawna Spacerowa się urywa. To jedyna dwupasmowa arteria w centrum miasta, kiedyś została zaprojektowana po to żeby odciążyć zatłoczoną Piotrkowską. Aktualnie trwają prace, w wyniku których Al. Kościuszki przetnie Radwańską i będzie przedłużona do Al. Politechniki, do centrum handlowo-rozrywkowego Sukcesja.

Po prawej stronie widać nowoczesne budynki biurowe. Biurowce powstały w latach 2008–2010 na terenach należących do zakładów im. Strzelczyka. Ale zakłady Strzelczyka funkcjonowały tutaj po wojnie, wcześniej od Piotrkowskiej do Wólczarskiej był to teren dawnej odlewni żelaza i fabryki maszyn Józefa Johna.

Dalej, u zbiegu Radwańskiej i Wólczarskiej, znajduje się kamienica, a za kamienicą jest zachowany i odnowiony fragment secesyjnego portalu, który prowadził do zakładów Johna. Rogowa kamienica spłonęła w 1998 roku, następnie została odbudowana w latach 2000–2001.

Po przekątnej skrzyżowania znajduje się obiekt szpitalny – to szpital im. Pirogowa. Najstarszy budynek tego kompleksu szpitalnego pochodzi z 1927 roku. Wtedy to z inicjatywy Ewangelickiego Towarzystwa Filantropijnego powstał szpital



im. św. Jana. W czterokondygnacyjnym budynku mieścił się oddział internistyczny oraz oddział chirurgiczny wraz z blokiem operacyjnym. W kolejnych latach szpital się powiększał, dobudowywano kolejne budynki i tworzone nowe oddziały. Powstał oddział urologiczny i transplantacji nerek, gdzie wykonano już kilkaset przeszczepów, a także Klinika Chirurgii ogólnej i naczyniowej. W 1957 roku w szpitalu przestały pracować zakonne siostry Najświętszej Marii Panny, a rok wcześniej patronem placówki wybrano Mikołaja (Nikołaja Iwanowicza) Pirogowa (1810–1881), rosyjskiego lekarza, pioniera nowoczesnej chirurgii. W 1998 roku placówka uzyskała samodzielność i obecnie pełna jej nazwa brzmi Wojewódzki Specjalistyczny Szpital im. M. Pirogowa w Łodzi.

Idąc dalej Radwańską, natkniemy się na interesujący budynek, mały pałacyk. Przez wiele lat sądzono, że była to willa rodziny Rosenblattów, ale nie jest to prawda. Na początku XX wieku budynek wzniesiono dla małżeństwa Stanisława i Stanisławy Mystkowskich. Po wojnie przez wiele lat mieściła się tu biblioteka rejonowa, sam budynek był w kiepskim stanie technicznym, dopiero gdy stał się częścią kampusu Politechniki Łódzkiej, został wyremontowany i nabrał odpowiedniego wyglądu.

Idziemy dalej do ulicy Stefanowskiego, tu, po lewej stronie, znajdują się budynki Politechniki Łódzkiej.

Politechnika

Początki starań o to, aby w naszym mieście powstała wyższa uczelnia politechniczna, sięgają jeszcze połowy XIX wieku. W 1864 roku podjęta została decyzja o powoła-

niu Instytutu Politechnicznego, miał on się mieścić w części obecnego parku im. H. Sienkiewicza. Prace nad tworzeniem placówki były daleko zaawansowane, niestety, w ostatnim momencie władze carskie wycofały się z projektu i nie wydały zgody na powstanie Instytutu. Później już nie było takiej okazji, na przeszkodzie zawsze stawał brak odpowiednich środków. Dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej powołano do życia zarówno Uniwersytet Łódzki, jak i Politechnikę Łódzką. Początkowo miała to być filia Politechniki Warszawskiej, ostatecznie zdecydowano się na powołanie samodzielnej uczelni. Pierwszym rektorem został prof. Bohdan Stefanowski. W sumie w 1945 roku na uczelnię przyjęto ponad tysiąc studentów, z tego na pierwszy rok 525 z 700, którzy się zgłosili. Rekrutacja, a także inauguracja roku akademickiego miała miejsce w szkole przy Żeromskiego 115. Widać ówczesnym władzom bardzo zależało na szybkim uruchomieniu uczelni, gdyż jeszcze w styczniu Łódź znajdowała się pod niemiecką okupacją, a już w maju ukazał się dekret powołujący łódzkie uczelnie.

Jeszcze przed ukazaniem się dekretu, w kwietniu, przydzielono Politechnice tereny na jej przyszłe potrzeby. Była to siedmiohektarowa działka pomiędzy ulicami Żwirki, Gdańską, Radwańską i Żeromskiego. Na terenie tym znajdowały się zabudowania fabryki Szai Rosenblatta. Po zakończeniu działań wojennych wojska radzieckie miały tam swoje magazyny. We wrześniu uzgodniono, że teren zostanie przez żołnierzy opuszczony i przekazany uczelni. Rektor Stefanowski niezwłocznie powołał komitet przebudowy, który miał ocenić przydatność poszczególnych budynków fabrycznych dla Politechniki i zainicjować prace adaptacyjne. Pod koniec roku, w grudniu, rozpoczęła się przebudowa. Prace rozpoczęto od gmachu głównego. W tamtym okresie studenci mieli zajęcia w ogromnych pofabrycznych halach, które dopiero były adaptowane na sale wykładowe.

Po przeciwnej stronie Radwańskiej, między ulicą Stefanowskiego a Al. Politechniki, znajdują się stare pofabryczne budynki rodziny Richterów. Niewątpliwą ozdobą Łodzi są piękne wille, które członkowie rodziny wybudowali w okolicach ulicy Wólczańskiej, budynki pofabryczne przy Radwańskiej natomiast wymagają gruntownego remontu.

Richterowie przybyli do Łodzi już w 1825 roku, czyli na samym początku tworzenia osady przemysłowej. Na początku zaczynali od ręcznej tkalni, z czasem zainstalowano urządzenia mechaniczne, wszystko to działo się przy ul. ks. Skorupki, gdzie obecnie mieszczą się redakcje łódzkich gazet – „Dziennika Łódzkiego” i „Expressu Ilustrowanego”. Z kolei fabryka przy Radwańskiej powstała w 1879 roku, znajdowała się tu przędzalnia i wykańczalnia wełny. Po pierwszej wojnie światowej, w 1921 roku, fabrykę kupił Nahum Eitingon, który specjalizował się w przejmowaniu nieradzących sobie i upadających zakładów. Po drugiej wojnie światowej utworzono tu Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 4, a następnie ZPB Polino.

Po przeciwnej stronie ul. Żeromskiego, przy parku Poniatowskiego, znajduje się świątynia Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. Pierwszy dom modlitew-

ny tej chrześcijańskiej wspólnoty powstał jeszcze w 1902 roku. Inicjatorami budowy była grupa ewangelików pochodzenia czeskiego, która wyodrębniła się z wolnego Kościoła Reformowanego. W późniejszym okresie podjęta została próba postawienia świątyni, w 1912 roku ewangelicy złożyli zamówienie u łódzkiego architekta Kazimierza Meislinga. Oprócz projektu Meislinga były jeszcze dwa inne, Władysława Marconiego i Ignacego Stebelskiego. Wybuch wojny, a następnie kryzys spowodowały odsunięcie w czasie budowy kościoła. Świątynia została w końcu wzniesiona według projektu Karola Janiszewskiego. W 1924 roku powstała wyjątkowo harmonijna neoklasycystyczna, jednonawowa budowla z tympanonem opartym na sześciu kolumnach. Zbór, do którego należy ta świątynia, utrzymuje ściśle kontakty z parafiami w innych krajach. Przy parafii powstał Instytut Tolerancji, młodzież skupiona wokół pracy duszpasterskiej tego kościoła wydaje natomiast kwartalnik „Wiosło”.

Sukcesja i pomnik Rembielińskiego

W pasach ulic Rembielińskiego i Politechniki powstało w 2015 roku centrum handlowo-rozrywkowe Sukcesja. W tym ogromnym obiekcie na ponad trzyhektarowej działce znalazło się ponad 4,5 hektara powierzchni najmu. Przypomnijmy, że obecna ulica Rembielińskiego, u początku której ulokowała się Sukcesja, nosi tę nazwę dopiero od 1933 roku. Wcześniej nazywała się Nowo-Radwańska. Chwała inwestorowi, że przed głównym wejściem do centrum handlowo-rozrywkowego postawił pomnik Rajmunda Rembielińskiego. Bo o Rajmundzie Rembielińskim nigdy dosyć. To chyba najważniejsza postać dla naszego miasta, niestety, tak mało znana. Może ten pomnik pomoże w przybliżeniu jego sylwetki. Bez decyzji tego człowieka o tym, że tu ma powstać przemysłowa osada włókiennicza, Łódź w takim kształcie, w jakim jest obecnie, nigdy by nie zaistniała. To właśnie prezes Komisji Województwa Mazowieckiego postanowił ściągnąć tu rzemieślników, włókienników z całej Europy.

I Łódź Rajmundowi Rembielińskiemu się odwdzięczyła. Rozwijała się w tempie największych miast amerykańskich. W 1820 roku liczyła niecałe 800 mieszkańców, a w 1850 roku z prawie 16 tysiącami ludności była już drugim miastem po Warszawie w Królestwie Polskim. A w 1930 roku z 600 tysiącami była drugim miastem w Polsce. Tak szybkiego wzrostu demograficznego nie notowało żadne miasto w Europie.

Wracając do Sukcesji, nazwa tego centrum wzięła się stąd, że właściciele galerii chcą być sukcesorami przemysłowej historii tego miejsca, a więc zakładów Gampe i Albrecht, które kiedyś się tu znajdowały. W latach 60. XIX wieku Ludwik Albrecht uruchomił warsztat tkacki przy Piotrkowskiej 204. W 1875 roku produkował tkaniny bawełniane na 16 krosnach. Trzy lata później zawiązał spółkę z Józefem Gampe, który w 1850 roku założył małą, ręczną drukarnię przy Piotrkowskiej 208. Przed założeniem spółki Gampe stał się właścicielem terenu pod budowę fabryki przy Rembielińskiego.

W 1913 roku powstała spółka pod nazwą Manufaktura Bawełniana Gampe i Albrecht S.A. w Łodzi. Po zakończeniu drugiej wojny światowej nowa władza po znacjonalizowaniu wszystkiego postanowiła połączyć zakłady Gampe i Albrecht z sąsiadującymi zakładami innego przemysłowca, Hoffrichtera, tworząc w ten sposób Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego Nr 6, a następnie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. S. Kunickiego „Maltext”.

Od rzeźni do hipermarketu

Radwańska i Rembielińskiego (Nowo-Radwańska) kończą się na ulicy Inżynierskiej. Tu przez lata najważniejszym obiektem były zakłady mięsne. Ich początek sięga końca XIX wieku, kiedy to podjęto decyzję o budowie dużej, nowoczesnej rzeźni w Łodzi. Koncesjonariuszem został Ksawery Jelski, który zawarł z magistratem umowę na budowę i późniejsze prowadzenie rzeźni na 40 lat. Umowa była bardzo korzystna dla Jelskiego, który miał zagwarantowany zbyt mięsa i jego przetworów na rynku łódzkim. Rzeźnia była najnowocześniejsza w Królestwie, posiadała własną giełdę mięsną, wyposażona była w najnowocześniejsze urządzenia do uboju. Po drugiej wojnie światowej rzeźnia została znacjonalizowana i działała jako państwowe Zakłady Mięsne w Łodzi. Pod koniec lat 90. ubiegłego wieku zakłady zostały sprzedane zagranicznemu inwestorowi, który pofabryczne budynki rozebrał i na ich miejscu powstał hipermarket Géant. Dziś należy on do francuskiej sieci hipermarketów Auchan. W procesie „hipermarketyzacji” nie wszystko zostało wyburzone. Przede wszystkim uwagę zwraca gmach byłej Dyrekcji Rzeźni Miejskiej. To ceglany pałacyk, w którym obecnie mieści się placówka bankowa. Zachowane również zostały: dawna portiernia, a także budynek administracyjno-biurowy. Jako ciekawostkę można podać, że do 1932 roku stada krów na ubój były pędzone do rzeźni ulicą Radwańską, dopiero gdy Piotrkowską pokryto asfaltem, ten proceder został zaniechany.

Pierwsza siedziba radia

Ulica Radwańska miała też swój udział w powstaniu rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi. W 1936 roku w wynajętym domu przy ul. Radwańskiej 70 znajdowały się dwa niewielkie studia radiowe, ale zanim do tego doszło, wcześniej, bo 15 lutego 1930 roku, nastąpiło uroczyste otwarcie siódmej radiostacji w Polsce, która mieściła się na rogu Inżynierskiej i Wołowej. Dwa stalowe maszty o wysokości 30 m każdy wysyłały w eter programy retransmitowane z Warszawy do prawie 18 tysięcy łódzkich abonentów. A że łodzianie domagali się programów własnych, zaczęto również nadawać programy lokalne, w 1933 roku natomiast pierwsze „łódzkie” audycje zostały wyemitowane w programie ogólnopolskim. Ponieważ łódzka rozgłośnia szybko się rozwijała, wynajęto na jej potrzeby dom przy ul. Radwańskiej 70, ale i to miejsce wkrótce okazało się za ciasne. Dopiero nowy gmach rozgłośni przy ul. Narutowicza 130, oddany do użytku w marcu 1939 roku, rozwiązał wszystkie problemy. Znalazło się tam pięć studiów na-

graniowych, z których nadawano do 50 tysięcy abonentów, i ten budynek do tej pory służy pracownikom Polskiego Radła Łódź.

Dariusz Kędzierski
filmowiec, publicysta, autor książek o Łodzi

Bibliografia:

1. J. Bąbiński, *Drogi do Kariery*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1973.
2. M. Jaskólski, *Stare fabryki Łodzi*, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami oddział w Łodzi ZORA, Łódź 1995.
3. Z. Konicki, *Ulice Łodzi. Ulice w szachownicę*, Wyd. Wojciech Grochowalski, Łódź 1995.
4. A. Rynkowska, *Ulica Piotrkowska*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970.
5. L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999.
6. K. Stefański, *Jak zbudowano przemysłową Łódź*, Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Łodzi, Łódź 2001.
7. M. Z. Wojalski, *Działo się w Łodzi*, Widzewska Oficyna Wydawnicza ZORA, Łódź 1996.
8. „Kronika Miasta Łodzi”, 3/2010, 4/2012.
9. <http://poznajemylodz.blogspot.com/2014/04/brzezna-10-lutego-radwanska-inzynierska.html>.
10. <http://www.polskaniezwykla.pl/web/place/2551,lo dz-palac-augusta-haertiga.html>.
11. <http://mak.wimbp.lodz.pl/index.php/bazy-bibliograficzne/ulice-lodzi.html>.
12. <http://www.pirogow.pl/historia.html>.
13. <http://baedekerlodz.blogspot.com/2014/05/ulica-inzynierska-dawna-rzeznia-miej-ska.html>.

Z łódzkiego raptularza

LIPIEC 2015

1 lipca

- We wnętrzach łódzkich pałaców kręcone są sceny do filmu o Marii Skłodowskiej-Curie. Film jest produkcją polsko-niemiecko-francuską. Reżyseruje Maria Noëlle, Marię Skłodowską gra Karolina Gruszka.
- Zakończono trwający 10 lat remont neorenesansowej kaplicy Heinzlów na Starym Cmentarzu. Budowany w latach 1899–1903 grobowiec zaprojektował berliński architekt Franz Schwechten. Spoczywa w nim fabrykant Juliusz Heinzel wraz z rodziną. Koszt remontu wyniósł dwa miliony złotych. Grobowiec będzie wykorzystywany podczas uroczystości pogrzebowych.

3 lipca

- Podpisany został list intencyjny między Łodzią a Regionem Centralnym Portugalii. Strony wyraziły wolę rozwijania współpracy gospodarczej, naukowej, badawczej i kulturalnej w dziedzinie zdrowego i aktywnego starzenia. Jednocześnie Uniwersytet Medyczny podpisał list intencyjny z cenionym w Europie Uniwersytetem w Coimbrze. Obie uczelnie mają współpracować w tworzeniu programów dla akademickich inicjatyw badawczych, wymiany studentów i naukowców.

5 lipca

- Do Aleksandrowa przyjechała premier Ewa Kopacz. Program wizyty w 36-stopniowym upale obejmował odwiedzenie zakładów Legs – produkujących przędzę do rajstop i skarpet, obserwacje Gminnych Zawodów Pożarniczych oraz przemówienie do mieszkańców. Na zakończenie dnia pani premier pojechała do Buczka koło Brzezin na Święto Zalewajki.

6 lipca

- Przystąpiono do przebudowy ulicy Traugutta, która zgodnie z życzeniem łodzian zostanie zamieniona w podwórzec. Będzie podobna do ulicy 6 Sierpnia, powstanie nowa nawierzchnia wykonana z szarej i czerwonej kostki granitowej, pojawią się drzewa, ławki, a nawet plac zabaw na rogu Traugutta i Sienkiewicza. Całość wydatków zostanie pokryta z budżetu obywatelskiego.

- Klub Miłośników Starych Tramwajów, MPK i Zarząd Dróg i Transportu zaproponowały łodzianom i turystom w niedzielę i święta niespodziankę: przejażdżkę zabytkowym tramwajem nr 43. Zabytkowa Linia Turystyczna rozpoczyna się od zajezdni przy Telefonicznej, a kończy na rynku w Lutomiernku.
- Studenci Politechniki Łódzkiej zakończyli budowę pojazdu solarnego Egle One i przygotowują się do wyjazdu do Australii, gdzie jako jedyni przedstawiciele Europy Centralnej w październiku wezmą udział w międzynarodowym wyścigu. Muszą pokonać 3 tys. km z Darwin do Adelajdy. Do udziału zgłosiło się 41 załóg. Partnerem studentów jest firma Bridgestone.
- Sanepid w Łodzi otrzymał informacje o występowaniu w mieście trującej rośliny, tzw. barszczu Sosnowskiego. Kontakt z liśćmi tej byliny, szczególnie w upalne i wilgotne dni, może doprowadzić do silnego poparzenia, a nawet zgonu.
- Ponad 17,8 tysięcy kandydatów, czyli o 200 więcej niż w ubiegłym roku, zgłosiło się na studia na Uniwersytecie Łódzkim. Największą popularnością cieszyły się psychologia (9,23 osób na miejsce), filologia angielska (6,89 osób na miejsce), prawo (5,4 osób na miejsce) i zarządzanie zasobami ludzkimi (4,56 osoby na miejsce). Rekrutacja będzie trwała do początku października, wolne miejsca pozostały jeszcze na niektórych kierunkach oraz na studiach zaocznych i wieczorowych.

8 lipca

- W szpitalu Gameta w Rzgowie dokonano pionierskiej operacji wszczepienia fragmentu zamrożonego jajnika pacjentce, której z powodu zaawansowanej choroby nowotworowej usunięto jajniki i macicę. Tego niezwyklego zabiegu chirurgicznego dokonał zespół lekarzy w składzie: Paweł Radwan, Michał Radwan, Rafał Krasieński i Adam Abramik.
- Jeszcze w 2015 roku powstanie w Łodzi 10 kilometrów nowych dróg dla rowerzystów. Jedna z nich będzie przebiegała wzdłuż ulic Zielonej, Legionów i Żeligowskiego.
- Gra planszowa Odkryj Łódzkie opracowana przez historyka Michała Borowiaka z Łodzi to propozycja Urzędu Marszałkowskiego na promocję regionu. Gra zwyciężyła w konkursie „Łódzkie ma pomysły”, zwiększa wiedzę o regionie, uczy i jednocześnie bawi. Po wakacjach gra trafi do szkół.

9 lipca

- Od 9 do 12 lipca odbywały się w Domu Literatury w Łodzi imprezy kulturalne pod hasłem „Forum młodej literatury”. W programie znalazły się spotkania z autorami książek: Magdaleną Kicińską, Weroniką Murek, Rafałem Różewiczem, Dominiką Kaszubą, Jakubem Sajkowskim, Izabelą Kawczyńską, Piotrem Przybyłą i Tomaszem Pietrzakiem. Rozstrzygnięty został także XIII Konkurs Poetycki dla Młodych Twórców im. Zbigniewa Dominiaka, w którym jury nie przyznało I nagrody. Dwie II nagrody otrzymały: Martyna Łogin z Łodzi i Michał Pranke z Torunia. III nagrodą podzielili się: Tomasz Krasieński z Bydgoszczy i Karolina Kułakowska z Rachowic. Czterech poetów wyróżniono za zestaw wierszy.

13 lipca

- Joanna Podolska-Płocka, dyrektorka Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, i Małgorzata Laurentowicz-Granias, dyrektorka Muzeum Miasta Łodzi, w którym powstał m.in. Gabinet Jana Karskiego, otrzymały z rąk ministra spraw zagranicznych Grzegorza Schetyny honorowe odznaki „Bene Merito” za szczególne zasługi umacniające rolę Polski w świecie.
- Dzień przed wyjazdowym posiedzeniem rządu w Łodzi premier Ewa Kopacz i ministrowie byli już w mieście, brali udział w spotkaniach, konferencjach i podpisywali listy intencyjne. Pani premier odwiedziła Centrum Zdrowia Matki Polki, ministrowie Tomasz Siemoniak i Janusz Piechociński pojechali do Wojskowych Zakładów Lotniczych, minister Małgorzata Omilanowska zwiedziła EC1 i spotkała się z przedstawicielami środowisk kultury, Joanna Kluzik-Rostkowska rozmawiała z nauczycielkami przedszkolnymi, Lena Kolarska-Bobińska była m.in. w Łódzkim Parku Naukowo-Technicznym, minister Maria Wasiak – na budowie autostrady A1, a minister Andrzej Halicki odwiedził Wojewódzką Komendę Straży Pożarnej, w której rozmawiał na temat Regionalnego Systemu Ostrzegania.
- Minister Grzegorz Schetyna podpisał z prezydent Hanną Zdanowską list intencyjny w sprawie pomocy MSZ w przygotowaniach Łodzi do wystawy Expo 2022, a minister Andrzej Halicki zawarł z TV Toya umowę o współpracy dotyczącą Regionalnego Systemu Ostrzegania. Zarówno pani premier, jak i inni ministrowie chętnie spotykali się i rozmawiali z łodzianami na ulicach miasta.

14 lipca

- Rząd obradował na wyjazdowym posiedzeniu w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Obiecano pieniądze dla miasta oraz regionu, m.in. Instytut Ogrodnictwa w Skierniewicach może liczyć na 58 mln zł na remont budynku i rozszerzenie laboratorium, Centrum Zdrowia Matki Polki otrzyma pożyczkę, a w EC1 powstanie

Narodowe Centrum Kultury Filmowej – instytucja ponadregionalna finansowana z budżetu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Centrum ma połączyć łódzkie instytucje związane z filmem, rozpocznie działalność na początku przyszłego roku.

16 lipca

- Wacław Łęcki, 96-letni łódzianin, przekazał zakonowi bonifratrów działkę wartości kilku milionów zł z prośbą, aby wybudowano na niej szpital. Następnie darczyńca wspólnie z przeorem klasztoru zdecydowali, że za pieniądze uzyskane ze sprzedaży działki zostanie zakończona budowa Centrum Rehabilitacji. Placówka będzie nosiła imię Wacława Łęckiego.
- W Łodzi powstało Biuro Informacyjne JOW. Założył je Piotr Biliński, architekt, ekspert ruchu JOW na województwo łódzkie. Drugim ekspertem jest Marcin Pampuch z Piotrkowa.
- W Wytwórni wystąpił Charles Lloyd, legendarny saksofonista zwany ojcem chrzestnym jazz rocka. Razem z 77-letnim muzykiem grali Gerald Clazton (piano), Joe Sanders (kontrabas) i Kendrick Scott (perkusja). W pierwszej części koncertu wystąpił Magnolia Acoustic Quartet.

17 lipca

- Fundacja „Przestrzeń kobiet” wydała *Przewodniczkę* – przewodnik szlakiem łódzkich kobiet. Przewodnik proponuje dziewięć tras. Rozpoczyna się wspomnieniem o farmaceutkach, które pracowały w pierwszej w Łodzi aptece przy placu Wolności. Na I piętrze tej kamienicy mieściła się kancelaria notarialna, w której pracowała Zofia Hertz, pierwsza w Polsce kobieta notariusz, późniejsza współzałożycielka Instytutu Literackiego w Paryżu. Spacer kończy Muzeum Konceptualne Ewy Partum, także przy Placu Wolności.

23 lipca

- Sejm przegłosował kluczową dla Łodzi ustawę o rewitalizacji. Za jej przyjęciem głosowało 276 posłów. Ustawa pozwoli przyspieszyć remonty komunalnych budynków oraz remonty prywatnych kamienic. Miasto będzie mogło także budować mieszkania we współpracy z prywatnym inwestorem. Dokument musi jeszcze przyjąć Senat i podpisać prezydent.
- Studzienka kanalizacyjna w Parku Staromiejskim otrzymała szklaną pokrywę, która pozwala obserwować legendę Łodzi – rzekę Łódkę, płynącą w tym miejscu pod ziemią.

- Na stacji kolejowej Łódź Widzew otwarto podziemny tunel, który ułatwi pasażerom przedostanie się na perony. Na całość przebudowy stacji musimy poczekać do jesieni. Przybędą nowe, wyższe perony, zadaszenie nad torami, tablice z wyświetlaczami, ławki i gabloty z rozkładami jazdy. Całkowity koszt remontów wynosi 240 mln złotych.

25 lipca

- Przed wejściem do centrum handlowego „Sukcesja” odsłonięto pomnik Rajmunda RembIELIŃskiego – twórcy przemysłowej wizji Łodzi. Pomnikowy RembIELIŃski opiera się o cyrkiel, symbol wolnomularzy, i stoi na mapie przemysłowej miasta wykonanej na polecenie RembIELIŃskiego. Rzeźbę z brązu projektowała Pracownia Zofii Władyki-Łuczak.
- Gwałtowne burze sprawiły, że 592. urodziny Łodzi obchodzono na ulicy Piotrkowskiej dopiero wieczorem. Ulica zaroİła się od tancerzy, żonglerów, mimów i iluzjonistów. Gorące brawa zebrała m.in. grupa Cojones Grandes Crew. W programie święta znalazły się także wycieczki, m.in. do EC1, spaceru po Starym Mieście oraz koncerty grupy Lady Panki i Feel w Manufakturze.

26 lipca

- Redakcja „Gazety Wyborczej” postanowiła być bliżej czytelników i spędziła popołudnie na Księżym Młynie. Najważniejszym punktem programu były spotkania i rozmowy z łodzianami, którzy prosili dziennikarzy o interwencje i zgłaszali tematy, o których chcieliby czytać w gazecie.

27 lipca

- W firmie Coko Werk na Dąbrowie spłonęło siedem tysięcy m² hali produkcyjnej. Pożar gasiło 38 zastępów straży pożarnej. Firma z niemieckim kapitałem produkowała podzespoły z tworzyw sztucznych do produkcji pralek, suszarek, zmywarek oraz elementów wyposażenia samochodów. Zatrudniała 400 osób. Pomoc poszkodowanej firmie obiecało miasto oraz ŁSSE. Przyczyny pożaru nie są znane.

28 lipca

- W galerii Akademii Sztuk Pięknych „Od Nowa” można było obejrzeć prace brytyjskiego artysty Michaela Brennanda Wooda. Artysta prowadzi jednocześnie kursy grafiki i tkaniny artystycznej dla studentów i pasjonatów sztuki. Uczestnicy kursów poznają tradycyjne formy graficzne i tkackie oraz innowacyjne technologie opracowane przez wybitnych artystów. Wydarzenia PATA 2015 zakończy sierpniowy wernisaż kursantów.

31 lipca

- W Galerii Re:Medium otwarta została wystawa grafiki Wiesława Haładaja. Artysta jest absolwentem PWSSP, uczestnikiem wielu międzynarodowych wystaw, laureatem prestiżowych konkursów artystycznych, m.in. w 1998 roku otrzymał Grand Prix na International Print Triennial w Kanagawie.

PERSONALIA:**1 lipca**

- Izabela Zbonikowska, b. redaktor miesięcznika „Haward Business Review” i pracownik firmy MPG Polska, wygrała konkurs na dyrektora Łódzkiego Centrum Wydarzeń.

ODESZLI:**13 lipca**

- Daniela Zofia Bocheńska – wieloletni radca prawny, arbiter byłej Okręgowej Komisji Arbitrażowej w Łodzi, przewodnicząca Okręgowego Sądu Dyscyplinarnego przy Izbie Radców Prawych w Łodzi.

15 lipca

- Leszek Różga – wybitny polski grafik i rysownik, a także malarz, poeta i autor arcyciekawych wspomnień. Wieloletni wykładowca i profesor PWSSP w Łodzi. Przeżył 91 lat.

20 lipca

- Izabela Gorzkowska-Głowacka – tancerka, choreograf, pedagog, wieloletnia dyrektorka Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Feliksa Parnella w Łodzi, autorka librett, odtwórczyni wielu pięknych ról baletowych. W swojej bogatej karierze artystycznej związana była m.in z Teatrem Wielkim w Łodzi, mediolańską La Scalą, baletami teatrów operowych w Rzymie i Neapolu.

S I E R P I E Ń 2015**1 sierpnia**

- Na placu katedralnym w Łodzi otwarto przygotowaną przez oddział IPN wystawę *Powstańcze biografie – łódzkie echa Powstania Warszawskiego*. Wystawa przedstawia biografie 20 łodzian, którzy walczyli i ginęli w powstaniu warszawskim,

oraz tych byłych powstańców, którzy po wojnie osiedli się w Łodzi i wnieśli wkład w życie społeczne i umysłowe miasta. Autorzy ekspozycji upamiętnili m.in. gen. bryg. Edwarda Franciszka Pfeiffera ps. Radwan. Pełnił on funkcję komendanta Obwodu I Śródmieście Komendy AK Okręgu Warszawa-Miasto. Są też biogramy łódzkich harcerek: Marii Wocalewskiej, jej siostry Jadwigi oraz Barbary Marty Nazdrowicz ps. Wiewiórka.

- Przed otwarciem wystawy w łódzkiej archikatedrze odprawiona została msza św., w trakcie której w sarkofagu przy tablicy upamiętniającej 153 kapłanów kościoła łódzkiego poległych w czasie drugiej wojny światowej złożone zostały szczątki ks. Tadeusza Burzyńskiego, łódzkiego kapelana powstania i żołnierza AK, który zginął w pierwszej godzinie walk.
- Wolontariusze z kraju i zagranicy wzięli udział w V Festiwalu Wolontariatu „Kontakt”, organizowanym przez Fundację „Proem” i Urząd Miasta. Wspólnymi siłami odmalowali i odświeżyli Miejskie Schronisko dla Bezdomnych Kobiet w Łodzi.
- Łódzkie Partnerstwo Pomocy Osobom Wykluczonym i Bezdomnym, zrzeszające kilkanaście instytucji pozarządowych, zorganizowało na Starym Rynku pierwszy festiwal na rzecz bezdomnych pod hasłem: „Piękno jest Wszechdomne”.
- Festiwal miał wskazać wagę problemu, pokazać właściwy kierunek pomocy, łączyć potrzebujących z tymi, którzy chcą pomoc. Zachęcał do wolontariatu i łamania stereotypu w myśleniu o bezdomnych.

2 sierpnia

- Gwizdy i ordynarne wyzwiska przywitały prezydent Hannę Zdanowską na stadionie ŁKS, kiedy otwierała nową trybunę. Obiekt wybudowany kosztem 135 milionów złotych nie zadowolili kibiców, którzy uważają, że miasto powinno ufundować nowy stadion.
- Nieznani sprawcy oderwali dłonie od pomnika św. Faustyny na Placu Niepodległości i porzucili je w fontannie. Pomnik wykonany przez Mariusza Drapikowskiego odsłonięto w 2008 roku. Fundatorem był Zakład Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi. Policja poszukuje sprawców.

5 sierpnia

- W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza otwarto wystawę malarstwa Ireneusza Pierzgalskiego. Można na niej było zobaczyć zarówno wczesną twórczość artysty, jak i obrazy z późniejszego okresu z cykli: *Stworzenie Świata*, *Apokalipsa*, *Na puszczy* i innych.
- Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego wydało książkę *Miasto mojej pamięci. Powojenne wspomnienia Niemców z Łodzi* pod redakcją Moniki Kucner i Krystyny Radziszewskiej.
- Praca wypełnia dotkliwą lukę w historii wielonarodowego miasta i odsłania skomplikowane relacje między mieszkańcami.

6 sierpnia

- Pierwszy łódzki „podwórzec” na ulicy 6 sierpnia obchodził już drugie urodziny. Z licznych atrakcji przygotowanych przez mieszkańców i przedsiębiorstw mających tu swoje siedziby, korzystali zarówno najmłodsi, jak i dorośli wielbiele ulicy. Były występy muzyczne, gry i zabawy, klauni, degustacje smakotyków. Cukiernia pp. Wasiaków z ulicy Traugutta przygotowała urodzinowy tort.

10 sierpnia

- Muzeum Tradycji Niepodległościowych zorganizowało „Dzień z rekonstrukcją historyczną”, w którym wzięli udział członkowie Inowłodzkiego Bractwa Rycerskiego. Zaplanowano trzy „żywe lekcje historii”, a uczestnicy mogli przymierzyć elementy zbroi rycerskiej.
- Szlak „Murale Pamięci” wzbogaci się o cztery postacie bałuckich dzieci. Będą to naturalnej wielkości podobizny dzieci polskich, żydowskich i romskich. Namalują je Piotr Saul i Damian Idzikowski.

8 sierpnia

- Centrum Dialogu im. Marka Edelmana zorganizowało kolejne warsztaty, podczas których uczestnicy tworzyli *Słownik Bałucki* – podobno jedyny tego typu słownik na świecie.

11 sierpnia

- Odremontowane przez prywatnego właściciela dawne Zakłady Przemysłu Wełnianego „Lodex” przy ul. Pomorskiej 77 mogą służyć za przykład udanej rewitalizacji. Zachowany został zabytkowy charakter budynku, na parterze umieszczono aptekę, a na piętrach biura do wynajęcia.

12 sierpnia

- Dzienny Dom Pobytu dla Seniorów przy ul. Senatorskiej 4, z którego korzysta obecnie 60 osób, po remoncie przekształci się w nowoczesną placówkę, w której będzie można organizować więcej zajęć (m.in. kursy komputerowe) oraz wydawać więcej posiłków. Pomogło Ministerstwo Pracy, które przyznało placówce 150 tys. zł na remont.

15 sierpnia

- Święto Wojska Polskiego rozpoczęła msza św. w archikatedrze, celebrowana przez abp. Marka Jędraszewskiego. Następnie obecni, z wojewodą Joanną Chełmińską na czele, złożyli kwiaty pod pomnikiem bohatera bitwy pod Radzyminem ks. Ignacego Skorupki oraz pod pomnikiem Jana Pawła II. Po apelu ku czci Oręża Polskiego i salwie honorowej odbyła się defilada oddziałów wojska, policji i straży miejskiej.

17 sierpnia

- W ub. roku szkolnym 800 uczniów z klas 1–3 z publicznych szkół podstawowych przebadano pod kątem wad postawy i kręgosłupa. Wady stwierdzono u 50% badanych. Po rocznych ćwiczeniach pod opieką pracowników Ośrodka Rehabilitacji dla Dzieci i Młodzieży stwierdzono wyraźną poprawę.

21 sierpnia

- Ponad dwa tys. pątników uczestniczyło w 90. Pieszej Pielgrzymce Łódzkiej do Częstochowy, której hasło brzmiało „Wierście w Ewangelię”. Pierwsza grupa wyruszyła o 7.30 po mszy św. w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej. Najstarszy pątnik ma 90 lat, najmłodszy niewiele ponad rok. Do Częstochowy pielgrzymka dotarła w poniedziałek 24 sierpnia. Po raz pierwszy drogę powrotną pielgrzymi odbyli w wygodnych autokarach.

23 sierpnia.

- Muzeum Fabryki zaprosiło łodzian na urodziny Izraela Poznańskiego. Można było zwiedzać muzeum, prześledzić historię bawełnianego imperium i zagrać w grę fabularną.

24 sierpnia

- Jan Morawiec, 83-letni mieszkaniec Łodzi, po raz drugi został mistrzem świata w maratonie w kategorii M 80–84. Na XXI Mistrzostwach Świata Weteranów w Lyonie dystans 42 kilometrów łodzianin pokonał w 4 godziny i 12 minut.

25 sierpnia

- W sklepach Pan Tu Nie Stał pojawiły się w sprzedaży damskie i męskie T-shirty z wizerunkami Zofii Nałkowskiej i Marka Hłasko. W ten sposób Instytut Książki od dwóch lat przypomina znanych polskich pisarzy.

26 sierpnia

- Jury XVII Przeglądu Małych Form Teatralnych Letnia Scena 2015 w Domu Literatury przyznało I nagrodę w wysokości 4 tys. zł spektaklowi *Miód albo jak chciałam się bzykać* z Tomaszem Schimscheinerem w reżyserii Tomasa Svobody Teatru Ludowego z Krakowa. Trzy II nagrody w wysokości 2 tys. zł każda przyznano spektaklom: *This is not a love song* w reżyserii Reni Gosławskiej z Fundacji Pomysłodalia z Rumi, *Shirley Valentine* w reżyserii Dariusza Majchrzaka z Fundacji Czwarte Miasto z Gdyni, *Requiem Pana Cogito* w adaptacji i wykonaniu Janusza Andrzejewskiego ze Sceny z Bliska z Poznania.
- Radni łódzcy jednogłośnie poparli projekt postawienia w Łodzi Pomnika Powstańców Warszawskich. Z inicjatywą wystąpili łodzianie – uczestnicy Powstania Warszawskiego: prof. Maria Gołębiowska z mężem Henrykiem i prof. Michał Gałkiewicz. Pomnik według projektu Moniki Reppel-Michnikowskiej i Michała Gałkiewicza stanie na skwerze u zbiegu ulic Wojska Polskiego i al. Grzegorza Palki. Pomnik powinien zostać odsłonięty w przyszłym roku.
- Z Łodzi odjechał pierwszy pociąg towarowy do chińskiego Xiamen. Wiózł produkty spożywcze oraz piwo, cydr i wódkę. Odległość między Łodzią a Xiamenem pociąg pokonał w ciągu 15 dni.

27 sierpnia

- Adam Kszczot, zawodnik łódzkiego RKS, został wicemistrzem świata w biegu na 800 metrów w Pekinie. Ostatni indywidualny medal polscy biegacze zdobyli na mistrzostwach świata 15 lat temu.
- Andrzej Wajda przyjechał do Łodzi, aby przygotować dokumentację do filmu o Władysławie Strzemińskim. Zdjęcia rozpoczną się jesienią, a rolę wybitnego awangardowego twórcy zagra Bogusław Linda.
- Miejska Pracownia Urbanistyczna wyłożyła w swojej siedzibie przy ulicy Wileńskiej plany zagospodarowania przestrzennego centrum miasta. Projekt był wyłożony do dnia 8 września, a zainteresowani mogli oglądać i zgłaszać swoje uwagi. Po ich rozpatrzeniu i kolejnych konsultacjach będzie poddany pod głosowanie rady miejskiej.

28 sierpnia

- Centrum Dialogu im. Marka Edelmana zaprosiło łodzian do wspólnych obchodów 71. rocznicy likwidacji łódzkiego getta. Zapoczątkował je spacer śladami getta, pokaz w Parku Ocalałych filmu *Łódzkie getto* w reżyserii Alana Adelsona z 1989 roku oraz koncert w Muzeum Miasta poświęcony Ellen Epstein.
- Na uroczystości te przyjechali ocalali z getta z całego świata. Po modlitwach na cmentarzu żydowskim z udziałem duchownych reprezentujących kościoły chrześcijańskie przeniesiono się do dawnego budynku stacji kolejowej Radegast, skąd odjeżdżały transporty do Auschwitz. W przemówieniach podkreślano nieustanną potrzebę pamięci o zamordowanych przez nazizm żydowskich mieszkańcach miasta oraz nauki tolerancji. Tomasz Kacprzak, przewodniczący Rady Miejskiej, uhonorował Josepha Buchmana odznaką „Zasłużony dla Miasta Łodzi”, m.in. za przekazanie 250 tys. euro na zaadoptowanie stacji Radegast do potrzeb muzealnych.

30 sierpnia

- Z krajobrazu Łodzi – historycznego „miasta kominów” – zniknął kolejny komin. Na terenie byłego Zakładu Energetyki Ciepłej „Ustronna” zburzono piękną strzelistą konstrukcję o wysokości 140 m – ostatni symbol tych zakładów. Do akcji przygotowywano się od kilku miesięcy, zużyto m.in. 30 kg dynamitu. Akcja wyburzenia komina rozpoczęta o godz. 6:00 trwała 20 minut. Obserwowały ją setki łodzian, wielu fotografowało.
- *Rysunek z pamięci* to tytuł spektaklu według pomysłu Weroniki Fabich z teatru Kana ze Szczecina. Prace poprzedziła długotrwała kwerenda w archiwach. W wydarzeniu wzięli udział aktorzy z Teatru Szwalnia w Łodzi. Akcja spektaklu rozgrywała się na terenie getta. Muzykę do niego napisał Tomasz Krzyżanowski z Teatru Chorea.
- Wicepremier Janusz Piechociński zapoznał się w Łodzi z planami budowy kolejowego terminalu przeładunkowego w okolicach ulicy Pryncypalnej. Spotkał się także z szefami firmy Hatrans, która jest operatorem pociągu z Łodzi do Chin.

31 sierpnia

- *Wędrujące drzewa* – zwycięski projekt w konkursie Greenpeace na miniprojekty ekologiczne, zyskał uznanie i podziw mieszkańców Starego Polesia. Autorka projektu Marta Karbowski zaprojektowała dwie ogromne donice, w których zasadziła drzewa i kwiaty. Donice ozdobiły malowanymi scenkami Natalia Hołub i Maria Apoleika. Donice postawiono na ulicy Legionów, później trafią na ulicę Żeromskiego.

- W Milestkach spłonął XVIII-wieczny drewniany zabytkowy kościół. Zbudowano go w 1766 roku z bali modrzewiowych. W kościele tym było chrzczonych wielu znanych łodzian, m.in. prof. Stefan Niesiołowski. W latach 1997–2000 został on gruntownie wyremontowany. Okoliczni mieszkańcy pomagali strażakom w gaszeniu pożaru, byli załamani ogromem straty. Decyzją Kurii Metropolitalnej do czasu wybudowania tymczasowej kaplicy msze św. będą odprawiane w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej w Milestkach.

ODESZLI:

18 sierpnia

- Felicja Blaszyńska – scenograf, związana z polskim filmem. Pracowała przy takich filmach, jak: *Walec pikowy* Tadeusza Chmielewskiego, *Wesele* Andrzeja Wajdy, *Sprawa Gorgonowej* Janusza Majewskiego oraz przy wielu serialach. Była wieloletnim członkiem Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

23 sierpnia

- Jerzy Kamas – aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, rodowity łodzianin. W 1964 roku na scenie Teatru Powszechnego stworzył pamiętną rolę Hamleta, a u jego boku debiutowała wówczas Pola Raksa. Od lat 70. pracował w Warszawie, ostatnio w Teatrze Ateneum. Widzowie zapamiętują go ze znakomitej roli Wokulskiego w telewizyjnej adaptacji *Lalki*. Przeżył 77 lat.

oprac. Małgorzata Golicka-Jabłońska

Mapa widoczna na okładce pochodzi ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łodzi, zbiór kartograficzny 1600–2012, sygn. 534.



Kościół p/w Podwyższenia Świętego Krzyża, fot. Piotr Stachowski



Kościół p/w Świętej Doroty, Mielęzki (spłonął w 2015 r.), fot. Piotr Stachowski